

ROBERT E. HOWARD

## CONAN GODZINA SMOKA

TYTUŁ ORYGINAŁU THE HOUR OF THE DRAGON  
PRZEŁOŻYŁ STANISŁAW CZAJA

Tytuł oryginału The Hour of the Dragon Berkley Books, New York 1977

Pierwodruk: Weird Tales, grudzień 1935, styczeń–kwiecień 1936, i wyd.: Gnome Press, New York 1950, pt. Conan the Conqueror

## GODZINA SMOKA

Chwieje się Lew, upada w mrok,  
chwytają go demony.  
Szkarałatne skrzydła pręży Smok  
przez czarny wiatr niesiony...  
Rycerze wiecznym legli snem,  
bo srogi bój ich strudził,  
A w głębi gór przeklętych, hen,  
szatański rój się budzi.  
Godzina Smoka! Trupi chłód.  
Strach krwawym łypie okiem...  
Godzina Smoka! Struchlał lud —  
któż oprze się przed Smokiem?!

### 1. UŚPIONY, ZBUDŹ SIĘ!

Zmarszczyły się aksamitne kotary i śląc po ścianach falę rozedrganych cieni zamigotały płomienie długich świec. A przecież najsłabszy powiew wiatru nie przemknął przez komnatę. Wokół hebanowego stołu, na którym połyskując jak rzeźbiony jaspis spoczywał zielony sarkofag, stało czterech mężczyzn. W uniesionej prawicy każdego z nich dziwnym zielonkawym blaskiem płonęła czarna świeca osobliwego kształtu. Noc okrywała świat, a zbłąkany wiatr zawodził w mrocznych gałęziach drzew.

Pełna skupienia cisza i chybotałw cienie pospołu władały komnatą, podczas gdy cztery pary lśniących napięciem oczu wpatrywały się w długą zieloną skrzynię, na której, rzekłbyś, tajemne hieroglify obdarzone życiem przez niepewne światło wiły się jak węże. Mąż u stóp sarkofagu pochylił się nad nim i poruszał swą świecą, jak gdyby kreśląc w powietrzu mistyczny symbol. Później, osadziwszy świecę w czarno–złotej miseczce, mamrocząc jakąś niepojętą dla kompanów formułę, wsunął szeroką białą dłoń między fałdy swej obszytej gronostajami szaty. Gdy ją na powrót wyciągnął, dzierżył w garści kulę żywego ognia.

Trzech pozostałych głęboko zaczerpnęło powietrza; śniady, potężny mężczyzna stojący w głowach sarkofagu wyszeptał:

— Serce Arymana!

Mistrz ceremonii szybkim gestem nakazał ciszę. Gdzieś w dali jął żałośnie zawodzić pies, a po drugiej stronie zaryglowanych pancernych drzwi rozległy się ukradkowe stąpnięcia. Nikt jednak nie odrywał wzroku od sarkofagu, nad którym mąż w gronostajach poruszał teraz płomiennym klejnotem, mrużąc zakłęcia, które były prastare w dniu zatonięcia Atlantydy. Żar bijący z kamienia oślepił, nie mieli tedy pewności, co widzą, lecz wnet rzeźbiona pokrywa sarkofagu wybrzuszyła się i pękła z trzaskiem, jak gdyby naparto na nią od środka z potężną siłą, i pochyliwszy się ciekawie w przód dojrzeli mumię — skuloną, pomarszczoną i wyschniętą sylwetę, której brązowe członki wyzierały spośród przegniłych bandaży na kształt zmurszałych konarów.

— Ożywić to coś? — wymamrotał z sardonicznym uśmieszkiem drobny ciemnoskóry mężczyzna stojący po prawej stronie. — Rozpadnie się za lada dotknięciem. Głupcy jesteście...

— Szszsz! — syknął rozkazująco wysoki, który dzierżył kamień. Pot wystąpił na jego szerokie białe czoło, a oczy rozszerzyły się. Pochylił się do przodu i nie dotykając mumię złożył na jej piersi gorejący klejnot. Potem odstąpił do tyłu i patrzył z szaleńczym napięciem, jego usta zaś wypowiadały bezgłośnie zakłęcie.

I było tak, jakby kula żywego ognia płonęła migotliwie na martwym pomarszczonym łonie. Przez zaciśnięte zęby obserwatorów z trudem przedostawał się syczący oddech. Albowiem przed ich oczyma dokonywała się przerażająca przemiana. Zaszuszone postaci w sarkofagu jęła rosnać, poszerzać się, wydłużać. Bandaże pękły i rozsypały się w brązowy proch. Skurczone kończyny nabrzmiały, wyprostowały się. Ich mroczna barwa

poczęła jaśnieć.

— Na Mitrę! — wyszeptał wysoki złotowłosy mężczyzna z lewej strony. — Nie był Stygijczykiem. To przynajmniej jest prawdą.

I znów drżący palec nakazał ciszę. Pies w dali już nie wył. Skamlał teraz, jakby dręczony koszmarnym snem, lecz i ten odgłos wkrótce zamarł, a w ciszy nagle zapadłej złotowłosy mąż wyraźnie usłyszał skrzypienie ciężkich drzwi, jak gdyby ktoś z wielką mocą napierał na nie od zewnątrz. Z dłonią na mieczu jął się tedy odwracać, ale człowiek w gronostajach syknął ostrzegawczo:

— Zostań! Nie przerywaj łańcucha! I nie idź do drzwi, jeśli ci życie miłe!

Jasnowłosy wzruszył ramionami, odwrócił się i nagle stanął jak wryty. W jaspisowym sarkofagu spoczywał żywy człowiek: wysoki, krzepki, nagi, o białej skórze, czarnowłosy i czarnobrody. Leżał bez ruchu z szeroko rozwartymi oczyma, równie nieświadomymi i pozbawionymi wyrazu jak oczy nowo narodzonego dziecięcia. Na jego piersi wciąż jarzył się i migotał ogromny klejnot.

Mężczyzna w futrze zatoczył się niby ogarnięty słabością po chwilach nieludzkiego napięcia.

— Isztar! — sapnął. — To Xaltotun!... i on żyje. Valeriusie! Tarascusie! Amalricu! Czy widzicie? Czy widzicie? Wątpiliście we mnie... ale ja nie zawiodłem! Byliśmy dzisiejszej nocy o krok od rozwartych wrót piekieł i tuż obok nas zgromadziły się bestie ciemności — tak, podażyły za nim do samych wrót — ale przywróciliśmy do życia wielkiego maga.

— I, nie wątpię, skazaliśmy nasze dusze na męki wieczyste — wymamrotał niski, śniady Tarascus.

Jasnowłosy, Valerius, roześmiał się szeroko.

— Jakież męki mogą być gorsze od samego życia? Wszyscy jednakowo przekłęci jesteśmy od dnia narodzin. A poza tym, kto by za tron nie sprzedał swej żalosnej duszyczki?

— Nie masz inteligencji w jego wzroku, Orastesie — ozwał się ogromny Amalric.

— Długo był martwy — odparł Orastes. — Jest jak człek nagle wyrwany ze snu, który w jego duszy posiał Pustkę. Złe mówię: był martwy, nie uspiomy. Na powrót przywiedliśmy jego duszę skroś otchłanne wiry nocy i zapomnienia. Ja doń przemówię.

Pochylił się nad sarkofagiem i wbiwszy wzrok w ciemne oczy spoczywającego w nim człowieka, ozwał się powoli:

— Xaltotunie, zbudź się.

Wargi zmartwychwstańca poruszyły się mechanicznie.

— Xaltotunie — wyrzekł głuchym szeptem.

— Tyś jest Xaltotun — oświadczył Orastes tonem hipnotyzera, który wmawia coś w uspionego. — Tyś jest Xaltotun z Pythonu w Acheronie.

W ciemnych oczach zamigotał wąty promyk.

— Byłem Xaltotunem — dał się słyszeć szept. — Jestem martwy.

— Tyś Xaltotun! — wykrzyknął Orastes. — Nie jesteś martwy, żyjesz!

— Jestem Xaltotunem, ale martwy spoczywam w stygijskim Khemi, gdzie skonalem.

— Kapłani, którzy zadali ci jadu, za pomocą mrocznej swej sztuki zmumifikowali twe ciało i wszelkie organa zachowali w stanie nienaruszonym — oznajmił Orastes. — Ale teraz znów żyjesz! To Serce Arymana przywróciło ci życie, ściągnąwszy twą duszę spoza czasu i przestrzeni.

— Serce Arymana! — Ogień przypomnienia zapłonął jaśniej. — Barbarzyńcy mi je ukradli!

— Pamięta — mruknął Orastes. — Wyjmijcie go z sarkofagu.

Posłuchali z wahaniem, jakby nieradzi dotknąć człowieka, którego wskresili, i wcale nie wróciła im pewność, gdy poczuli pod palcami jędrne muskularne ciało tętniące krwią i życiem. Przenieśli go wszelako na stół, Orastes zaś oblekł Xaltotuna w osoblivą ciemną szatę z aksamitu zdobną rozszanym wzorem z gwiazd i półksiężyców, a potem narzucił mu na skronie zawój ze złotogłowiu, który skrył opadające na ramiona czarne kędziory.

Pozwalał czynić ze sobą wszystko i nic nie mówił, nawet wówczas, gdy usadzili go w podobnym do tronu krześle o wysokim hebanowym oparciu, szerokich srebrnych poręczach i nogach wyrobionych w kształt złotych pazurów.

Siedział nieruchomo i z wolna inteligencja poczyniała rozpalać się w jego ciemnych oczach, które nabierały głębi, stawały się zagadkowe i świetliste. I było tak, jakby ukryte z dawien dawna światła magiczne wypływały niespiesznie na powierzchnię z otchłannych głębin nocy.

Orastes ukradkiem zerknął na kompanów, którzy ogarnięci niezdrową fascynacją gapili się na swego niezwykłego gościa. Stalowe ich nerwy wytrzymały próbę, co ludzi miększych byłaby przywiodła do szaleństwa. Wiedział, że nie ze stabeuszami zawiązał spisek, lecz mężami, których odwaga była równie głośna, co burzycielskie ambicje i zdolność czynienia zła. Potem obrócił uwagę na postać w krześle o hebanowym oparciu. A ta na koniec przemówiła.

— Pamiętam — rozległ się silny dźwięczny głos w języku nemedijskim o dziwnym archaicznym akcencie.

— Jam jest Xaltotun, który był arcykapłanem Seta w acherońskim Pythonie. Serce Arymana — śniłem, że je odnalazł — gdzież ono jest?

Orastes włożył mu je w dłoń i wstrzymał oddech, wpatrzony w głębię strasznego klejnotu płonącego teraz

w garści Xaltotuna.

— Skradziono mi je dawno temu — rzekł ów. — Jest ono krwawym sercem mroku, zdolnym nieść ratunek lub przekleństwo. Z wielkiej dali przybyło — i z głębin czasu. Póki je miałem w swych dłoniach, nikt nie mógł mi sprostać. Ale skradziono je i padł Acheron, ja zaś, jako wygnaniec, umknąłem do mrocznej Stygii. Wiele pamiętam, ale i wiele zapomniałem. Byłem w dalekiej krainie za mglistymi otchłaniami, zatokami i mrocznymi oceanami. Jaki mamy rok?

— Zmierzch roku Lwa — odparł Orastes — trzy tysiące lat od upadku Acheronu.

— Trzy tysiące lat! — mruknął Xaltotun. — Tak wiele? Kim jesteście?

— Ja jestem Orastes, niegdyś kapłan Mitry. Ten człek to Amalric, baron Tor w Nemedii, ów drugi to Tarascus, młodszy brat króla tej krainy. Ten zaś wysoki to Valerius, prawy dziedzic tronu Aquilonii.

— Czemuście dali mi życie? — zapytał Xaltotun. — Czego ode mnie żądacie?

Był już w pełni ożywiony i przytomny, a przenikliwe jego oczy dawały świadectwo, iż nic nie przyćmiewa pracy umysłu. Z zachowania jego zniknęło wahanie i niepewność. Przeszedł wprost do rzeczy, jak ktoś, kto wie, że nic nie daje się za darmo. Orastes odplacił mu równą szczerością.

— Rozwarliśmy dzisiejszej nocy wrota piekieł, by wyswobodzić twą duszę i przywrócić ją ciału, albowiem potrzebujemy twojej pomocy. Pragniemy osadzić Tarascusa na tronie Nemedii, dla Valeriusa zaś zdobyć koronę Aquilonii. Twoja sztuka czarnoksięska może nam w tym pomóc.

— Ty sam musisz być głęboko wtajemniczony w owe kunszta, Orastesie — rzekł przebiegle Xaltotun — skoro zdołałeś przywrócić mi życie. Jakimże sposobem wie kapłan Mitry o Sercu Arymana i zna inkantacje ze Skelos?

— Nie jestem już kapłanem Mitry — odparł Orastes. — Pozbawiono mnie tej godności, albowiem oddałem się czarnej magii. Gdyby nie obecny tu Amalric, byłbym spłonął na stosie jako czarownik. Dzięki temu jednak, co się stało, mogłem kontynuować swe studia. Podróżowałem po Zamorze, Vendhyi, Stygii, a także śród nawiedzonych dżunglii Khitaju. Czytałem oprawne w żelazo księgi Skelos, rozmawiałem z niewidzialnymi istotami z otchłannych studni, w mrocznych zaś, spowitych w cuchnące opary dżunglach, z postaciami bez oblicza. W nawiedzanych przez demony kryptach pod czarną, chronioną gigantycznym murem świątynią Seta w samym sercu Stygii dostrzegłem twój sarkofag i opanowałem kunszta zdolne przywrócić życie twemu zasuszonemu ciału. Ze zbutwiałych manuskryptów dowiedziałem się o Sercu Arymana. Potem przez rok szukałem miejsca, gdzie je ukryto, by doń w końcu trafić.

— Czemu tedy zadałeś sobie trud, by mnie ożywić? — zapytał Xaltotun przeszywając kapłana spojrzeniem. — Czemuś nie użył Serca, by spotęgować własne moce?

— Bo żaden z żyjących dziś ludzi nie zna tajemnic Serca — odparł Orastes. — Umiejętności, dzięki którym objawić ono może swą pełną potęgę, nie przetrwały nawet w legendach; głębszych jego sekretów nie jestem świadom — użyłem go tylko, by cię ożywić. Pragniemy skorzystać z twojej wiedzy. Tylko ty znasz straszliwe tajemnice Serca.

Xaltotun potrząsnął głową patrząc z zadumą w płomienne głębie klejnotu.

— Moja czarnoksięska wiedza większa jest od zebranej w jedno wiedzy innych ludzi — powiedział — a przecież i ja nie znam pełnej potęgi kamienia. Nie przywoływałem jej w dawniejszych czasach, bacząc tylko, by nie została obrócona przeciwko mnie. W końcu klejnot skradziono; w dłoniach przystrojonego w pióra szamana barbarzyńców przemógł mą potężną sztukę magiczną. Potem znikł i nim zdołałem poznać miejsce jego ukrycia, zostałem otruty przez zawistnych stygijskich kapłanów.

— Ukryty był w pieczarze pod tarantyjską świątynią Mitry — rzekł Orastes. — Odszukawszy twe szczątki w stygijskiej podziemnej świątyni Seta, dowiedziałem się tego przebiegłymi sposobami. Złodzieje z Zamory, chronieni w części zaklęciami, jakie poznałem ze źródeł, o których lepiej zamilczeć, wykradli twój sarkofag ze szponów jego mrocznych strażników; karawana wielbłądów, galera i zaprzęg bawoli dowiozły go wreszcie do tego miasta. Ci sami złodzieje — a raczej ci tylko, co przeżyli okropną wyprawę — skradli Serce Arymana z nawiedzanej pieczary pod świątynią Mitry: cały kunszt ludzi i zaklęcia czarnoksięskie nieomal zawiodły. Jeden tylko żył dość długo, by przekazać klejnot w me ręce, a potem umarł mając o tym, co widział w przeklętej krypcie. Złodzieje z Zamory są ludźmi ze wszystkich najwierniejszymi i najbardziej godnymi zaufania. Nikt prócz nich — nawet z pomocą mych zaklęć — nie byłby w stanie wykraść Serca z ciemności, w których pod strażą demonów spoczywało ukryte przez trzy tysiące lat, jakie minęły od upadku Acheronu.

Xaltotun uniósł swą lwią głowę i wpatrzył się w nicość, jakby usiłując zgłębić utracone stulecia.

— Trzy tysiące lat! — mruknął. — Na Seta! Opowiedz, co przydarzyło się na świecie.

— Barbarzyńcy, którzy obalili Acheron, utworzyli nowe królestwa — rzekł Orastes. — Gdzie niegdyś rozciągało się imperium, powstały dziedziny: Aquilonia, Nemedii i Argos, zwane tak od plemion, które im dały początek. Starsze królestwa — Ophir, Corinthia i zachodnie Koth, podległe dawniej władcom Acheronu — z upadkiem cesarstwa odzyskały niezawisłość.

— Co zaś z ludem Acheronu? — pytał Xaltotun. — Gdy umykałem do Stygii, Python leżał w gruzach, a wszystkie wielkie grody Acheronu o purpurowych wieżach spłynęły krwią i deptane były sandałami barbarzyńców.

— Niewielkie gromady ludu górskiego wciąż chępią się pochodzeniem od Acherończyków — odparł

Orastes. — Co się zaś tyczy pozostałych, przetoczyli się przez nich moi barbarzyńscy przodkowie i zmiotli ich z powierzchni ziemi. Wiele bowiem wycierpieli od władców Acheronu.

Okrutny i posępny uśmiech wykrzywił wargi Pythonijczyka.

— A tak! Niejeden barbarzyńca, zarówno mąż jak i niewiasta, szczył z wrzaskiem na ołtarzach pod tą ręką. Widziałem, jak na głównym placu Pythonu usypywano z ich głów piramidy, gdy królowie powracali z zachodu wioząc łupy i nagich brańców.

— Tak. Zatem nie próżnował miecz w dniu zapłaty i Acheron przestał istnieć, a Python o purpurowych wieżach stał się legendą dawno minionych dni. Atoli na ruinach cesarstwa wyrosły i spotężniały młodsze królestwa. I teraz przywiedliśmy cię na powrót, byś pomógł nam nimi władać, o ile bowiem nie są równie osobliwe i cudowne jak dawny Acheron, to przecież na tyle bogate i potężne, że warto o nie walczyć. Spójrz!

— i Orastes rozwinął przed gościem mapę kunsztownie wykreśloną na welinie.

Xaltotun omiół ją spojrzeniem, a potem w oszołomieniu pokręcił głową.

— Zmieniły się nawet zarysy łądów. Wyglądają jak rzecz znajoma, choć zniekształcona w fantastycznym śnie.

— Wszelako — odrzekł Orastes, ukazując palcem — tu jest Belverus stolica Nemedii, gdzie się znajdujemy. A tu widzisz granice ziem nemedyjskich. Na południu i południowym wschodzie leżą Ophir i Corinthia, na wschodzie Brythunia, na zachodzie zaś Aquilonia.

— To mapa świata, którego nie znam — rzekł cicho Xaltotun, ale Orastes nie przegapił żywego ognia nienawiści, jaki zapłonął w jego ciemnych oczach.

— To mapa, którą pomożesz nam zmienić — stwierdził. — Pragniemy na początek osadzić Tarascusa na tronie Nemedii. Pragniemy osiągnąć ów cel bez rozlewu krwi i w sposób, który nie rzuci na Tarascusa żadnych podejrzeń. Nie chcemy, żeby kraj został rozdarty wojną domową, ale by całą swą potęgę zachował na podbój Aquilonii. Gdyby król Nimed i jego synowie zmarli śmiercią naturalną, powiedzmy w czasie zarazy, Tarascus zasiadłby na tronie jako najbliższy spadkobierca, w pokoju i bez przeszkód.

Xaltotun przytaknął w milczeniu, Orastes zaś ciągnął:

— Kolejne zadanie będzie trudniejsze. Nie zdołamy unikając wojny osadzić Valeriusa na tronie Aquilońskim, a będzie owe królestwo przeciwnikiem potężnym. Jego lud to rasa twarda i wojownicza, zahartowana w ustawicznych walkach z Piktami, Zingaryjczykami i Cymmeryjczykami. Od pięciu stuleci jest Aquilonia z Nemedią w stanie wojny, i ostateczne zwycięstwo zawsze przypadało Aquilończykom.

Ich dzisiejszy władca to największy rycerz wśród ludów zachodu. Jest cudzoziemcem — awanturnikiem, który przemocą zdobył koronę w czasie wojny domowej, zdusiwszy własnoręcznie króla Namedidesa na jego tronie. Zwie się Conan i nie ma czelka, co by mu sprostał w boju.

Valerius jest teraz prawym dziedzicem tronu. Został wygnany przez swego królewskiego krewniaka Numedidesa i wiele lat pozostawał poza ojczystym krajem, ale w jego żyłach płynie krew dawnej dynastii i wielu baronów tajemnie pochwali obalenie Conana, który nie tylko królewskiej, a nawet szlacheckiej nie jest krwi. Ale pospólstwo jest mu lojalne, jak też szlachta dalszych prowincji. Gdyby wszelako jego siły zostały pokonane w bitwie, od której wszystko musi się zacząć, sam zaś Conan zabity, nie sądzę, by rzeczą trudną było osadzenie Valeriusa na tronie. Zaiste, ze śmiercią Conana przestałby istnieć jedyny ośrodek władzy. Conan nie przynależy do żadnej dynastii, jest samotnym awanturnikiem.

— Chciałbym zobaczyć tego króla — zadumał się Xaltotun, zerkając na srebrzyste lustro wypełniające jeden z kasetonów ściany. Lustro nie dawało odbicia, ale wyraz twarzy Xaltotuna zdradzał, że rozumie jego przeznaczenie, na co Orastes skinął głową z dumą, jaką czerpie dobry rzemieślnik z uznania wyrażonego swym osiągnięciem przez prawdziwego mistrza.

— Spróbuję ci go ukazać — rzekł. I zasiadłszy przed zwierciadłem, wpatrzył się hipnotycznie w jego głębię, gdzie w końcu ją przybierać kształty rozmazany cień.

Rzecz była niesamowita, lecz widzowie pojmowali, że jawi się oto przed ich oczami ledwie lustrzane odbicie Orastesowej myśli; takim samym sposobem kula magiczna odzwierciedla myśl czarnoksiężnika. Zrazu mglisty i rozedrgany, przybrał nagle wizerunek zdumiewającą ostrość — zobaczyli rosnącego męża, szerokiego w ramionach, o potężnej piersi, grubej, węzlastej szyi i tęgo umięśnionych członkach. Odziany był w jedwab i aksamit; złote lwy Aquilonii zdobyły jego bogaty kaftan, na równo przyciętej czarnej grzywie lśniła korona, atoli obosieczny miecz u boku zdawał się doń bardziej pasować niż wszelkie regalia. Pod niskim szerokim czółem wulkaniczny błękit oczu jarzył się jakimś wewnętrznym ogniem. Jego śniada, pokiereszowana i niemal odpychająca twarz była obliczem wojownika, aksamitna zaś szata nie mogła ukryć niebezpiecznej twardości ciała.

— Ten człowiek nie jest Hyboryjczykiem! — zakrzyknął Xaltotun.

— Nie, to Cymmeryjczyk, członek jednego z owych dzikich plemion, co zamieszkują szare pogórza pomocy.

— Wojowałem z jego praprzodkami — mruknął Xaltotun. — Nie zdołali ich podbić nawet królowie Acheronu.

— Cymmeryjczycy wciąż napawają grozą ludy południa — odparł Orastes. — On zaś jest prawym synem tej dzikiej rasy; dowiódł, jak dotąd, że nikt mu sprostać nie zdoła.

Xaltotun nic nie rzekł; siedział zapatrzony w zgęstek żywego ognia, co migotał w jego dłoni. Na dworze długi i przejmująco zawył pies.

## 2. PODMUCH CZARNEGO WIATRU

Rok Smoka przyszedł na świat wśród wojny, zarazy i niepokoju. Czarny mór przemierzał ulice Belverusu, powalając kupca w jego kramie, niewolnika w szopie, rycerza przy stole biesiadnym. Bezradne były w jego obliczu kunszta konowałów. Mówiono, że jest piekielną karą za grzechy dumy i lubieżności. Był szybki i śmiercionośny jak atak żmii. Skóra zarażonego purpurowiała i czerniała, po paru minutach nieszczęsny osuwał się na ziemię w agonii i nim jeszcze śmierć ze wszystkim wyrwała duszę z gnijącego ciała, czuł w nozdrzach odór własnego rozkładu. Gorący hałaśliwy wiatr dał nieustannie z południa, uprawy marniały na polach, a było zdychało na pastwiskach.

Lud wzywał imienia Mitry i mruczał przeciwko królowi, jakimś bowiem sposobem po całym państwie rozeszła się pogłoska, że pod osłoną ścian swego pałacu władca oddaje się potajemnie odrażającym praktykom i plugawym orgiom. A potem do owego pałacu szczerząc zęby wkrađa się śmierć, wokół jej stóp zaś snuły się i wirowały potworne opary zarazy. I jednej nocy umarł król wraz z trzema synami, a głoszące ich śmierć werble żałobne zagłuszyły posępny i przeraźliwy dźwięk dzwonek, którymi obwieszczają się wozy zbierające z ulic gnijące zwłoki.

Owej nocy, tuż przed świtem, wiejący od tygodni gorący wiatr przestał szeleścić złowieszczą jedwabnymi zasłonami. Z północy nadleciała wichura i zadudniła wśród wieżyc; rozległy się mocarne grzmoty, zamigotały oślepiająco włócznie piorunów i lunął deszcz. Ale ranek wstał czysty, zielony i przeźroczysty; wypalona ziemia okryła się płaszczem traw, spragnione zboża na powrót wyrwały się ku niebu i zaraza odeszła, bo potężny wiatr wywiał z kraju jej miazmaty.

Mówiono, że bogowie są radzi, gdyż szczęł grzeszny król ze swoim pomiotem, a kiedy w wielkiej sali tronowej koronowano jego młodszego brata Tarascusa, lud, witając króla, któremu sprzyjają bogowie, wiwatował tak, że drżały wieże.

Podobna fala radości i entuzjazmu często zwiastuje zdobywcą wojnę. Nikt tedy nie był zaskoczony, gdy oznajmiono, że król Tarascus uznał rozejm zawarty przez zmarłego władcę z zachodnimi sąsiadami za nieważny i gromadzi wojska dla napaści na Aquilonię. Jego rozumowanie było jasne: motywy, szeroko rozgłaszane, przydawały posunięciom szlachetnego pozoru krucjaty. Popierał sprawę Valeriusa, „prawego dziedzica tronu”, przybywał — wedle własnych słów — nie jako wróg Aquilonii, lecz jako przyjaciel, by wyzwolić lud spod tyranii uzurpatora i cudzoziemca.

Jeśli nawet tu i ówdzie pojawiały się cyniczne uśmieszki jak też poszeptywania dotyczące zacnego królewskiego przyjaciela Amalrica, którego potężny osobisty majątek zdawał się płynąć do przetrzebionego raczej skarbcza królewskiego, to jednak na ogólnej fali zapału i popularności Tarascusa nie zwracano na nie szczególnej uwagi. Człowiek na tyle przenikliwy, by podejrzewać, że prawdziwym, choć zakulisowym władcą Nemedii jest Amalric, wystrzegał się jednak głoszenia podobnych herezji. I wśród entuzjazmu i kontynuowano wojnę.

Król i jego sprzymierzeńcy ruszyli ku zachodowi na czele pięćdziesięciu tysięcy ludzi — ciężkozbrojnych rycerzy z proporczykami powiewającymi nad ławą hełmów, włócznie w stalowych czepcach i łuskowych półpancerzach, kuszników w skórzanych kaftanach. Przekroczyli granicę, biorąc strzegący jej zamek, spalili trzy górskie wioski, a potem, w dolinie Valkii, dziesięć mil w głąb kraju, stanęli oko w oko z armią Conana, króla Aquilonii — czterdziestopięciotysięcznym wojskiem złożonym z knechtów, łuczników i rycerstwa, kwiatem Aquiloniskiej potęgi. Nie przybyli tylko jeszcze wojownicy poitańscy pod Prosperem, droga ich bowiem wiodła aż z południowo-zachodniego kąta królestwa. Tarascus uderzył bez ostrzeżenia, a inwazja Aquilonii deptała po piętach jego oświadczeniom i nie została poprzedzona formalnym wypowiedzeniem wojny.

Obie armie stanęły naprzeciw siebie, rozdzielone szeroką płytką doliną o urwistych krawędziach, której dnem wiał wśród gęstwy krzaków i wierzb niegłęboki strumień. Markietanki obydwu wojsk zeszyły zaczerpnąć zeń wody i stojąc na przeciwległych brzegach miotły na siebie zniewagi i kamienie. Ostatnie promienie słońca padły na złocisty sztandar Nemedii ze szkarłatnym smokiem, powiewający na wietrze nad ustawionym na wzniesieniu w pobliżu wschodniego stoku doliny namiotem króla Tarascusa. A cienie zachodniego urwiska padały jak olbrzymi purpurowy całun na obozowisko Aquiloniskie i furkoczący nad namiotem króla Conana porporzec ze złocistym lwem.

Całą noc ogniska rozświetlały dolinę, wiatr niósł głos trąbek, szczęk oręża i ostre wezwania straży przemierzających konno oba brzegi porośniętego wierzbina strumienia.

W mrokach poprzedzających przedświt król Conan poruszył się na swym łożu, które nie było niczym więcej, jak tylko stosem futer i jedwabi rzuconych na drewnianą podstawę, i obudził się. Poderwał się z chrapliwym okrzykiem chwytając za miecz. Zaalarmowany owym okrzykiem, wbiegł Pallantides, sprawca wojsk, i zobaczył swego króla siedzącego sztywno z dłonią na rękojeści miecza; pot sływał z jego osobliwie poblądłej twarzy.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Wasza Wysokość! — zawołał Pallantides — czy coś się stało?

— Co w obozie? — zapytał Conan. — Straże czuwają?

— Pięcuset konnych patroluje strumień, Wasza Wysokość — odparł generał. — Nemedycyzy nie zdecydowali się wystąpić przeciw nam w nocy. Jako i my czekają świtu.

— Na Croma — mruknął Conan. — Obudziłem się z przeczuciem, że zguba skrada się ku mnie skroś mroki.

Zapatrzył się na wielką złocistą lampę rozświetlającą łagodnie aksamitne kotary i kobierce olbrzymiego namiotu. Byli sami; żaden niewolnik ani paż nie spał u królewskich stóp. Ale oczy Conana jarzyły się takim samym ogniem, jakim zwykły płonąć w obliczu największego niebezpieczeństwa, a miecz drżał mu w dłoni. Pallantides obserwował go z niepokojem. Conan z pozoru nasłuchiwał.

— Uważaj! — syknął. — Słyszalesz? Ktoś się skrada!

— Siedmiu rycerzy strzeże twego namiotu, Wasza Wysokość — odparł Pallantides. — Nikt się doń nie zdoła zbliżyć niepostrzeżenie.

— Nie na zewnątrz — warknął Conan. — Zdało mi się, że słyszałem kroki w środku!

Pallantides rzucił wokół siebie szybkie oszołomione spojrzenie. Po kątach kotary zlewały się z cieniami w jedność, gdyby wszakże w namiocie przebywał jeszcze ktoś poza nim i królem, Pallantides byłby go dostrzegł. Znowu pokręcił głową.

— Nikogo tu nie ma, panie. Spisz w samym sercu swej armii.

— Widziałem śmierć powalającą króla wśród tysięcy — wymamrotał Conan. — Coś, co stąpa na niewidzialnych stopach i nie jawi się oczom...

— Może śniłeś, Wasza Wysokość — podsunął zbity nieco z tropu Pallantides.

— Bo też śniłem — mruknął Conan. — I był to sen szatański. Stąpałem jeszcze raz po owych długich, nużących drogach, które przebyłem zmierzając ku koronie.

Zamilkł, a Pallantides patrzył nań bez słowa. Dla generała, jak również większości cywilizowanych poddanych, król stanowił zagadkę. Pallantides wiedział, że w swym dzikim, obfitym w wydarzenia życiu Conan przemierzył wiele niezwykłych dróg, zanim kaprys Losu nie osadził go na tronie Aquilonii.

— Znowu ujrzałem pobojuwisko, na którym się urodziłem — rzekł Conan w zadumie, opierając podbródek na potężnym kułaku. — Widziałem się, jak w przepasce ze skóry pantery miotam włócznią w górską zwierzynę. Znowu byłem najemnym rębaczem, hersztem munganów, korsarzem łupiącym wybrzeża Kush, piratem z Wysp Baracha, wodzem himeliańskich góralów. Byłem każdym z nich i każdy z nich mi się przyśnił; wszystkie postacie, które były mną, przeszły mimo w procesji bez końca, a ich stopy wybijały w pylistym gościńcu żałobny werbel.

Ale też przewijały się w mym śnie niesamowite zamaskowane sylwety, a odległy głos naigrawał się ze mnie. Pod koniec zdało mi się, że widzę, jak leżę na tym łożu w swoim namiocie, nade mną zaś pochyła się zakapturzona postać w obszernych szatach. Leżałem niezdolny poruszyć się i oto spadł kapturek i zobaczyłem, że szczerzy na mnie zęby murszejący czerep. Wtedy się rozbudziłem.

— To koszmarny sen, Wasza Wysokość — rzekł Pallantides opanowując dreszcz — ale nic ponad to,

Conan pokręcił głową w geście oznaczającym bardziej zwątpienie niż zaprzeczenie. Pochodził z ludu barbarzyńskiego i przesady, a także instynkty przodków czały się tuż pod powierzchnią jego trzeźwej świadomości.

— Wiele już miałem koszmarnych snów — powiedział — a większość z nich nie znaczyła nic. Ale, na Croma, ten był inny od wszystkich! Żebyśmy już mieli za sobą tę bitwę, i to zwycięską, bo od dnia, w którym król Nimed umarł od czarnej zarazy, paskudne mam przeczucia. Czemu odstąpiła, kiedy umarł?

— Powiadają, że grzeszył...

— Głupoty, jak zawsze — mruknął Conan. — Gdyby mór skosił wszystkich, co grzeszą, na Croma, nawet ocalałych nie dałoby się policzyć, bo i liczyć by nie miał kto! Czemuż bogowie — o których prawią mi kapłani, że są sprawiedliwi — mieliby zgładzić pięć setek chłopów, kupców i szlachty przed ubiciem króla, jeśli to weń właśnie miała uderzyć zaraza? Więc bogowie cięli na ośle, jak czyni to rębacz we mgle? Na Mitrę, gdybym ja zadawał ciosy z taką celnością, już dawno miałaby Aquilonia nowego władcę.

Nie! Czarny mór nie był pospolitą zarazą. Drzemie zwykle w stygijskich grobowcach i przyzywany bywa jedynie przez czarnoksiężników. Gdym wojował w armii księcia Almurica, co najechała Stygię, z trzydziestu tysięcy naszych piętnaście szczerło od strzał Stygijczyków, a pozostałych piętnaście od zarazy morowej spadłej na nas z południa jak pustylny wiatr. Jam jeden przeżył.

— A przecież w Nemedii umarło ledwie pięcuset — zgłosił zastrzeżenie Pallantides.

— Ktokolwiek ową zarazę przywołał, wiedział, jak wedle woli położyć jej koniec — odrzekł Conan. — Tedy pojąłem, że jest w tym wszystkim coś zamierzonego i diabelskiego. Ktoś ją ściągnął, ktoś ją przegnał, kiedy robota została zakończona — kiedy Tarascus sławiony jako zbawca ludu przed gniewem bogów pewnie rozsiadł się na tronie. Na Croma, czuję za tym mroczny a subtelny umysł. Co wiesz o owym cudzoziemcu, który, jak gadają, służy Tarascusowi poradą?

— Zakrywa twarz — odparł Pallantides — i mówią, że jest cudzoziemcem, przybyszem ze Stygii.

— Przybysz ze Stygii! — powtórzył Conan z grymasem. — Przybysz z piekiel raczej! Ha, a to co znowu?

— Trąby Nemedyczyków! — zakrzyknął Pallantides. — I słyszę, jak odpowiadają im nasze! Świta już i setnicy ustawiają oddziały w gotowości do boju! Niech ich Mitra ma w swej opiece, wielu bowiem nie zobaczy słońca, gdy kryć się ono będzie za skałami.

— Przyślij mi giermków! — zakrzyknął Conan, powstając ochoczo i zrzucając aksamitną szatę nocną; mając w perspektywie działanie, zapomniał, zda się, o swych obawach. — Idź do setników i sprawdź, czy wszystko w gotowości. Dołączę do ciebie, jak tylko przywdzieję zbroję.

Wiele z Conanowych obyczajów stanowiło zagadkę dla cywilizowanych ludzi, którymi władał, na przykład nacisk, z jakim upierał się, by spać samotnie w swej komnacie czy namiocie. Pallantides pospiesznie wyszedł z pawilonu, pobrzękując zbroją, którą przyoblekł był o północy, po kilku godzinach spoczynku. Szybkim spojrzeniem omiół obozowisko budzące się do rojnego życia; szczękały zbroje, a niewyraźne sylwetki ludzkie przemykały się w mętym świetle między długimi szeregami namiotów. Na zachodzie wciąż blade migotały gwiazdy, lecz horyzont wschodni różowiły już długie smugi i na ich tle smoczy sztandar Nemedii rozprężył swe pomarszczone jedwabne fałdy.

Pallantides skierował się ku stojącemu w pobliżu mniejszemu namiotowi, w którym spali giermkowie królewscy. Rozbudzeni dźwiękiem trąbek, wysypywali się już na zewnątrz. Pallantides nakazywał im właśnie pośpiech, gdy sparaliżował go i pozbawił mowy dobiegający z namiotu królewskiego głęboki przeraźliwy okrzyk i odgłos głuchego uderzenia, po którym dał się słyszeć dźwięk, jaki wydaje padające ciało. I jeszcze niski śmiech, który zmroził krew generała.

Pallantides wrzasnął i zawróciwszy na pięcie pognął do pawilonu. Raz jeszcze krzyk wydarł się z jego ust, gdy zobaczył rozciągniętą na kobiercu potężną postać Conana. Wielki dwuręczny miecz króla spoczywał nie opodal jego dłoni, a roztraskany maszt namiotu zdawał się wskazywać, gdzie zostało skierowane uderzenie. Z dobytym orężem w garści Pallantides powiódł po namiocie srogim spojrzeniem, ale niczego nie zobaczył. Tak jak poprzednio, w namiocie znajdowali się tylko król i on sam.

— Wasza Wysokość! — Pallantides rzucił się na kolana obok powalonego olbrzyma.

Oczy Conana były otwarte, gorzały pełną inteligencją i świadomością. Jego wargi drgały, ale nie wypowiedziały żadnego słowa. Zdawał się niezdolny poruszyć.

Na zewnątrz rozległy się głosy. Pallantides zerwał się szybko i postąpił ku drzwicom. Stali tuż obok nich giermkowie królewscy i jeden z rycerzy strzegących namiotu.

— Usłyszeliśmy w środku hałas — rzekł wyjaśniająco rycerz. — Czy nic się królowi nie stało?

Pallantides popatrzył nań badawczo.

— Czy tej nocy wchodził ktoś do namiotu albo zeń wychodził?

— Nikt, panie, prócz ciebie — odparł rycerz, a Pallantides nie wątpił w jego uczciwość.

— Król się potknął i upuścił miecz — wyjaśnił krótko. — Wracaj na posterunek.

Gdy rycerz odszedł, generał ukradkiem skinął na giermków, a kiedy ci podążyli za nim do namiotu, dokładnie zaciągnął kotarę. Pobledli na widok króla rozciągniętego na kobiercu, ale szybki gest Pallantidesa powstrzymał ich okrzyki.

Generał znów pochylił się nad Conanem, który i tym razem spróbował przemówić. Żył na jego skroniach i mięśnie szyi napęczniały z wysiłku, i zdołał nieco unieść głowę. Na koniec dały się słyszeć słowa, zniekształcone i ledwie zrozumiałe:

— Bestia... bestia tam w kącie!

Pallantides podtrzymał głowę króla i z obawą rozejrzał się dokoła. Zobaczył w świetle lampy blade twarze giermków i aksamitne cienie przyczajone wzdłuż ścian namiotu. To wszystko.

— Nic tu nie ma, Wasza Wysokość — powiedział.

— Był tam, w kącie — wymamrotał król, rzucając na boki głową o lwiej grzywie i czyniąc próbę powstania.

— Człowiek — przynajmniej wyglądał jak człowiek — spowity w szaty na kształt bandaży mummii, odziany w przegniły płaszcz i kaptur. Ledwie widziałem jego oczy, gdy trwał przyczajony w kącie. Myślałem że to cień, póki nie ujrzałem oczu. Były jak czarne klejnoty.

Ruszyłem, godząc weń mieczem, ale chybiłem — Crom wie, jakim sposobem — i roztraskałem ów maszt. Chwylił mnie za rękę i zachwiałem się, a jego palce parzyły jak rozżarzone żelazo. Cała moc ze mnie uszła, ziemia podniosła się i uderzyła mnie jak maczuga. Potem zniknął, a ja leżałem i, niech będzie przeklęty, ruszyć się nie mogłem. Jestem sparaliżowany!

Pallantides podniósł rękę olbrzyma i przeszedł go dreszcz: na królewskim nadgarstku zobaczył sine odciski długich smukłych palców. Jakaż dłoń mogła ułpać tak krzepko, by zostawić swój ślad na tym potężnym ramieniu? Przypomniał sobie śmiech, jaki usłyszał gnając do namiotu i zimny pot zaperlił się na jego skórze. Tym, który się śmiał, nie był Conan.

— To sprawka szatańska! — wyszeptał drżący giermek. — Gadają, że dzieci mroku wojują po stronie Tarascusa!

— Zamilcz! — rozkazał Pallantides surowo.

Na dworze świt wygaszał gwiazdy. Z gór zerwał łagodny wietrzyk, przynosząc fanfarę tysięcy trąbek. Na ten dźwięk mocny dreszcz przebiegł przez potężne ciało króla. Znów zawężyli się żyły w jego skroniach, gdy podjął następną próbę rozerwania niewidzialnie przykuwających go do ziemi kajdanów.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Odziejcie mnie w zbroję i przywiążcie do siodła — wyszeptał. — Jeszcze poprowadzę ten atak! Pallantides pokręcił głową, a jeden z giermków pociągnął go za tunikę.

— Panie, będziemy zgubieni, jeśli dowie się nieprzyjaciel, że nasz król leży bez mocy! Tylko on mógłby nas dzisiaj powieść ku zwycięstwu.

— Pomóżcie mi go dźwignąć na łożo — odparł generał.

Usłuchali, kładąc bezsilnego olbrzyma na stos futer, a potem okryli go jedwabnym płaszczem. Pallantides zwrócił się ku pięciu giermkom i długo wpatrywał się w ich blade twarze, by wreszcie przemówić:

— Nasze usta muszą milczeć po wieki o tym, co dzieje się w namiocie. Zależy od nas los królestwa Aquilonii. Jeden z was niechaj idzie i przyprowadzi Valannusa, setnika pellijskich włóczników.

Wskazany giermek pochylił głowę i pospiesznie wyszedł z namiotu, Pallantides zaś wpatrywał się w powalonego króla. Na zewnątrz dęto w trąby, warczały werble i w coraz jaśniejszym brzasku narastał zgiełk tysięcznych rzesz ludzkich. W końcu giermek powrócił z oficerem wymienionym przez Pallantidesa — rosnym mężczyzną, szerokim w barach i muskularnym, bardzo z budowy podobnym do króla. Jak Conan miał gęste czarne włosy, ale jego oczy były szare, a rysy nie przypominały królewskich.

— Król zległ od osobliwej choroby — wyjaśni zwięźle Pallantides. — Przypadł ci w udziale wielki honor: odziany w jego zbroję powiedzisz dziś armię do ataku. Nikt wiedzieć nie może, iż to nie król dosiada swojego rumaka.

— To zaszczyt, za który człek by z uciechą oddał życie — wyjąkał setnik przytłoczony nieco swoim zadaniem. — Klnę się na Mitrę, że w owej wielkiej misji nie zawiodę!

I gdy bezsilny król patrzył płonącymi oczyma, w których odbijał się gorzki gniew i dręczące serce poczucie poniżenia, giermkowie rozdiali Valannusa z kolczugi, czepca i nagolenników, by oblec go w Conanowy czarny pancerz oraz grzebieniasty hełm z przyłbicą, nad którym powiewa czarny pióropusz. Na to szła jedwabna jaka z wyszytym na piersi złotym królewskim lwem, a szeroki pas o złotej sprzączce podtrzymywał wsunięty w pochew ze złotogłowi! obusieczny miecz o nabijanej klejnotami rękojeści. Gdy siej przy tym trudzili, trąby czyniły srogi hałas, szczerkała broń, zza rzeki zaś dobiegał głuchy poryk, gdy pułk za pułkiem stawał na pozycji.

Valannus w pełnym rynsztunku przykłęknął i pochyli pióropusz przed spoczywającą na legowisku postacią.

— Panie mój i królu, klnę się na Mitrę, iż nie zhańbię zbroi, którą dziś noszę!

— Przynies mi łeb Tarascusa, a uczynię cię baronem!

Udręka zdarła z Conana cienką cywilizowaną otoczkę.

Oczy mu płonęły, a zęby błyskały taką wściekłością i żądą krwi, jakie mógłby okazać każdy barbarzyńca ze wzgórz Cimmerii.

### 3. WALĄ SIĘ URWISKA

Armia Aquilońska stała już w gotowości — długie zwarte szeregi pieszych i konnych w połyskliwej stali — a gdy z królewskiego pawilonu wyłoniła się ogromna postać w czarnej zbroi, by dosiąść czarnego ogiera podtrzymywanego przez czterech giermków, zawrzała tak, że zadrzały góry. Potrząsając orężem, wszyscy wojownicy — ciężkozbrojni w złocistych pancerzach, pikownicy w kolczugach i czepcach stalowych, łucznicy dzierżący w lewicach ogromne łuki gromowym chórem wyrażali swe uznanie dla króla-wojownika.

Armia po drugiej stronie doliny przemieszczała się, zstępując ku rzece po łagodnym zboczu, a jej stal przeblyskiwała skroś mgły poranka kłębiące się u końskich nóg.

Niespiesznie ruszyli Aquilończycy na ich spotkanie. Równy trucht okrytych kropierzami wierzchowców wprawił ziemię w dygot. Jedwabne wstęgi sztandarów powiewały na rannym wietrze, a ława kopij z furkoczającymi proporcami to podnosiła się, to opadała jak rozkołysany las.

Dziesięciu ciężkozbrojnych, posępnych marsowych weteranów umiejących trzymać język za zębami strzegło królewskiego namiotu, w którym wyglądając przez rozchylone poły pozostawał na służbie jeden giermek. Poza garstką wtajemniczonych nikt z całej potężnej armii nie wiedział, iż to nie Conan dosiada kroczącego na czele wojsk ogromnego rumaka.

Aquilończycy uformowani byli tradycyjnie: największą siłę — pułki ciężkozbrojnych rycerzy — skupiał środek armii; skrzydła stanowiły mniejsze oddziały jazdy, szczególnie konna szlachta, wspierane przez pikowników i łuczników. Ci ostatni byli Bossończykami z Zachodniego Pogranicza, krzepkimi acz niewysokimi ludźmi odzianymi w skórzane kaftany i płytkie stalowe hełmy.

Armia nemedyska ugrupowana była podobnie. Oba wojska zbliżały się do rzeki, przy czym skrzydła szybciej niż centra. W sercu potęgi Aquilońskiej olbrzymi sztandar z lwem łopotał swymi czarnymi fałdami nad stalową sylwetą na czarnym rumaku.

Lecz na swym legowisku w królewskim pawilonie Conan jęczał w udręce duchowej i miotał dziwne pogańskie Przekleństwa.

— Wojska zbliżają się ku sobie — ozwał się giermek. Słysz, jak grzmia trąby! Ha! Słońce krzesze skry z hełmów i ostrzy kopij, aż oczy boją. Barwi rzekę szkarłatem... zaiste, nim dzień minie, prawdziwy to będzie szkarłat!



Nieprzyjaciel dotarł do brzegu. Teraz między wojskami przelatują strzały na kształt jadowitych chmur, co przesłaniają niebo. Ha! Dobrześ wymierzył, łuczniku! Bossończycy rażą celnie! Posłuchaj ich wrzasku!

Do uszu króla, ledwie słyszalny przez ryk trąb i łoskot stali, dotarł dziki gardłowy wrzask Bossończyków, którzy naciągali cięciwy i zwalniali je z doskonałą zgodnością.

— Ich strzelcy próbują naszych związać walką, by dać swoim jeźdźcom możliwość dojścia do rzeki — ciągnął giermek. — Brzegi nie są strome, schodzą łagodnie do samej wody. Rycerze ruszają, pędzą przez wierzbinę. Na Mitrę, łokciowe strzały znajdują każdą szczelinę w ich pancierzach! Walą się z koni mężowie, rozpaczliwie miotają w wodzie. Ani jest głęboka, ani rwąca, a wszelako ludzie toną, ściągani na dno ciężarem zbroi i deptani kopytami rozszalałych rumaków. Teraz rusza konnica Aquilońska. Rycerze wjeżdżają w rzekę i wszczynają bój z jazdą nemedyjską. Woda pieni się u końskich brzuchów, a łomot mieczów o miecze jest ogłuszający!

— Na Crom! — wyrwało się w męce z ust Conana. Życie niespiesznie wnikało im powrót w jego żyły, choć, wciąż nie mógł dźwignąć z leża swej potężnej postaci.

— Skrzydła uderzają u siebie — mówi giermek, — Knechci walczą wręcz w strumieniu, a zza ich pleców szują łucznicy.

Na Mitrę, kusznicy nemedyjscy srodze są przetrzebieni, a Bossończycy ślą strzały wysokim łukiem, by sięgnąć dalszych szeregów. Wraży środek nawet piędzi nie zyskał, a skrzydła zostały odepchnięte od potoku.

— Na Crom, Ymira i Mitrę! — pieklił się Conan. — Bogowie i szatani, dotrzeć mi do walki, żeby choć lec od pierwszego ciosu!

Przez cały upalny dzień bój srożył się jak burza. Dolina drżała od ataków i kontrataków, od świstu strzał, trzasku miażdżonych pawęży i pękających włóczni. Ale wojska aquilońskie utrzymały pozycję. Raz, odepchnięte od rzeki, odzyskały stracony teren kontratakiem wiedzionym przez czarny sztandar powiewający nad jeźdźcem na czarnym rumaku. I dzierżyły prawy brzeg jak żelazna forteca, aż wreszcie mógł giermek zameldować Conanowi, iż Nemedycyjscy cofają się znad rzeki.

— Ich skrzydła rozerwane! — wrzasnął. — Rycerze podają tyły. Ale cóż to? Rusza twój sztandar — środek wojsk wpada w rzekę! Na Mitrę, Valannus prowadzi armię na drugi brzeg!

— Głupiec! — warknął Conan. — To może być fortel. Powinien utrzymywać pozycję; o świcie przybędzie Prospero z korpusem poitaińskim.

— Rycerze wpadają w nawałę strzał! — krzyknął giermek. — Ale nie zwalniają, mkną dalej... przepawili się! Atakują w górę zbocza! Pallantides pchnął im w pomoc za strumień oba skrzydła. Nic więcej uczynić nie mógł. Sztandar z lwem pochyla się i chwieje nad potyczką.

Rycerze nemedyjscy dają odpór. Rozerwani! Podają tyły! Lewe skrzydło umyka co sił w nogach, a nasi włócznicy wyrzynają je w pościgu. Widzę Valannusa, który gna i rąbie jak oszalały. Uniosta go żądza krwi. Ludzie nie słuchają już Pallantidesa. Podążają za Valannusem, biorąc go za Conana, ma bowiem opuszczoną przyłbicę.

Ale patrz! Jest metoda w jego szaleństwie! Z pięcioma tysiącami doborowego rycerstwa omija łukiem front nemedyjski, a tam zamieszanie... patrz! Ich flanki broni urwisko, ale jest w nim nie strzeżona przełęcz. Coś na kształt wielkiej szczeliny, która otwiera się na powrót za szczykami nemedyjskimi. Na Mitrę, Valannus dostrzega szansę i chce ją wykorzystać! Odrzucił nieprzyjacielskie skrzydło i wiedzie swych rycerzy ku owej przełęczy. Omijają z dala zamęt głównej bitwy, przebijają się przez włóczników, wpadają w szczelinę!

— Pułapka! — ryknął Conan, usiłując z trudem unieść górną połowę ciała.

— Nie! — krzyknął triumfalnie giermek. — Cała armia nemedyjska jest na widoku! Zapomnieli o przełęczy! Nie przypuszczali, że zostaną zepchnięci tak daleko. Och głupiec, głupiec Tarascus, który popełnił taki błąd! Widzę, jak z wylotu przełęczy za szczykami nemedyjskimi wyłaniają się lance i proporczyki. Rozniosą owe szyki od tyłu i zmiażdżą je. Mitro, cóż to?

Zachwiał się, gdy niepewne kołysanie poruszyło ścianami namiotu. A w dali, tłumiąc zgiełk walki, podniósł się nieopisanie złowieszczy, głęboki ochrypy ryk.

— Urwiska drżą! — zawył giermek. — Ach, bogowie, cóż to! Spieniona rzeka wylewa się ze swego koryta, wierzchołki skał spadają, drży ziemia, przewracają się konie i pancerni jeźdźcy! Urwiska! Walą się urwiska!

Ostatnim słowem zawtórował zgrzytliwy pomruk i potężny grzmot, po którym ziemia zadrżała. Nad gwarem bitwy zabrzmiały wrzaski szaleńczego przerażenia.

— Runęły urwiska! — zakrzyknął rozgorączkowany giermek. — Runęły w przełęcz, miażdżąc każdą żywą istotę, jaka w niej była! Przez chwilę widziałem wśród kurzu i padających kamieni nasz sztandar z lwem, ale zaraz zniknął! Ha! Nemedycyjscy wrzeszczą triumfalnie! Bo i mają się z czego radować, skały bowiem zgniotły pięć tysięcy najmężniejszych naszych rycerzy — słuchaj!

Do uszu Conana jeła dopływać potężna rzeka dźwięków, coraz bardziej i bardziej rozpaczliwych:

— Zginał król! Zginał król! Uciekać! Uciekać! Król nie żyje!

— Kłamcy! — wysapał Conan. — Psy! Łotry! Tchórze! Och, Cromie, gdybym tylko zdołał wstać... tylko popełnić do rzeki z mieczem w zębach! Jak tam, chłopcze, czy zmykają?

— Jeszcze jak! — załkał giermek. — Mkną na prześcigi ku rzece, rozbici, gnani jak morska piana sztormem. Widzę Pallantidesa, który czyni próby powstrzymania popłochu... pada, tratują go konie! Wbiegają

w rzekę rycerze, łucznicy, knechci, pomieszani w jeden oszalały niszczący potok. Nemedejczycy siedzą im na karkach, kosząc jak łan zboża.

— Ale oprą się na tym brzegu strumienia! — wrzasnął król. Z wysiłkiem, co wycisnął na jego skroniach krople potu, wsparł się na łokciach.

— Nijak! — odkrzyknął giermek. — Nie mogą! Są rozbici! Gnani! Och, bogowie, czemu dożyłem takiego dnia!

Potem przypomniał sobie swe powinności i zawołał do zbrojnych, którzy stojąc nieporuszenie obserwowali ucieczkę towarzyszy.

— Przywiedźcie konia, a szybko, i pomóżcie mi dźwignąć nań króla. Nie wolno nam tu zostawać.

Nim jednak zdążyli wykonać rozkaz, uderzyły w nich pierwsze podmuchy burzy. Rycerze, pikownicy i łucznicy gnali między namiotami, potykając się o sznury i łuby, wmieszani zaś między nich jeźdźcy nemedyjscy siekli na wsze strony, powalając nieprzyjaciół. Ciężko sznury namiotów, ogień strzelał w stu miejscach naraz i rozpoczynano już rabunek. Posępni strażnicy Conanowego namiotu zginęli na posterunku, oddając cios za cios, a konie zwycięzców stratowały ich zmasakrowane zwłoki.

Lecz giermek zaciągnął poły namiotu i w rozszałym piekle rzezi nikt nie pojął, że ktoś w pawilonie przebywa. Ucieczka tedy i pościg przemknęły mimo, by zacichnąć w głębi doliny, i gdy w końcu giermek wyrzwał na zewnątrz, dostrzegł grupę mężów zmierzających wyraźnie w stronę namiotu.

— Oto nadchodzi król Nemedii z czwórką towarzyszy i gierkiem — oznajmił. — Przyjmie twą kapitulację, mój zacny panie...

— Poddaj im szatański ogon! — zgrzytnął zębami Conan.

Z wielkim wysiłkiem zdołał usiąść, potem w bólu spuścił nogi z łoża i stanął niepewnie, zataczając się jak pijany. Giermek rzucił się, by dać mu wsparcie, ale król go odepchnął.

— Podaj to! — parsknął, ukazując wielki łuk i kołczan zawieszony na maszcie namiotu.

— Ależ Wasza Wysokość — zaoponował wielce stropiony giermek. — Godzi się, by majestat kapitulował z powagą przystojną człekowi krwi królewskiej!

— Nie mam w żyłach królewskiej krwi — warknął Conan. — Jestem barbarzyńcą i synem kowala!

Porwawszy łuk i strzałę postąpił chwiejnie ku wejściu do namiotu. Odziany tylko w krótkie skórzane spodnie i rozchełstaną bluzę bez rękawów, która ukazywała jego potężną kudłatą pierś i węzłaste ramiona, tak wspaniałą czynił postać, tak ogniecie płonęły pod czarną zmierzwioną grzywą jego błękitne oczy, że cofnął się giermek, w większym strachu przed swym władcą niż całą armią nemedyjską.

Krocząc niepewnie na szeroko rozstawionych nogach Conan dotarł do wejścia, rozwarł poły i stanął pod okapem. Król Nemedii i jego towarzysze zeskoczyli już byli z kulbak i teraz stanęli jak wryci, patrząc w zdumieniu na zjawę, która stawiała im czoła.

— Tu jestem, szakale! — ryknął Cymmeryjczyk. — Ja, król! Śmierć wam, psu braty!

Naciągnął hak do ucha i wypuścił strzałę, która po bełt utonęła w piersi rycerza stojącego tuż obok Tarascusa. Conan cisnął hakiem w króla Nemedii.

— Przekleństwo na mą drżącą dłoń! Weźcie mnie, jeśli wam odwagi dostaje!

Zatoczywszy się do tyłu na chwiejnych nogach, wpadł plecami na maszt namiotu i wsparty oń dźwignął oburącz swój ogromny miecz.

— Na Mitrę, toż to król — zaklął Tarascus. Powiódł dokoła szybkim spojrzeniem i roześmiał się. — Tamten był jedynie kukłą w jego zbroi. Naprzód, psy, weźcie jego łeb!

Trzech wojowników — pancernych z emblematami gwardii królewskiej — ruszyło na Conana, a jeden z nich ciosem maczugi powalił giermka. Dwóm pozostałym nie powiodło się równie dobrze. Gdy pierwszy wpadł do namiotu z uniesionym mieczem, Conan przywitał go szerokim ciosem, co przeciął kołczugę niczym szmatę i bark wraz z ramieniem oddzielił równo od korpusu Nemedyjczyka. Jego ciało, padając w tył, podcięło nogi drugiego. Ów się zachwiał i nim zdołał odzyskać równowagę, zginął przebity długim mieczem.

Z ciężkim sapnięciem wyswobodził Conan swą stal i chwiejnie wycofał się pod maszt namiotu. Jego potężne członki drżały, pierś pracowała z wysiłkiem, a pot łał się strumieniem po twarzy i szyi. Ale triumfalne okrucieństwo rozpałało jego oczy, gdy wyrzucił z siebie:

— Czemu nie podejdziesz bliżej, psie z Belverusu. Tam cię nie sięgnę; przyjdź tu i zdychaj!

Tarascus zawahał się, rzucił okiem na pozostałego przy życiu gwardzistę i swego giermka, chudego posępnego człowieka w czarnej zbroi, po czym postąpił krok do przodu. Posturą i krzepą znacznie gigantycznemu Cymmeryjczykowi ustępował, był jednak odziany w zbroję i we wszystkich krajach zachodu cieszył się sławą tęgiego szermierza. Giermek jednak przytrzymał go za ramię.

— O nie, Wasza Wysokość, nie wystawiaj żywota na hazard. Wezwę łuczników i ci ustrzelą tego barbarzyńcę, jak to się czyni ze lwami.

Żaden z nich nie spostrzegł, że kiedy trwała potyczka, do namiotu przybliżał się rydwan, by zatrzymać się obok. Ale Conan go dojrzał i osobliwy dreszcz przepelzł mu po krzyżach. Pozór czegoś nie całkiem naturalnego miały już czarne konie ciągnące zaprzęg, ale to postać woźnicy przyciągnęła uwagę króla.

Był roslym mężem okazałej budowy, odzianym w nieozdobną długą jedwabną szatę. Nosił na głowie zawój w guście shemickim, którego dolna część prawie zupełnie kryła rysy twarzy, ukazując tylko ciemne

magnetyczne oczy. Dłonie dzierżące cugle, które szarpnięte teraz w tył osadziły konie na zadach, były białe, lecz krzepkie. W Conanie rozbudziły się z pełną mocą wszelkie prymitywne instynkty: obrzucił przybysza srogim spojrzeniem. Wyczuł emanującą z tej zamaskowanej postaci aurę zagrożenia i potęgi równie w swej wymowie jednoznaczna, jak sygnalizujące węzowy szlak poruszenie traw w bezwietrzny dzień.

— Bądź pozdrowiony, Xaltotunie! — zakrzyknął Tarascus. — Oto król Aquilonii! Nie szczęł w obwale, jakeśmy sądzili.

— Wiem — odparł tamten, nie uznając za stosowne wyjaśnić, skąd wie. — I jakie są twe obecne zamiary?

— Wezwę łuczników, by go ustrzelili — odrzekł Nemedyczyk. — Jest dla nas groźny — póki żyje!

— A przecież nawet z psów jest pożytek — stwierdził Xaltotun. — Weźcie go żywym.

Conan zaśmiał się ochryple.

— Chodź i spróbuj! — rzucił wyzywająco. — Gdyby nie moje zdradzieckie nogi, byłbym cię zrąbał z tego rydwanu jak drwał powala drzewo. Ale nigdy mnie żywym nie weźmiecie, przekłęci!

— Lękam się, iż gada prawdę — rzekł Tarascus. — Ten człek to barbarzyńca, pełen bezmyślnej dzikości ranionego tygrysa. Pozwól przyzwać łuczników,

— Patrz i ucz się — poradził Xaltotun.

Jego dłoń utonęła w fałdach szaty i wyłoniła się dzierżąc połyskliwą kulę. Cisnął nią w Conana.

Cymmeryjczyk wzgardliwie odrzucił ją mieczem — i w tej chwili nastąpił ostry wybuch, biały oślepiający błysk i Conan bez zmysłów padł na ziemię.

— Martwy? — Tarascus upewniał się raczej, niż pytał.

— Nie. Tylko nieprzytomny. Odzyska zmysły za kilka godzin. Nakaż swym ludziom skrępować mu nogi i ręce, a potem zanieść do mego rydwanu.

Tarascus gestem rozkazał swoim usłuchać, a gdy nieśli nieprzytomnego króla do rydwanu, sapali pod brzemieniem. Xaltotun przyrzucił ciało aksamitnym płaszczem, zakrywając je zupełnie przed wścibskimi oczyma. Potem ujął lejce.

— Ruszam do Belverusu — oznajmił. — Rzeknij Amalricowi, iż dołączę doń w potrzebie. Skoro Conan został usunięty, a jego armia rozbita, dość kopii i miecza dla dokończenia podboju. Prospero, który nie mógł zebrać nad dziesięć tysięcy luda, usłyszawszy wieści o bitwie niechybnie cofnie się do Tarantii. Amalricowi, Valeriusowi ani też nikomu innemu o naszym jeńcu nic nie powiadaj. Niechaj myślą, że Conan zginął pod skałami.

Potem wbił wzrok w gwardzistów i patrzył tak długo, aż jeden z nich jął się wiercić pod owym badawczym Spojeniem.

— Co tam masz na brzuchu? — zapytał Xaltotun.

— Cóż, mój pas, za twym pozwoleniem, panie! — wyjąkał stropiony wojownik.

— Łżesz! — Śmiech Xaltotuna był bezlitosny jak ostrze miecza. — To jadowity wąż! Cóż za głupiec z ciebie że przepasujesz się gadziną!

Gwardzista popatrzył na swój brzuch rozszerzonym zdumieniem oczyma i dostrzegł ze zgrozą, iż unosi się ku jego twarzy sprzączka pasa. Był nią węzowy łoś! Dojrzał zle oczy i ociekające jadem kły, usłyszał syk i poczuł na ciele zimny dotyk bestii. Wrzasnął przeraźliwie, wymierzył wężowi cios gołą dłonią i poczuł, jak toną w niej kły — potem zeszywniał i runął jak kłoda. Tarascus popatrzył nań obojętnie. Widział tylko skórzany pas i sprzączkę, której podwójna zapinka pograżona była w dłoni gwardzisty. Xaltotui obrócił swój hipnotyczny wzrok na królewskiego giermka który zbladł na popiół i jął drzeć, ale Tarascus wtrącił: — Nie, temu możemy zaufać.

— Bacz, by czyny nasze dzisiejsze pozostały w tajemnicy. Gdybym był potrzebny, niechaj Orastesowy sługa Altaro przyzwie mnie sposobem, który mu pokazałem. Będę w Belverusie, w twoim pałacu.

Tarascus uniósł dłoń w geście pozdrowienia, ale kiedy patrzył w ślad za odjeżdżającym magiem, szpetny grymas wykrzywił jego oblicze.

— Czemu to oszczędził Cymmeryjczyka? — wyszeptał przerażony giermek.

— Sam się temu dziwuję — mruknął Tarascus. Głuchy pogłos bitwy i pościgu zamarł daleko za pędzącym rydwanem; zachodzące słońce obramowało skały szkarłatnym płomieniem i zaprzęg pograżył się w ogromne granatowe cienie wstające na wschodzie.

#### 4. „Z JAKIEGOŚ WYPEŁZŁ PIEKŁA?”

O długiej swej jeździe rydwanem Xaltotuna Conan nie wiedział nic. Leżał jak martwy, gdy koła z brązu dudniły po kamieniach górskich traktów, przecinały wysokie trawy żyznych dolin, a w końcu — kiedy zjechał już zaprzęg z pogórza — zadudniły rytmicznie po szerokiej białej drodze, co skroś bogate pola uprawne wiję się do samych murów Belverusu.

Tuż przed świtem przecknęło się w nim życie. Usłyszał zgiełk ludzkich głosów i skrzywienie potężnych zawiasów. Przez szparę w okrywającym go płaszczu dostrzegł czarne, niewyraźne w jaskrawym świetle pochodni, ogromne łukowe sklepienie bramy i brodate twarze gwardzistów. Ogień żagwi odbijał się w ich hełmach i grotach włóczni.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Jak potoczyła się bitwa, prześwietny panie? — zapytał w mowie nemedyjskiej zaciekawiony głos.

— Nader dobrze — nastąpiła lakoniczna odpowiedź. — Król Aquilonii ubity, a jego armia zniesiona.

Wzniósł się tumult podnieconych głosów, ale wnet utonął w turkocie kół rydwanu po kamiennych płytach. Obręcze siały iskrami, gdy Xaltotun strzelając z biczca gnał rumaki przez bramę. Ale Conan usłyszał, że jeden ze strażników mamrocze: „Spoza granicy do Belverusu między zachodem a wschodem słońca! I konie ledwo parują! Na Mitrę, one...” Potem zapadła cisza zakłócana tylko stukaniem kopyt i kół po mrocznej ulicy.

Rzeczy usłyszane zapadły w świadomość Conana, ale nic dlań na razie nie oznaczały. Był jak bezduszny automat, który widzi wprawdzie i słyszy, lecz nic nie pojmuje. Opływały go dźwięki i obrazy pozbawione sensu. Znow zapadł w głęboki letarg i kołatały się w nim ledwie szczątki świadomości, gdy rydwan zatrzymał się na głębokim jak studnia dziedzińcu; jego samego zaś porwały mnogie ręce i poniosły w górę po krętych kamiennych schodach, a potem długi ciemny korytarz. Szepty, ciche kroki, oderwane dźwięki przepływały mimo, nie znaczące i odległe.

A przecież ostateczne przebudzenie było gwałtowne ostre. Miał pełną pamięć bitwy i jej następstw, a także trzeźwe pojęcie, gdzie się znajduje.

Leżał na aksamitnym tapczanie, w tej samej odzieży ci przedtem, okuty wszakże takimi łańcuchami, jakich i porwać by nie zdołał. Komnata, w której się znajdował urządzona była z posępnym przepychem: czarne aksamitni zasłony zwieszały się ze ścian, ciężkie zaś purpurowe dywany zaścielały podłogę. Nie było śladu drzwi czy okien, jedne zaś osobiwie kuta złota lampa, zawieszona u kasetonowego sufitu, zalewała wszystko jaskrawym światłem.

W owym świetle siedząca przed Conanem na srebrnym, podobnym do tronu krześle postać wydawała się nie realna i fantastyczna, a ulotność jej konturów potęgował przejrzysta jedwabna szata. Ale rysy twarzy widziało się w niepewnym świetle z niepojętą ostrością. Było tak, jakby osobiwy nimb unosił się nad głową, podkreślając relief brodatego oblicza i nadając mu pozór jedynej ostatecznej wyraźnej rzeczywistości w tej tajemnej, upiornej komnacie.

A twarz owa, o klasycznie pięknych rzeźbionych rysach, czyniła potężne wrażenie. Coś niepokojącego było zaiste w jej spokoju, jakaś sugestia wiedzy głębszej niż ludzką sugestia poczucia własnej mocy potężniejszego nad ludzką pewnością siebie. I nieprzyjemny dreszcz rozpoznania zamrowił w jakimś zakątku Conanowej duszy. Król dobrze wiedział, że nigdy dotąd człeka tego nie widział, a przecież rysy jego przypominały mu coś lub kogoś. Czuł się tak, j by napotkał cieleśnie obraz ze snu, co nawiedzał jego n koszmarem.

— Kim jesteś? — zapytał zaczepnie, usiłując mimo kajdanów przyjąć pozycję siedzącą.

— Zwą mnie Xaltotun — usłyszał odpowiedź wyrzeczoną mocnym melodyjnym głosem.

— Co to za miejsce?

— Komnata w pałacu króla Tarascusa, w Belverusie.

Conan nie był zaskoczony. Stołeczny Belverus był zarazem największym miastem nemedyjskim w pobliżu granicy.

— A gdzie Tarascus?

— Przy wojsku.

— No — warknął Conan — jeśli zamierzasz mnie zamordować, czemu nie bierzesz się do dzieła, żebyśmy zaś mieli to już z głowy?

— Nie po to cię ocalałem przed królewskimi łucznikami, by zamordować w Belverusie — odparł Xaltotun.

— Cóżżeś ze mną zrobił, do wszystkich diabłów?

— Poraziłem twą świadomość — odrzekł Xaltotun. — Jak, pojąć nie zdołasz. Możesz sobie to nazwać czarną magią.

Do tego wniosku Conan doszedł już był samodzielnie i teraz ważył rzecz inną.

— Myślę, że wiem, czemuś oszczędził mi życie — wypalił. — Amalric chce mnie trzymać jako hak na Valeriusa, gdyby zdarzyło się niemożliwe i ów został królem Aquilonii. Znana to sprawa, że za próbą osadzenia Valeriusa na moim tronie stoi baron Tor, a na ile znam Amalrica, nie zamierza pozwolić, by Valerius był kimś więcej jak pionkiem, którym już teraz jest Tarascus.

— Amalric nic nie wie, żeś pojmany — odparł Xaltotun. — Jak też Valerius. Obaj myślą, że zginąłeś nad Valkią.

Conan zmrużył oczy i wpatrywał się w rozmówcę.

— Czułem rozum za tym wszystkim — mruknął. — Ale myślałem, że to Amalric. Czy Amalric, Tarascus i Valerius to tylko kukły tańczące na twoim sznurku? Kim Jesteś?

— Czy to ważne? Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział. Cóż, jeśli ci rzeknę, iż mogę na powrót osadzić cię na Aquilońskim tronie?

Płonące oczy Conana wbiły się weń na kształt wilczych.

— Za jaką cenę?

— Posłuszeństwa wobec mnie.

— Niech cię diabli z twoim pomysłem! — warknął Conan. — Pionkiem nie jestem. Mieczem zdobyłem koronę. A nadto nie w twojej mocy handlować wedle woli tronem Aquilonii. Królestwo jeszcze nie pobite, a

jedna bitwa nie stanowi o wyniku wojny.

— Nie tylko przeciw mieczom wiesz wojnę — rzekł Xaltotun. — Czy to miecz śmiertelnika powalił cię namiocie przed bitwą? Nie, dziecię mroku to było, pielgrzym międzygwiazdnych bezdroży, który swymi pale; płonącymi chłodem czarnych otchłani zmroził krew twoich żyłach i szpik w twoich kościach. Palcami tak zimnymi, że sparzyły twe ciało na kształt rozpalonego do białości żelaza!

Czy to przypadek skłonił cztęka obleczonego w twą zbroję, by powieść rycerzy w przelęcz?... i tylko przypadek obruszył na nich skalne urwiska?

Milczący Conan patrzył nań spode łba, a po grzbiecie przebiegał mu dreszcz. Barbarzyńska jego mitologia rola się od magów i czarnoksiężników, byle zaś głupiec mógł stwierdzić, że Xaltotun nie jest zwykłym człowiekiem. Conan wyczuł w nim coś niepojętego, coś stanowiącego o inności — nieludzką jakąś aurę Czasu i Przestrzeni, pozor wieku straszliwego i złowróbnego. Ale uparty jego duch nie pozwalał ustąpić.

— Obwał urwisk był przypadkowy — mruknął zaczepnie. — A przelęcz każdy by zaatakował.

— Wcale nie. Ty byś nie powiódł przez nią szarzy. Podejrzewałbyś pułapkę. I, po pierwsze, nawet rzeki byś nie przekroczył, nie zyskawszy przekonania, że odwrót Nemedyczyków jest prawdziwy. Nawet śród szaleństwa bitwy hipnotyczne ułudy nie byłyby się wdary w twą duszę, żeby opętanego powieść na oślep w przygotowaną dlań pułapkę, jak zdołały uczynić z przebrany za siebie człowiekiem mniejszego wymiaru.

— Tedy jeśli cała rzecz była zaplanowana — mruknął Conan septycznie — jeśli była paścią zastawioną na mą armię, czemuż „dzieci mroku” nie zabiło mnie w namiocie?

— Bo pragnąłem wziąć cię żywym. Niepotrzebna była magia, by przewidzieć, że Pallantides wysła innego w twojej zbroi. Chciałem cię żywym i zdrowym. Może będziesz pasować do mych planów. Jest w tobie siła żywotna większa niż kunszt i spryt mych sprzymierzeńców. Złe cię mieć za wroga, ale byłby z ciebie dobry wasal.

Conan wściekle splunął usłyszawszy to słowo, natomiast Xaltotun, nie zwracając uwagi na jego furię, ujął z pobliskiego stołu kryształową kulę i umieścił ją przed sobą. Nigdzie jej nie położył ani też nie podtrzymywał żadnym sposobem, a przecież zawisa nieruchomo w powietrzu, tak stabilna, jakby spoczywała na żelaznym postumencie. Conan parsknął wzgardliwie na tę szczyptę magii, był jednak pod jej wrażeniem.

— Czy wiesz, co dzieje się teraz w Aquilonii? — zapytał Xaltotun.

Conan nic nie odrzekł, ale gwałtowne zeszywnienie ciała zdradziło jego zainteresowanie.

Xaltotun zapatrzył się w mgliste głęby i przemówił:

— Jest teraz wieczór, nazajutrz po bitwie nad Valkią. Główne siły nemedyjskie obozowały jeszcze minionej nocy w dolinie, a szwadrony jazdy gnębiły umykających Aquilonczyków. O świcie armia zwinęła obóz, by ruszyć przez góry na zachód. Prospero, z dziesięcioletnim korpusem poitainkim, był kilka mil od pola bitwy, gdy napotkał o świtanu umykające niedobitki; maszerował całą noc, pragnąc dotrzeć na miejsce przed starciem. Niezdolny skupić szczątków rozbitej armii, wycofał się ku Tarantii. Posuwając się forsownie, zastępując strudzone wierzchowce koń pobranymi w wioskach, zbliża się teraz do stolicy.

Widzę jego umęczonych rycerzy w zbrojach szarych pyłu, z proporczykami smętnie zwieszającymi się z kopij, jak gnają przez równinę nie mniej umęczone rumaki. I widzę też ulice Tarantii. W mieście panuje chaos. Dotarła tu jakimś sposobem wieść o klęsce i śmierci króla Conana. Oszalała ze strachu tłuszcza drze się, iż król zginął, i że nie ma nikogo, kto by ją powiódł przeciw Nemedyczykom. Olbrzymie cienie spadają na Aquilonię ze wschodu, a niebo czarne jest od sępów.

Conan zaklął z głębi serca.

— Cóż więcej to niż słowa? Obdarty żebrak na ulicy mógłby przepowiedzieć to samo. Jeśli twierdzisz, że wszystko to dostrzegłeś w owej szklanej kulce, tedy z ciebie równy łgarz jak łotr, a to ostatnie żadnych wątpliwości nie budzi! Prospero utrzyma Tarantię, a baronowie będą się zbierać wokół niego. Grabia Trocero z Poitain, który mą nieobecność rządzi królestwem, przegna owe nemedyjskie kundły, aż ze skowytym popędzą na powrót do swej psiarni. Czymże jest pięćdziesiąt tysięcy Nemedyczyków? Aquilonia ich połknie. Nigdy już nie zobaczą Belverusu. To nie Aquilonię pokonano pod Valkią, tylko Conana!

— Aquilonii pisana jest zagłada — odparł nieporuszony Xaltotun. — Włócznia ją podbije i topór, i żagiew, a jeśli one zawiodą, ruszą w bój moce mroków przedwiecznych; Tak samo jak skały nad Valkią, padną góry i obronne grody, jeśli tylko zajdzie konieczność, i rzeki wystąpią z rykiem z koryt, by zatopić całe prowincje.

Lepiej wszelako, jeśli stał przemoże i cięciwa, bez dalszej pomocy ze strony kunsztów, częste bowiem używanie potężnych zaklęć wprawia niekiedy w ruch siły, które zdolne są rozkołysać wszechświat.

— Z jakiegoś wypelź piekła, ty czarny psie? — wycenił Conan, wpatrując się w Xaltotuna. I mimowolnie zarżał; czuł w nim coś niewiarygodnie starożytnego i niewiarygodnie szatańskiego zarazem.

Xaltotun dzwignął głowę, jakby nasłuchując poszeptów kosmosu. Zdawało się, że zapomniał o jeńcu. Potem niecierpliwie pokręcił głową i beznamytnie zerknął na Cymmeryjczyka.

— Co? Ach, nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, że strudzony już jestem naszą rozmową; łatwiej zniweczyć obronne miasto niż ująć me myśli w słowa, które zdoła pojąć bezmózgi barbarzyńca.

— Gdyby me ręce były wolne — zauważył Conan — rychło uczyniłbym z ciebie bezmózgi zewłok.

— Nie wątpię... jeśli bym dość był głupi, żeby dać ci okazję — odrzekł Xaltotun klaskając w dłonie.

Zmienił zachowanie: jego głos jął pobrzmiwać zniecierpliwieniem, w ruchach pojawiła się nerwowość,

choć Conan nie sądził, aby w jakikolwiek sposób było to związane z jego osobą.

— Rozważ sobie, co ci powiedziałem, barbarzyńco — rzekł Xaltotun. — Czasu mieć będziesz dość. Jeszcze nie postanowiłem, co z tobą uczynię. Zależy to od okoliczności dotąd nie zaistniałych. Wszelako dobrze sobie zakonotuj: jeśli postanowię użyć cię w mej rozgrywce, lepiej byś uległ bez oporu, miast cierpieć mój gniew.

Conan rzucił mu w twarz przekleństwo i w tej chwili rozchyliły się kotary maskujące drzwi i wkroczyło czterech olbrzymich Negrów. Mieli na sobie jedwabne tuniki podtrzymywane pasami, z których zwisały potężne klucze.

Xaltotun niecierpliwym gestem ukazał króla i odwrócił się, jak gdyby tracąc dla sprawy wszelkie zainteresowanie. Jego palce osobliwie drżały. Z rzeźbionego jaspisowego pudła dobył garść migotliwego czarnego proszku i umieścił go w palniku wspartym na złotym trójnogu u swego łokcia. Kryształowa kula, o której — zda się — zapomniał, spadła na podłogę, jakby pozbawiona niewidzialnego wsparcia.

Potem Czarni dźwignęli Conana — tak bowiem omotany był łańcuchami, że nie mógł iść o własnych siłach — i unieśli go z komnaty. Nim zamknęły się ciężkie, obite złotem tekowe drzwi, obejrzał się do tyłu. Zobaczył Xaltotuna rozpartego ze splecionymi na piersi ramionami w swym tronowym krześle i wijącą się przed nim z palnika cienką wstążkę dymu. Poczł mrowienie pod czupryną. W Stygii owym prastarym i złowieszczym królestwie dalekiego południa, widział niegdyś czarny proszek: pyłek czarnego lotosu sprowadzający podobny śmierci sen i upiorne wizje. I wiedział także, iż tylko potworni czarnoksiężnicy Czarnej Kręgu, który stanowi zenit zła, szukają z własnej woli szkarłatnych koszmarów czarnego lotosu, by ożywić swe moce magiczne.

Dla większej części ludów świata zachodniego Czarny Krąg był ledwie bajką i zmyśleniem, ale Conan poznał był jego upiorną prawdziwość i posępnych czcicieli, co w labiryntach mrocznych stygijskich krypt i w spowitych ciemnością wieżycach przeklętej Sabatei oddają się odrażającym praktykom.

Raz jeszcze obejrzał się na tajemnicze, okute złote drzwi i zadrżał na myśl o tym, co się za nimi kryje.

Nie miał pojęcia, czy dzień jest, czy noc. Pałac króla Tarascusa wydawał się domeną mroków i cieni. A duchem owych mroków i cieni, który się nad nim unosił, był — wedle odczucia Conana — właśnie Xaltotun. Czarni dźwigali króla długim krętym korytarzem i w panującym tu półświecie wydawali się czwórka upiórów dźwigających zwłoki. Potem jęli zstępować w dół po nie kończących się spiralnych schodach, a żagiew niesioną w dłoni jednego z nich słała po ścianach kawalkadę zdeformowanych cieni.

Dotarłszy w końcu do podnóża schodów, weszli w długi prosty korytarz. Jedną z jego ścian z rzadka przecinał łukowy przechód, za którym w górę pięły się schody, drugą — umiejscowione w regularnych kilkustopowych odstępach ciężkie okratowane drzwi.

Zatrzymawszy się przy którychś z kolei, jeden z Czarnych sięgnął po klucz przywieszony u pasa i przekręcił go w zamku. Pchnąwszy kratę wkroczyli z jeńcem do środka. Byli w małej ciemnicy o kamiennych ścianach, podłodze i suficie. W przeciwległej ścianie widać było następne okratowane drzwi. Conan nie miał pojęcia, dokąd wiodą, nie sądził jednak, by otwierały się na inny korytarz. Migotliwe światło pochodni przesączające się zza kraty zdawało się wskazywać na mroczną przestrzeń i dudniące echem otchłanie.

W jednym z kątów celi, w pobliżu drzwi, przez które wkroczyli, z wielkiego żelaznego pierścienia osadzonego w kamieniu zwieszał się zwój łańcuchów z dyndającym w ich objęciach szkieletem. Conan spojrział nań z niejakim zainteresowaniem, zwracając uwagę na fakt, że większość kości jest połamana lub rozłupana, a czaszka, odpadła od kręgosłupa, została zmiażdżona okropnym uderzeniem o potwornej sile.

Następny z Czarnych — nie ten, który otwierał drzwi — włożywszy swój klucz w masywny zamek, zwolnił łańcuchy z pierścienia i odciągnął na bok kości oraz kłębawisko przerdzewiałego żelastwa. Potem przytwierdzili w to miejsce kajdany krępujące Conana, trzeci zaś z Czarnych przekręcił swój klucz w zamku przeciwległych drzwi i mruknął z zadowoleniem, upewniwszy się, że są dobrze zamknięte.

Wówczas jęli się Conanowi przypatrywać nieodgadnionym wzrokiem — wąskoocy hebanowi olbrzymi o rozbłyskujących w świetle pochodni gładkich skórach.

Ów, co dzierzył klucz do drzwi wejściowych, zdecydował się w końcu na gardłową uwagę:

— To teraz twój pałac, biały psi królu! Prócz pana i nas nie wie nikt. Cały pałac śpi. Dochowujemy tajemnic. Może będziesz tu żyć, aż zdechniesz. Jak on!

Wzgardliwie kopnął potrzaskany czerep, który ze stukiem potoczył się po kamiennej podłodze.

Conan nie zniżył się, by odrzec coś na kpinę, a Czarny, ośmielony może milczeniem więźnia, wymamrotawszy przekleństwo pochylił się i splunął wprost w twarz króla. Nie był to dlań uczynek fortunny. Conan siedział na podłodze omotany w pasie łańcuchem; także nogi i ramiona przykute były łańcuchem do pierścienia. Nie mógł wstać ani też odsunąć się od ściany dalej niż na dwa łokcie. Ale łańcuch spinający razem oba nadgarstki miał znaczny luz i nim kulisty łeb znalazł się poza jego zasięgiem, król zebrał ów luz w jedną garść i dzielił czarnego po ciemieniu. Ów padł jak zarżnięty wół i leżał na oczach oszłomionych kamratów z rozbitym czerepem i krwią sączącą się z nosa i uszu.

Nie próbowali Conana skarcić, ani też nie przyjęli zaproszenia, by zbliżyć się w zasięg okrwawionego łańcucha. W końcu, mamrocząc w swej dzikiej mowie, dźwignęli nieprzytomnego towarzysza i unieśli jak worek zboża. Użyli jego klucza, by zamknąć za sobą drzwi, takim jednak sposobem, że pozostał przypięty do pasa ogłuszonego. Zabrali pochodnię i w miarę jak się oddalali, ciemność wpęzła w korytarz niczym żywa

istota. Zamarły wreszcie ich ciche kroki, zgasły ostatnie blaski pochodni i w lochach zapanowały pospołu cisza i ciemność.

## 5. POSTRACH KAZAMATÓW

Conan leżał cicho, znosząc brzemię kajdanów i swej rozpaczliwej sytuacji ze stoicyzmem głuszy, która go wychowała. Nie poruszał się, gdyż brzęk łańcuchów, ilekroć zmieniał pozycję, rozbrzmiewał w mroku i ciszy alarmującym hałasem, a instynkt, odziedziczony po tysiącu półdzikich przodków, podpowiadał, by za żadną cenę nie zdradzać swego położenia, kiedy jest bezradny. Nie wynikało to z logicznego rozumowania: wcale nie sądził, iż w ciemnościach czają się nieznane zagrożenia, co nań mogą spaść. Xaltotun go upewniał, iż nic mu nie grozi i Conan wierzył, że pozostawienie go przy życiu na razie przynajmniej leży w interesie czarnoksiężnika. Nie zniknęły jednak owe instynkty, które w dzieciństwie sprawiały, że nieruchomy i milczący leżał w ukryciu, gdy dzikie bestie polowały tuż obok.

Nawet jego sokole oczy nie mogły przeniknąć zgęstniałej ciemności. A przecież po chwili, czy raczej pewnym okresie, którego długości nie miał sposobu ocenić, pojawiła się wątła poświata, rodzaj padającego skośnie szarego promienia, co pozwolił mu wyłowić z mroku zarys krat przy swoim łokciu, a nawet kontur szkieletu odrzuconego pod przeciwległe drzwi. Rzecz go zdumiała, wnet jednak znalazł rozwiązanie. Znajdował się poniżej poziomu gruntu, w podziemiach pałacu, wszelako z jakiegoś powodu został od góry przebity szyb, do którego w pewnym momencie swojej wędrówki księżyc słał rozproszony snop światła. Przyszło mu na myśl, że dzięki temu zdoła określić upływ dni i nocy. A nuż i słońce zaświeci w szyb, choć — z drugiej strony — w ciągu dnia wylot mógł być przesłaniany. Może był to subtelny rodzaj tortury: pozwalać więźniowi tylko przelotne posmakować blasku słońca i księżyca.

Jego wzrok spoczął na potrzaskanych kościach połyskujących matowo w przeciwległym kącie. Nie zawracał sobie głowy daremnymi spekulacjami, kim był ów nieszczęśnik i, za co przeznaczono go śmierci, ale zastanawiał go stan szkieletu. Nie połamano go na kole. Potem, po chwili obserwacji, stwierdził następny nieprzyjemny fakt. Kości goleniowe zostały rozłupane wzdłuż i rzecz miała tylko jedno sensowne wyjaśnienie: uczyniono tak, by zyskać dostęp do szpiku. A jakie poza człowiekiem stworzenie łupie kości dla szpiku? Może te szczątki są niemy dowodem okropnej ludożerczej uczy jakiegoś nieszczęśnika przywiedzionego głodem do szaleństwa? Conan dumiał, czy i jego kości dyndające w przerdzewiających łańcuchach zostaną kiedyś odnalezione w podobnych okolicznościach. Tłumił w sobie panikę pojmanego w paść wilka.

Cymmeryjczyk nie kłął, nie łkał, nie wrzeszczał ani się nie pieklił, jak byłby może czynił człowiek cywilizowany. Lecz ból i kruczenie w kiszkach nie były przez to mniejsze. Ogromne mięśnie stężały od miotających nim emocji. Gdzieś daleko na zachodzie armia nemedyjska ogniem i mieczem wyrąbywała sobie drogę przez serce jego królestwa. Nie oprze się jej mały korpus poitański. Prospero zdoła być może utrzymać Tarantię przez kilka tygodni czy miesięcy, ale koniec końców, jeżeli nikt nie pośpieszy mu z odsieczą, będzie musiał ulec przeważającej sile. Z pewnością jednak baronowie poprą go przeciwko najeźdźcom. A tymczasem on, Conan, musi bezradnie leżeć w mrocznej celi, gdy inni dowodzą jego wojownikami i walczą o jego państwo. W przypływie dzikiej furii obnażył swe potężne zęby.

Potem zeszytywniał, usłyszawszy za przeciwległymi drzwiami podkradające się kroki. Wytężył wzrok i dostrzegł za kratą niewyraźny zarys pochylonej postaci. Zgrzytnął metal o metal i Conan usłyszał stuknięcie zapadki, gdy klucz obrócił się w zamku. Potem postać odstała cicho z pola jego widzenia, wnet szcęk zamka powtórzył się, słabszy w oddaleniu, dobiegł go odgłos ostrożnie otwieranych drzwi, a potem szybkie, coraz cichsze i odleglejsze stąpanie miękko obutych stóp. Wreszcie na powrót zapadła cisza. Conan nasłuchiwał przez chwilę, która wydawała się długa, choć może wcale taka nie była, księżyc bowiem wciąż przeświecał przez szyb, ale nie pochwycił już żadnego dźwięku. Zmienił w końcu położenie ciała, brzękając przy tym kajdanami. Wtedy znów usłyszał lżejsze tym razem stąpanie — dochodziły zza drzwi, przez które wniesiono go do celi. Po krótkiej chwili w szarym półświetle zamajaczyła smukła sylwetka.

— Królu Conanie! — ozwał się niespokojny miękki głosik. — Och, mój panie, czy jesteś tam?

— A gdzie mam być? — odparł powściągliwie, wykręcając głowę, by zerknąć na przybyłą.

Obejmując kraty wąskimi palcami, za drzwiami stała dziewczyna. Wąty poblask przenikał spowijającą biodra jedwabną chustę i migotał matowo na wysadzanych klejnotami napierśnikach. W mroku płonęły ciemne oczy, a białe członki lśniły jak alabaster. Włosy, nawet w ciemnościach zdradzające swój połysk, przypominały czarną morską fałę.

— Klucze do kajdanów i tamtych drzwi! — wyszeptwała, po czym smukła dłoń wysunęła się spośród krat i trzy przedmioty brzęknęły o kamienną podłogę tuż obok Conana.

— Jaką wieszysz grę? — zapytał. — Gadasz mową nemedyjską, a przyjaciół w Nemedii nie mam. Jakież to nowe diabelstwo warzy twój pan? Może wysłał cię, byś ze mnie kpiła?

— To nie kpiny! — Dziewczyna drżała tak okrutnie, że jej bransolety i napierśniki postukiwały o kraty, których kurczowo wciąż się trzymała. — Klnę się imieniem Mitry! Skradłam owe klucze czarnym strażnikom kazamatów. Każdy nosi klucz otwierający tylko jeden zamek. Spiłam ich. Ten, któremu rozbiłeś czerep, zabrany został do cyrulika i klucza jego zdobyć nie mogłam. Ale pozostałe ukradłam. Och, błagam, nie

zwlekaj! Za tymi ciemnicami ciągną się czeluści, które są wrotami piekieł.

Trochę poruszony, Conan z powątpiewaniem spróbował kluczy, spodziewając się wszelako niepowodzenia i wybuchu złośliwego śmiechu. Wnet jednak zelektryzował go fakt, iż jeden z kluczy uwolnił go z kajdanów, otworzywszy nie tylko zamek łączący je z pierścieniem, ale również obręcze na rękach i nogach. Uczynił szybki krok w stronę kraty i zacisnął dłoń na sztabie i smukłej ręce, która do niej przywarła. Uwięziona tym sposobem dziewczyna mężnie podniosła głowę, by napotkać jego srogie spojrzenie.

— Kim jesteś? — zapytał surowo.

— Zwę się Zenobia — wyjąkała z niejakim wysiłkiem, sprawiając pozór przełkniętej — a jestem tylko dziewczyną z królewskiego seraju.

— Jeśli nie jest to jakaś przeklęta sztuczka — mruknął Conan — nie pojmuję, czemu przynosisz mi te klucze.

Pochyliła swą ciemną główkę, a potem znów ją uniosła, patrząc otwarcie w jego podejrzliwe oczy. Na długich czarnych rzęsach zamigotały łzy niczym perły.

— Przynależę do królewskiego seraju — rzekła z rodzajem dumnej uniżoności. — Ale król nigdy na mnie nie spojrzał i pewnie nigdy nie spojry. Gorsza jestem od psów, co ogryzają gnaty w sali biesiadnej... A przecieź z krwi i kości jestem istotą, nie zaś malowaną zabawką. Oddycham, nienawidzę, lękam się, raduję i kocham. I pokochałam ciebie, Królu Conanie, gdyś wiele lat temu przybywał na czele swych rycerzy z wizytą do króla Nimeda. Moje serce wyrwało się z piersi, by paść w pył ulicy przed kopytami twojego rumaka.

Kiedy mówiła, rumieniec wypłynął na jej policzki, ale oczy patrzyły śmiało. Conan nie odpowiedział od razu; dziki był wprawdzie, nagły i niepohamowany, a przecieź tylko najbardziej grubiańscy z mężczyzn nie doznają pewnego wzruszenia stanąwszy oko w oko z obnażoną duszą niewieścią.

Potem pochyliła głowę i przycisnęła wargi do więzących jej smukłą dłoń palców, lecz zaraz ją podniosła, jakby przypominając sobie sytuację. Przerażenie zamigotało w jej ciemnych oczach.

— Spiesz się! — wyszeptła z naciskiem. — Już północ minęła. Musisz odejść.

— Nie obedrą cię żywcem ze skóry za to, żeś skradła klucze?

— Nigdy się nie dowiedzą. Jeśli Czarni przypomną sobie rankiem, kto im dał wina, to przecieź nie ośmielą się przyznać, że skradziono im klucze, gdy leżeli spici. Klucz, którego zdobyć nie zdołałam, otwiera te drzwi. Twoja droga do wolności musi wieść przez kazamaty. Nawet nie chcę zgadywać, jakie potworne niebezpieczeństwa czyhają za tamtymi drzwiami, ale gorsze rzeczy ci grożą, jeśli pozostaniesz w celi. Powrócił król Tarascus...

— Co? Tarascus?

— A tak! Powrócił w wielkiej tajemnicy i niedawno temu zstąpił do lochów, a potem wyszedł tak błądy i roztrzęsiony, jak człek, co poważył się na wielki hazard. Słyszałam, jak szeptał do swego giermka Arideusa, że wbrew zachceniom Xaltotuna powinieneś umrzeć.

— Co z Xaltotunem? — warknął. Poczuł, jak zadrżała.

— Nawet o nim nie mów! — szepnęła. — Demony przybywają często na dźwięk swojego imienia. Niewolni gadają, że leży w swej zaryglowanej komnacie, śniąc wizje czarnego lotosu. Sądzę, iż nawet Tarascus się go boi, w przeciwnym bowiem razie byłby cię zabił otwarcie. Ale dziś w nocy poszedł do lochów i jeden Mitra wie, co tam uczynił.

— Zastanawiam się, czy to nie Tarascus majstrował niedawno przy zamku mej celi — mruknął Conan.

— Tu masz sztylet! — wyszeptła, przeciskając coś pomiędzy kratami. Jego palce chciwie zacisnęły się na znajomym przedmiocie. — Przejdź szybko przez tamte drzwi, skręć w lewo i zdążaj wzdłuż cel, aż dotrzesz do kamiennych schodów. Nie zbaczaj z drogi, jeśli ci życie miłe. Wejdziesz po schodach i otwórz drzwi u ich szczytu; jeden z kluczy będzie pasować. Tam się spotkamy, jeśli Mitra pozwoli.

Potem odbiegła z lekkim tupotem stóp w miękkich trzewikach.

Conan wzruszył ramionami i zwrócił się w stronę przeciwległej kraty. Mogła to być jakaś szatańska pułapka zastawiona przez Tarascusa, ale skok na łeb na szyję w otchłań niebezpieczeństw był naturze Conana mniej przeciwny, niż pełne rezygnacji oczekiwanie zagłady. Zbadał oręż, jaki — dała mu dziewczyna, i uśmiechnął się ponuro. Kimkolwiek; była naprawdę, okazała się osobą o zmyśle praktycznym. Nie trzymał w garści wąskiego sztylecika, który — wybrany dla swej wysadzanej klejnotami rękojeści albo złotego jelca — nadawał się najwyżej do wykwintnego morderstwa w buduarze damy, ale prosty puginął, prawdziwą wojenną broń o szerokim ostrzu, drugą na piętnaście cali, zwężającą się do ostrego jak igła końca.

Mruknął z zadowoleniem. Ciężar oręża poprawił mu samopoczucie i przydał pewności siebie. Jakiegokolwiek zarzucano by wokół niego sieci intryg, jakiegokolwiek zdrady i sztuczki by mu gotowano — broń była prawdziwa. Potężne muskuły jego prawicy stężyły, jakby szykując się do zabójczych ciosów.

Jał manipulować zamkiem dalszych drzwi, zarazem je popychając. Nie były wcale zaryglowane, choć pamiętał, że Czarny je zamknął. Więc owa tajemna pochyłona postać nie była strażnikiem sprawdzającym, czy zapadki dobrze trzymają; przeciwnie, odsunęła rygle. I było w owym fakcie coś złowróżbnego. Ale Conan nie zawahał się. Rozwarł kratę i wychynął z celi w zgęstniały mrok.

Zgodnie z tym, co przypuszczał, nie było tu następnego korytarza. Kamienna podłoga uciekała w dal, ograniczona po jego prawicy i lewicy rzędem cel, ale nie mająca widocznego kresu w innych kierunkach. Nie



dostrzegł również sklepienia ani ścian. Światło księżycza wsączało się w ów ogrom jedynie przez kraty ciemnic i tonęło w mrokach. Oczy mniej od Conanowych bystre nawet by nie dostrzegły bladoszarych plam przed kratą każdej celi. Skręciwszy w lewo ruszył szybko wzdłuż linii ciemnic, a jego bosa stopy nie czyniły na kamiennych płytach najmniejszego hałasu. Mijając kolejne cele, obrzucał ich wnętrza szybkim spojrzeniem. Wszystkie były puste, ale zamknięte. W niektórych dostrzegał połysk nagich białych kości. Owe lochy, stanowiące przeżytek czasów posępniejszych, zbudowane zostały wówczas, gdy Belverus nie przemienił się jeszcze z forticy w miasto. Ale widać było, że i w nowszych czasach używano ich częściej, niż sądził świat.

W końcu dostrzegł przed sobą niewyraźny zarys ostro pnących się w górę schodów, których miał szukać... a potem wykonał raptowny zwrot i przykucnął w głębokim cieniu u ich podnóża.

Z tyłu coś się poruszało — wielkie, przyczajone, wędrujące na stopach innych niż ludzkie. Wpatrywał się w długi rząd cel i leżących przed nimi prostokątnych szarych plam poświaty, będących, w istocie, tylko strzępami zszarzałej nieco ciemności. Ale dostrzegł, że coś owe plamy przecina — coś o kształcie nieokreślonym, z pewnością jednak wielkie i ciężkie, choć zarazem szybsze i zwinniejsze od człowieka. Dostrzegał owo coś na tle szarych prostokątów i tracił z oczu, gdy stapiało się z cieniem leżącym między celami. I było niesamowite w swej bezgłośniej niemal wędrowności, w okamgnieniu jawiąc się tak i ginąc.

Słyszał grzechot krat, gdy próbowało wszystkich po kolei. Potem dotarło do celi, z której przed chwilą wyszedł; szarpnięte drzwi otworzyły się. Nim zniknęło w środku, dojrzał przez moment na szarym tle otworu ogromny niewyraźny kształt. Na czole i dłoniach Conana zaperlił się pot. Już wiedział, dlaczego Tarascus podkraść się do jego drzwi, by umknąć potem tak szybko. Odrzygłował bowiem zamek, a potem gdzieś w tych diabelskich lochach wypuścić z jamy czy klatki ową ohydłą bestię.

Wyłoniła się teraz z celi i podjęła wędrownkę z pochylonym nisko nad ziemią niekształtnym łbem. Nie zwracała już uwagi na zamknięte cele: podjęła trop. Widział ją teraz Conan wyraźniej; szary poblask obrysowywał gigantycznie człekopodobne cielsko, większe jednak i potężniejsze od ciała jakiegokolwiek człowieka. Mocno pochylona, biegła jednak na zadnich łapach — szarawa i kudłata, o gęstym futrze połyskującym srebrem. Łeb stanowił potworną parodię ludzkiej głowy, długie ramiona sięgały niemal ziemi.

Conan rozpoznał ją w końcu, zrozumiał znaczenie owych potrząskanych ludzkich kości i pojął, kim jest postrach kazamatów. Była to szara małpa, odrażający ludożerca lasów, co kotłusza się na górzystych południowych brzegach Morza Vilayet. Na poły mityczne, lecz niewątpliwie przerażające, małpy te były trollami hyboryjskich legend, rzeczywistymi wilkołakami, mordercami i kanibalami mrocznych lasów.

Wiedział, że wyczuła jego obecność, przybliżyła się; bowiem szybciej, unosząc swoje baryłkowane cielsko na stąpających pospiesznie krzywych mocarnych łapach. Omiótł wzrokiem schody, ale rozumiał, że bestia spadnie mu na kark, nim zdoła dotrzeć do odległych drzwi. Postanowił stawić jej czoła.

Wystąpił na najbliższą szarą plamę, by mieć za sprzymierzeńca choć odrobinę księżycowego blasku, wiedział bowiem, że w ciemnościach potwór widzi lepiej od niego. A ów dostrzegł go natychmiast: w mroku zaślniły wielkie żółte kły, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Bestie mroku i milczenia, szare małpy znad Vilayet były nieme. Lecz w rozmazanych odrażających rysach odbił się wyraz upiornego triumfu.

Conan stał w gotowości, bez drżenia przypatrując się coraz bliższemu potworowi. Wiedział, że musi całe swe życie postawić na jedno pchnięcie, bo na kolejne nie starczy czasu, jak też nie będzie go dość, by odskoczyć po ciosie. Pierwsze uderzenie musi zabić, i to zabić natychmiast, jeśli chce myśleć o przetrwaniu straszliwego zwarcia. Obrzucił spojrzeniem krótką krępą szyję, okazały kudłaty brzuch i mocarną pierś wypiętrzoną łukowato na kształt dwóch złączonych tarcz. Musi mierzyć w serce; lepiej zaryzykować, że ostrze osunie się po grubych żebrach, niż godzić tam, gdzie nie zabije od razu. W pełni świadom położenia, Conan mierzył swą moc, szybkość oka i ręki z potworną krzepą i dzikością ludożercy. Musi nań uderzyć pierś w pierś, zadać śmiertelne pchnięcie, a potem już tylko ufać, że jego kości dość okażą się twarde, by wytrzymać chwilę nieuniknionego zwarcia.

Więc gdy małpa nań spadła, rozwierając szeroko straszliwe ramiona, nurknął między nie i pchnął z całą swą zdesperowaną mocą. Poczul, że ostrze tonie po rękonoż w kudłatej piersi; puścił sztylet w okamgnieniu, odchylił głowę i zwarł całe ciało w ciasny węzeł mięśni, a zarazem wymierzył kolaniem kopniaka w podbrzusze stworu i chwyciwszy zbiegające się łapska próbował złagodzić miażdżący uścisk.

Przez jeden mglisty moment czuł się tak, jakby trzęsienie ziemi rwało go na strzępy, ale zaraz potem odzyskał swobodę. Leżał na posadzce, a właściwie na cielsku potwora, który z wywróconymi krwawymi ślepiami i drgającą w piersi rękonożą sztyletu wydawał ostatnie tchnienie. Pchnięcie rozpacz znalazło cel.

Drżąc każdym włóknom ciała, Conan sapał jak po długim boju. Miał wrażenie, że niektóre jego kości zostały wyrwane ze stawów, czuł okrutnie nadwerężone i poskręcane ścięgna i mięśnie, z zadraśnięć, które pozostawiły szpony bestii, ciekła krew. Gdyby potwór żył jedną chwilę dłużej, byłby go z pewnością rozerwał. Ale potężna krzepa Cymmeryjczyka wytrzymała próbę, co człeka słabszej konstrukcji musiałaby kosztować życie.

## 6. PCHNIĘCIE NOŻA

Conan pochylił się i wyrwał nóż z piersi potwora. Potem szybko jął się wspinać po schodach. Nie miał nawet

wyobrażenia, jakie napawające grozą postaci kryje ciemność, lecz nie pragnął napotkać już żadnej. Walki, równie ryzykowne jak ta, którą przed chwilą stoczył, były zbyt wyczerpujące nawet dla gigantycznego Cymmeryjczyka. Blakły rozsiane na podłodze plamy księżycowego światła, gęstniała ciemność, i coś na kształt paniki gnało go w górę schodów. Wydał potężne westchnienie ulgi, gdy dotarłszy do ich szczytu przekonał się, że trzeci klucz otwiera zamek. Z lekka uchylił drzwi i wyciągnął szyję, by przez nie zerknąć nieomal oczekując ataku ze strony ludzkiego albo nieludzkiego przeciwnika.

Patrzył jednak na surowy, nędznie oświetlony kamienny korytarz i stojącą przed drzwiami smukłą gibką postać.

— Wasza Wysokość! — Był to niski rozedrgany okrzyk, na pół ulgi, na pół przerażenia. Jednym skokiem dziewczyna dopadła jego boku, a potem zawahała się, jakby ogarnięta wstydem.

— Krwawisz — powiedziała. — Jesteś ranny! Niecierpliwym gestem ręki zbagatelizował tę kwestię.

— Draśnięcia, co i dzieciaka by nie zabolowały. Przydał się wszelako twój nożyk. Gdyby nie on, łupałby już Tarascusowy małpizjon moje gnaty w poszukiwaniu szpiku. I co teraz?

— Chodź ze mną — wyszeptała. — Wyprowadzę cię za mury grodu. Ukryłam tam konia.

Odwróciła się, by powieść go w głąb korytarza, ale położył ciężką dłoń na jej nagim ramieniu.

— Idź obok mnie — nakazał cicho, otaczając masywnym ramieniem jej smukłą kibić. — Skłonny jestem ci ufać, bo dotąd grałaś ze mną uczciwie, ale po dziś dzień żyję tylko dlatego, że zbyt długo nie wierzyłem ani żadnemu mężowi, ani żadnej niewieście. No! Jeśli mnie teraz zwiedzisz, nie dożyjesz chwili, w której będziesz się mogła tym figleśm radować.

Nie wzdrygnęła się ani na widok poczerwienionego sztyletu w jego garści, ani poczuwszy na swym jędrnym ciele dotyk twardych mięśni.

— Zarznij mnie bez litości, jeśli cię oszukałam — odparła. — Już czuć na sobie twe ramię, nawet gdy je w groźbie wyciągasz, jest jak spełnienie snu.

Łukowo sklepiony korytarz kończył się drzwiami; otworzyła je. Leżał za nimi czarny olbrzym w turbanie i jedwabnej przepasce biodrowej, a zakrzywiona szabla spoczywała na kamiennej posadzce obok jego dłoni. Nie poruszała się.

— Zadałam mu w winie narkotyku — wyszeptała, omijając łukiem rozciągniętą postać. — Jest ostatnim i czuwającym najdalej na zewnątrz strażnikiem podziemi. Nikt dotąd z nich nie umknął i nikt ich nigdy odwiedzić nie pragnął, więc straż przed nimi sprawują tylko ci Czarni. I tylko oni ze wszystkich sług pałacowych wiedzą, że to króla Conana przywiódł Xaltotun jeńcem w swoim rydwanie. Inne dziewczyny spały, a ja, bezsenna, patrzyłam z górnych okien, co się otwierają na dziedziniec, wiedząc bowiem, że została stoczona bitwa, lub że jeszcze się toczy, lękałam się o ciebie...

Widziałam, jak niosą cię po schodach i rozpoznałam twą twarz w blasku pochodni. Wkradłam się dzisiejszej nocy do tego skrzydła pałacu w sam czas, by spostrzec, że znoszą cię do lochów. Nie poważyłam się przybyć przed zapadnięciem nocy. Cały dzień musiałeś przeleżeć w komnacie Xaltotuna pozbawiony świadomości narkotykiem.

Och, strzeżmy się! Niezwykłe rzeczy dzieją się w pałacu dzisiejszej nocy. Niewolni gadają, że Xaltotun, jak to czyni często, śpi oszołomiony stygijskim lotosem, ale powrócił Tarascus. Wszedł po kryjomu przez poternę, spowity w zakurzony jak po długiej podróży płaszcz, jedynie towarzystwie swego giermka, chudego milkliwego Ardieusa. Nic nie pojmuję, ale czuję lęk.

Dotarli do podnóża wąskich spiralnych schodów, a znalazłszy się na górze, przeszli przez szczelinę zakrytą kasetonem boazerii, który odsunęła na bok. Gdy już byli po drugiej stronie, zasunęła go na powrót, by wyglądał jak część zdobnej ściany. Znajdowali się teraz w obszerniejszym korytarzu, wyścielonym dywanami i gobelinami, rozjaśnionym złotą poświatą zwisających z sufitu lamp.

Conan czujnie nasłuchiwał, ale w całym pałacu nie rozległ się żaden dźwięk. Nie wiedział, w jakim skrzydle przebywają, ani też w której stronie leży komnata Xaltotuna.

Dziewczyna drżała, wiodąc go przez korytarz. Stanęli wreszcie przed alkową, którą przesłaniała aksamitna kurtyna. Odsunawszy ją, Zenobia poleciała mu gestem, by wszedł do niszy i wyszeptała:

— Poczekaaj tu! Za owymi drzwiami w końcu korytarza o każdej porze dnia i nocy możemy się natknąć na eunuchów lub rabów. Sprawdzę, czy droga wolna, nim ruszymy dalej!

Z miejsca obudziła się w nim na nowo podejrliwość.

— Czyżbyś mnie wiodła w pułapkę?

Z jej ciemnych oczu trysnęły łzy. Opadła na kolana i uchwyciła jego muskularną dłoń.

— Och, mój królu, nie okazuj mi teraz nieufności! — Głos drżał jej błagalnie. — Jesteśmy zgubieni, jeśli zawahasz się teraz lub zwątpisz! Czemużbym miała wyprowadzić cię z lochów, by teraz dopiero zdradzić?

— Dobra — mruknął. — Zaufam ci, choć, na Cromie, zwyczajów całego życia nie odrzuca się lekko na bok. Wszelako cię nie skrzywdzę, jeśli nawet ściągniesz mi na kark wszystkich rębaczy Nemedii. Gdyby nie ty, Tarascusowa małpa spadłaby na mnie, kiedy leżałem bezbronny i skowany — Czyń, co chcesz, dziewczyno.

Ucałowawszy jego dłoń, porwała się z ziemi i pobiegła korytarzem, by zniknąć za ciężkimi dwuskrzydłowymi drzwiami.

Patrzył za nią dumając, czy nie okazał się durniem, że jej zaufał; potem wzruszył potężnymi ramionami i

zaciągnął zasłony maskując swą kryjówkę. Nie było czymś osobliwym, że namiętna młoda piękność ryzykuje życie, by mu pomóc; takie rzeczy zdarzały się w jego życiu nader często. Wiele niewiast spoglądało nań łaskawie — tak w dniach jego wędrówek, jak i wówczas, gdy zasiadał na tronie.

A przecież, czekając na jej powrót, nie trwał w bezruchu. Ulegając instyktom, zbadał niszę w poszukiwaniu innego wyjścia i w końcu je znalazł — zamaskowany kobiercem wlot wąskiego pasażu wiodącego do kunsztownie rzeźbionych drzwi ledwie widocznych w przesączającym się z głównego korytarza wątlm świetle. I właśnie zza tych rzeźbionych wrót usłyszał najpierw odgłos otwierania i zamykania innych drzwi, a później niski zgiełk głosów. Jeden z owych głosów brzmiał znajomo i przez śniade oblicze Conana przebiegł przerażający grymas. Bez wahania prześlizgnął się przez pasaż i jak polująca pantera przycaił się u drzwi. Nie były zaryglowane, więc manipulując delikatnie zdołał je uchylić. Działał z owym beztróskim lekceważeniem możliwych następstw, które tylko on potrafiłby wyjaśnić i uzasadnić.

Po drugiej stronie drzwi zamaskowane były kotarą, i przez wążutkie rozprucie aksamitu zajrzał do komnaty rozjaśnionej świecą ustawioną na hebanowym stole. Przebywało tam dwóch mężczyzn. Jednym był pokiereszowany, budzący lęk łotrzyk w skórzanych portkach i wystrzępiony płaszczu, drugim — Tarascus, król Nemedii.

Tarascus wyglądał na roztrzęsionego. Poblady, rozglądał się bez przerwy dokoła, oczekując — rzekłbyś — jakiegoś dźwięku, odgłosu kroków, a zarazem lękając się usłyszeć.

— Ruszaj natychmiast — mówił. — On... pogrążony jest teraz w narkotycznym śnie, a kiedy się zbudzi — nie wiem.

— Osobliwą jest rzeczą słyszeć z ust Tarascusa słowa lęku — odparł tamten niskim chropawym głosem. Król spochmurniał.

— Dobrze wiesz, iż zwykłych ludzi się nie boję. Ale kiedy ujrzałem nad Valkią spadające skały, pojąłem, że nie jest szarlatanem ów demon, któregośmy wskrzesili. Lękam się jego mocy, ponieważ nie wiem, jakich sięgają granic. Ale pojmuję, że są jakimś sposobem związane z tą przeklętą rzeczą, którą mu skradłem. Ona przywróciła mu życie, musi więc być źródłem jego potęgi czarnoksiężskiej.

Ukrył ją dobrze, ale niewolnik, co go szpiegował za mym potajemnym rozkazem, widział, jak umieszcza ją w złotej skrzyni, a potem ową skrzynię chowa. Mimo to nie byłbym się ośmielił rzeczy tej ukraść, gdyby Xaltotun nie spał swym lotosowym snem.

Wierzę, iż w niej źródło Xaltotunowej potęgi. Z jej pomocą przywrócił go Orastes do życia. Z jej pomocą on, jeśli nie będziemy się strzec, rabów uczyni z nas wszystkich. Więc weź ją i ciśnij w morze, jak ci nakazałem. I upewnij się, że dość daleko jesteś od lądu, by nie wyrzucił jej na brzeg przyływ albo sztorm. Oplacony już zostałeś.

— To prawda — mruknął opryszek. — Ale, królu, to nie wszystko; winien ci jestem dług wdzięczności. Nawet złodzieje potrafią być wdzięczni.

Cokolwiek, wedle twego mniemania, jesteś mi winien — odparł Tarascus — zostanie spłacone, gdy ciśniesz ten przedmiot w otchłanie.

— Pojadę do Zingary, by zaokrętować się w Kordavie — obiecał tamten. — Nie ośmielę się stopy postawić w Argos, a to przez wzgląd na morderstwo czy coś w tym rodzaju..

— Nieważne, byleś zrobił swoje. Masz, trzymaj; koń czeka na podwórku. Ruszaj, a żywo!

Cos przeszło z rąk do rąk, coś płonącego jak żywy ogień — Conan widział je tylko przez mgnienie. Potem łotrzyk naciągnął na oczy kapelus z opuszczonym rondem, okrył się płaszczem i pospiesznie wyszedł z komnaty. I ledwie zatrzasnęły się za nim drzwi, Conan ruszył z niszczycielską furią spuszczonej z łańcucha żądy krwi. Dłużej trzymać się na wodzy nie potrafił. Widok wroga w zasięgu ręki zagotował mu krew w żyłach, zmiatając wszelką ostrożność, wszelkie zahamowania.

Tarascus odwrócił się ku dalszym drzwiom, gdy zdarłszy kotarę Conan wskoczył do komnaty jak krwiożercza pantera. Tarascus zwinął się na pięcie, nim jednak zdołał rozpoznać napastnika, wgrzył się weń sztylet Conana.

Ale już w chwili uderzenia Cymmeryjczyk wiedział, że pchnięcie nie jest śmiertelne. Stopa uwięzła mu w fałdach kotary i przytrzymała go w skoku. Czubek sztyletu pogrążył się w barku Tarascusa, przeorał zebra. Król Nemedii wrzasnął.

Impet ciosu i ciężar rozpędzonego ciała Cymmeryjczyka rzuciły go na stół, ów zaś wyrzucił się i świeca zgasała. Runęli obaj na podłogę, wkląjąc się w zwojach kotary. Conan dźgał na oślep, a Tarascus wrzeszczał w bezrozumnym przerażeniu, rzekłbyś jednak, iż strach użyczył mu ludzkiej siły, zdołał się bowiem wyrwać i brnąć po omacku wśród mroku, zawodził:

— Pomocy! Straż, Arideusie! Orastesie!

Conan powstał na nogi, kopnięciem odrzucił spletaną ze szczątkami stołu kotarę i z wielką goryczą zaklął. Stropiony był i nieświadom wewnętrznego rozkładu pałacu. W oddaleniu rozbrzmiewały wciąż pokrzykiwania Tarascusa, a dzięki, nagle wybuchły wrzask, był na nie odpowiedzią. Nemedjczyk umknął w ciemnościach i Conan nawet wiedział, w którą podążył stronę. Nierozważny cios zemsty chybił i Cymmeryjczykowi pozostało zadanie ocalenia swej skóry, jeśli to tylko będzie możliwe.

Klnąc kwiecicie, Conan przemknął przez pasaż, wpadł do alkowy i wyjrzał na rozświetlony korytarz akurat

wtedy, gdy z oczyma przyćmionymi grozą podbiegła doń Zenobia.

— Ach, co się stało? — krzyknęła. — Pałac zaalarmowany! Przysięgam, że cię nie zdradziłam...

— Nie, to ja poruszyłem owo gniazdo szerszeni — mruknął. — Próbowałem wyrównać jeden rachunek. Jaka najkrótsza stąd droga?

Ujęła go za ramię i popędziła korytarzem. Nim jednak dotarli do wielkich drzwi na końcu, rozbrzmiały zza nich zduszone wrzaski i portale zadrżały od uderzeń z zewnątrz. Zenobia załamała ręce i jęknęła:

— Jesteśmy odcięci! Zarygłowałam te drzwi wracając. Wyłamią je lada chwila. A wiedzie przez nie droga do bocznej bramy.

Conan obrócił się na pięcie. W przeciwnej stronie korytarza, choć wciąż poza zasięgiem wzroku, narastał zgiełk, co mu powiedziało, że nieprzyjaciela i z przodu mają, i z tyłu.

— Szybko! Tędy! — krzyknęła dziewczyna z rozpaczą, przebiegając korytarz i otwierając drzwi komnaty.

Conan podążył za nią i zasunął złoty rygiel. Byli sami w bogato urządzonej izbie; Zenobia pociągnęła go do okna o złotych kratkach, przez które dojrzał drzewa i zarośla.

— Jesteś silny — rzekła zadyszana. — Jeśli poradzisz rozgiąć te kraty, może jeszcze zdołasz umknąć. Ogród roi się od strażników, ale potrafisz ich ominąć, bo krzaki gęste. Mur południowy jest zarazem zewnętrznym murem miasta. Znalazłszy się za nim, zyskasz szansę szczęśliwej ucieczki. Koń dla ciebie ukryty jest w lasku przy drodze wiodącej na zachód, kilkaset kroków na południe od fontanny Thrallosa. Wiesz, gdzie to jest?

— Tak! Ale co z tobą? Myślałem cię zabrać.

Szczęście oblało jej śliczną twarz.

— Więc pełen jest puchar mej radości! Ale nie opóźnię twej ucieczki. Nie, o mnie się nie lękaj. Nie będą wcale podejrzewać, że ci pomogłam z własnej woli. Idź! To, coś mi powiedział, na długie lata rozświetli me życie.

Pochwyił ją w swe żelazne ramiona, potężnie przycisnął do siebie smukłą rozdygotaną postać i całował dziko oczy, policzki, szyję i usta, aż zdyszana i bezwładna spoczywała w jego objęciach; gwałtowne, niszczące i porywiste jak burzliwy wiatr było jego miłowanie.

— Pójdę — mruknął. — Ale na Croma, kiedyś po ciebie wrócę!

Odrócił się, ścisnął złote sztaby i jednym potężnym szarpnięciem wyrwał je z framugi. Potem przełożył nogi przez parapet i wykorzystując ozdoby muru jął się szybko zsuwać. Ledwie dotknął ziemi, już biegł, by wtopić się jak cień w spiętrzoną gęstwą krzewów różanych i rozłożystych drzew, Raz jeden rzucił za siebie spojrzenie i zobaczył Zenobię, która wychylona z okna wyciągała w ślad za nim ramiona w geście niemego pożegnania.

Strażnicy — rośli mężowie w błyszczących półpancerzach i wypolerowanych grzebieniastych hełmach — przebiegali ogród, zmierzając zgodnie w stronę pałacu, gdzie z każdą chwilą narastał zgiełk. Światło gwiazd krzeszło iskry z ich połyskliwego rynsztunku, zdradzając każdy ruch pośród drzew; ale jeszcze głośniejszym zapowiadali swe przybycie poszczekiwaniami zbroi. Wychowanemu w gruszy Conanowi ów hałaśliwy galop przez zarośla przypominał ślepy popłoch stada bydła. Niektórzy z nich w odległości kilku ledwie stóp mijali miejsce, gdzie krył się w gęstwinie, nawet nie podejrzewając jego obecności. Mając pałac za cel, obojętni byli na wszystko inne. Gdy wrzaskliwie przemknęli mimo, podniósł się i pogonił przez ogród nie czyniąc więcej szelestu niż pantera.

W ten sposób dotarł szybko do muru południowego i wspiął się na schody prowadzące do parapetu. Mur pomyślano tak, by bronił przed przybyciem z zewnątrz, nie ze środka. Nie było widać żadnego wartownika patrolującego umocnienia. Przycupnąwszy przy blance, Conan raz jeszcze spojrzął na wypiętrzony ponad cyprysy pałac. Jarzyły się wszystkie okna i widział przez nie postaci biegające to tu, to tam, jak marionetki poruszane niewidzialnymi sznurkami. Mocno wykrzywił oblicze, potrząsnął pięścią w geście pożegnania i groźby, a potem zeskoczył z zewnętrznej krawędzi blanki.

Kilka stóp niżej ciężar Conana, który bezgłośnie opadł na gałęzie, przyjęło rosnące pod murem niewysokie drzewo. Moment później Cymmeryjczyk sunął przez mroki owym rozkołysanym krokiem ludzi z gór, co szybko pożera długie mile.

Mury Belverusu otoczone były ogrodami i letnimi rezydencjami bogaczy. Senni niewolnicy, co podrzemywali wsparci o swe długie piki, nie dojrzeli szybkiej i przyczajonej postaci, która przeskakiwała mury, przecinała aleje uczynione z wypiętrzonych łukowato gałęzi drzew, przemykała bezgłośnie przez ogrody i winnice. Rozbudzone psy łańcuchowe obwieszczwały donośnym łajaniem ową na poły wyczuwaną węchem, na poły zaś instynktem mroczną sylwetkę, która jednak wnet ginęła w oddali.

W swej komnacie na schłapanym krwią tapczanie Tarascus wiał się i przeklinał pod zwinnymi, szybkimi palcami Orastesa. Pałac roił się od rozdygotanych sług o rozszerzonych strachem oczach, ale w izbie, gdzie spoczywał król, prócz niego i kapłana–renegata nie było nikogo.

— Pewien jesteś, że wciąż śpi? — zapytał po raz któryś Tarascus, zaciskając zęby w obronie przed bólem powodowanym przez piekący wywar z ziół, którym Orastes traktował długą poszarpaną ranę na ramieniu i zębach. — Isztar, Mitro i Secie! Pali jak rozżarzona smoła Piekieł!

— Której, gdyby nie sprzyjające ci szczęście, byłbyś już teraz kosztował — zauważył Orastes. — Ktokolwiek dzierżył ów nóż, uderzał, by zabić. Tak, mówiłem, że Xaltotun wciąż śpi. Czemuż tak cię to gnębi? Cóż on ma z tym wszystkim wspólnego?

— Więc nie wiesz nic o tym, co stało się w pałacu dzisiejszej nocy? — Tarascus wbił płonące spojrzenie w oblicze kapłana.

— Nic. Jak wiesz, od kilku już miesięcy zajęty byłem przepisywaniem dla Xaltotuna ezoterycznych manuskryptów, powstałych w nowszych językach, pismem, które zdolny jest przeczytać. Biegły był w wielu językach i pismach swojej doby, ale nowszych jeszcze się nauczyć nie zdążył i dla oszczędzenia czasu kazał mi te prace dla siebie przełożyć, by móc się przekonać, czy poczyniono od jego czasów jakoweś odkrycia. Nie wiedziałem nawet, że przybył wczoraj w nocy, nim po mnie nie posłał, żeby opowiedzieć o bitwie. Potem wróciłem do swych studiów i nie byłem świadom, że i ty powróciłeś, póki mnie z celi nie wywiódł zgiełk.

— Więc nie wiesz nawet, iż Xaltotun króla Aquilonii przywiózł jeńcem do tego pałacu?

Orastes pokręcił głową, nie okazując szczególnego zdziwienia.

— Xaltotun rzekł mi tylko, iż Conan przeszkadzać nam już nie będzie. Sądziłem przeto, że zginął, i nie pytałem o szczegóły.

— Xaltotun ocalił mu życie, kiedy chciałem go zabić — warknął Tarascus. — Z miejsca przejrzałem jego zamysły. Zamierzył trzymać Conana więźniem, by go użyć jako pałki na nas — na Amalricę, na Valeriusa, na mnie. Póki Conan żyje, stanowi zagrożenie jako ośrodek jednoczący Aquilonię — i może zostać wykorzystany, by pchnąć nas szlakiem, jakim w żadnym innym razie nie byłibyśmy podążyli. Nie dowierzam temu wskrzeszonemu Pythonijczykowi. Ostatnio zacząłem się go lękać. Ruszyłem za nim kilka godzin po jego odjeździe na wschód. Chciałem się dowiedzieć, co zamierza uczynić z Conanem. Stwierdziłem, że osadził go w lochach. Chcąc dopilnować, by — wbrew woli Xaltotuna — barbarzyńca został zgłodzony, uczyniłem...

Rozległo się ostrożne pukanie do drzwi.

— To Arideus — burknął Tarascus. — Wpuść go.

Oczy posępnego giermka płonęły skrywanym podnieceniem.

— Cóż, Arideusie? — zakrzyknął Tarascus. — Znaleźliście człeka, co mnie napadł?

— Czyś go nie widział, panie? — zapytał Arideus tonem kogoś, kto chce się upewnić co do faktu, o którym już wie, że został stwierdzony. — Czyś go nie rozpoznał?

— Nie. Tak szybko się to stało, i zaraz zgasła świeca... zdołałem ledwie pomyśleć, że to jakiś demon przywołany magią Xaltotuna na mą zgubę...

— Pythonijczyk śpi w swej okratowanej i zaryglowanej komnacie. Ale ja byłem w lochach. — Chude barki Arideusa drżały z podniecenia.

— Nuże! Gadaj, człeczko! — wrzasnął Tarascus niecierpliwie. — Coś tam znalazł?

— Pustą ciemnicę — wyszeptał giermek — i ścierwo wielkiej małpy!

— Co!? — Tarascus usiadł gwałtownie, a z jego otwartej rany trysnęła krew.

— Tak jest! Ludożerca zginął z przekłutym sercem, a Conan zbiegł!

Tarascus spopielały był na twarzy, gdy jak manekin Pozwalał się Orastesowi na powrót położyć i gdy kapłan Ponownie przystąpił do roboty nad pokiereszowanym ciałem króla.

— Conan!... — powtórzył. — Nie zmiażdżony ze — ... uciek! Mitro! Nie człek to, a szatan we własnej osobie — Sądziłem, że Xaltotun stoi za tą raną. Teraz pojmuje. Bogowie i demony! Conan mnie dźgnął! Arideusie!

— Tak jest, Wasza Wysokość!

— Przeszukać każdy zakątek pałacu. Może się te skrada po mrocznych korytarzach jak zgłodniały tygrys. Niechaj żadna wnęka nie umknie waszej uwadze. I strzeż się. Nie na cywilizowanego człeka będziecie wieść łowy, na oszalałego z żądz krwi barbarzyńcę, mocarnego i drapieżnego jak dzika bestia. Przeczesać tereny wokół pała i miasto. Rozciągnąć kordon wokół murów. Jeśli stwierdzisz, że zemknął z miasta, co z powodzeniem mógł uczynić, weź oddział jezdnych i ścigaj go. Za murami łowy nań będą jak pościg za wilkiem pośród wzgórz. Spiesz się, a może zdążysz go pojmać.

— Zadanie to wymaga czegoś więcej niż ludzkiego sprytu — wtrącił Orastes. — Może powinniśmy zwrócić się o radę do Xaltotuna?

— Nie! — zakrzyknął Tarascus gwałtownie. — Niechaj żołnierze za nim ruszają, a dopadłszy zarąbią. Xaltotus nie będzie miał nam za złe, jeśli ubijemy więźnia, by zapobiec jego ucieczce.

— Cóż — rzekł Orastes — nie będąc Acheronczykiem, posiadam jednak pewne kunszta tajemne, jako to kierowanie niektórymi duchami, co przyodziały się w cielesną powłokę. Może zdołam wam pomóc w tym zadaniu.

Fontanna Thrallosa biła wśród kolistej gęstwiny dębów rosnących przy drodze o milę od murów miejskich. Melodyjne jej szemranie dobiegało uszu Conana przez ciszę rozgwieżdżonej nocy. Popił do woli z lodowatego strumienia, któremu dawała początek, a potem pospieszył na południe ku zbitemu zagajnikowi, jaki tam wypatrzył. Obszedłszy wokół, dostrzegł ogromnego białego rumaka przywiązanego wśród zarośli. Wydawszy

głębokie westchnienie dopadł go w paru krokach, gdy kazał mu się gwałtownie odwrócić kpiący śmiech. Spojrzał groźnie.

Z cieni wyłoniła się połyskująca matowo pancerna postać. Nie jeden z owych wypolerowanych i przyozdobionych pióropuszcami strażników pałacowych, lecz rosty mąż w szyszaku i szarej kolczudze — Awanturnik, członek wyłącznie nemedyjskiej kasty wojowników, ludzi, którzy nie dobili się jeszcze dostatków i przywilejów stanu rycerskiego, bądź ze stanu tego spadli, hartownych rębaczy poświęcających życie wojnom i przygodom. Tworzyli własną klasę, dowodząc niekiedy oddziałami i od nikogo poza królem rozkazów nie przyjmując. Conan wiedział, że nie mógł go przyłapać niebezpieczniejszy przeciwnik.

Rzucone w mrok szybkie spojrzenie powiedziało mu, że tamten jest samotny, nabrał więc w piersi powietrza, mocniej stanął na nogach i napiął mięśnie.

— Jechałem do Belverusu z misją od Amalrica — rzekł Awanturnik przybliżając się czujnie. Gwiazdy skupiały swój blask na ostrzu długiego oburęcznego miecza, który dzierżył w 'gotowości. — Z zagajnika usłyszałem parskanie rumaka. Zboczyłem z drogi, by rzecz zbadać. Dziwne, pomyślałem sobie, że ktoś tu konia przywiązał, poczekałem więc i patrzcie, jaki rzadki ptaszek wpada mi w sidła!

Awanturnicy żyli z tego, co przyniósł im miecz.

— Znam cię — mruknął Nemedyczyk. — Jesteś Conan, król Aquilonii. Zdawało mi się, że widziałem, jak giniesz w dolinie Valkii, ale...

Conan skoczył jak śmiertelnie raniony tygrys. Będąc wojownikiem doświadczonym, Awanturnik nie zdawał sobie jednak sprawy z przyczajonej w barbarzyńskich ścięgnach rozpaczliwej szybkości. Dał się zaskoczyć z na pół uniesionym ciężkim mieczem. Nim zdołał cios zadać albo się przed nim zasłonić, sztylet króla zatonął w jego szyi tuż nad kryzą i podążył w dół ku sercu. Ze zdławionym charkotem zachwiał się Nemedyczyk i jał osuwać na ziemię, a gdy ż padł, Conan obojętnie wyswobodził z jego gardła swój oręż. Czując zapach krwi rumak parsknął gwałtownie i napierał na trzęśle.

Spoglądając posępnie na martwego przeciwnika Conan zastygł jak posąg z ociekającym sztyletem w dłoni i kropającym się na szerokiej piersi potem. Czujnie nasłuchiwał, ale poza sennym świergotem rozbudzonych ptaków z zagajnik nie dobiegał żaden dźwięk. Natomiast z odległego o mil miasta niósł się przeraźliwy zgiełk trąb.

Pospiesznie pochylił się nad zabitym. Krótkie poszukiwanie przekonało go, że jakkolwiek wieść niósł wojownik, miał ją przekazać ustnie. Nie zwlekał ani chwili. Do świtu nie pozostało wiele godzin. Kilka minut później po białej drodze galopował w kierunku zachodnim biały koń, a jeździec odziany był w szarą zbroję nemedyjskiego Awanturnika.

## 7. ZASŁONA UCHYLA SIĘ

Conan pojmował, że w szybkości jedyna szansa jego ucieczki. Nawet nie rozważał myśli, by ukryć się gdzieś w pobliżu Belverusu, mając pewność, że niesamowity sprzymierzenie Tarascusa zdołały by go wywęszyć. Poza tym nie był jednym z owych, co skradają się i kryją: otwarty pościg albo otwarta walka odpowiadały jego temperamentowi lepiej. Wiedział że na początku zyskał dużą przewagę. Urządzi im do granicy forsowny wyścig.

Zenobia postąpiła mądrze, wybierając białego konia. Jego szybkość i wytrzymałość były oczywiste. Dziewczyna знаła się na wierzchowcach, broni, a także — stwierdził Conan z niejakim zadowoleniem — na męczyznach. Galopował ku zachodowi, pochłaniając mile.

Mknął przez uśpioną krainę — mimo ukrytych w gajach wiosek, rozrzuconych wśród pól i sadów pałacyków o białych ścianach, coraz jednak rzadszych w miarę posuwania się na zachód. Im zaś wiosek było mniej, tym teren stawał się bardziej pofałdowany, a zameczki spoglądające srogo ze wzniesień mówiły o stuleciach granicznych wojen. Nikt jednak z owych twierdz nie wyjeżdżał, by go okrzyknąć albo zatrzymać. Ich panowie podążyli za sztandarem Amalrica, proporce, które winny były powiewać nad tymi wieżycami, furkotały nad równinami Aquilonii.

Zostawiwszy za sobą ostatnią przycupniętą wioskę, Conan porzucił drogę, która odchyłała się ku północnemu zachodowi i odległym przełęczom. Podążać nią dalej, znaczyło natrafić na strażnice graniczne wciąż obsadzone żołnierstwem, które nie przepuści go bez indagacji. Wiedział, że nie będzie żadnych patroli przemierzających pogranicze po obydwu stronach, jak działa się to w normalnym czasie, ale pozostawały strażnice i kawalkady powracających wojaków, którzy eskortując rannych wiezionych bawolimi zaprzęgami prawdopodobnie wyroją się o świtanu na drogę.

Ta droga wychodząca z Belverusu była jedyną, która przecinała granicę na pięćdziesięciomilowym odcinku wiodącym z północy na południe. Prowadziła przez ciąg skalistych przełęczów oflankowanych rozległymi terenami skąpo zaludnionych gór. Utrzymywał swój prosty kurs zachodni, zamierzając przekroczyć granicę w głębi górskiej głuszy leżącej na południe od drogi. Był to szlak krótszy i cięższy, lecz zarazem bezpieczniejszy dla ściganego uciekiniera. Jeden bowiem konny zdoła przebić się przez obszary niedostępne całym armiom.

Ale o świcie nie dotarł jeszcze do gór; jawiły się jego oczom jak rozciągnięty wzdłuż horyzontu długi błękitnoszary wał obronny. Nie było tu już ani zagród, ani wiosek, ani pałacyków przycupniętych wśród gęstwy

drzew. Poranny wiatr poruszał wysokimi sztywnymi trawami, które pokrywały pofałdowany brązowy grunt, a na odległym pagórku wznosiły się posępne mury twierdzy. Zbyt wielu w nieodległych czasach przemierzyło tę krainę Aquilońskich rabusiów, by mogła być zasiedlona równie gęsto, jak tereny leżące dalej na wschód.

Świt gnał po murawie jak stepowy pożar, a z niebios dobiegał przeraźliwy klangor dzikich gęsi mknących na południe rozciągniętym kluczem. W trawiastej kotlinie Conan zatrzymał się i rozsiadł zdyszanego i spienionego rumaka. Gnał go bezlitośnie przez ostatnie godziny nocy.

Gdy wytarzawszy się wierzchowiec jął poszczypywać sztywną trawę, Conan legł na szczycie wzgórza i skierował wzrok na wschód. Po lewej stronie widział drogę, którą porzucił, pnącą się jak biała wstążka na odległe wzniesienie. Nie poruszały się jeszcze po niej żadne czarne punkciki. Nic również nie wskazywało, iż mieszkańcy zameczku spostrzegli samotnego wędrowca.

Godzinę później okolica wciąż świeciła pustkami. Jedyнным śladem życia był błysk stali na dalekich murach obronnych i krążący po niebie kruk, co opadał i wznosił się jakby czegoś szukając. Conan osiodłał konia i ruszył w wolniejszym teraz tempie.

Docierał do przeciwnego końca grzbietu, gdy nad jego głową buchnął ochrypli wrzask; podniósłszy wzrok, zobaczył w górze kruka. Machał skrzydłami i nieustannie krakał, a kiedy Conan ruszył dalej, podążył za nim, nie dając się odegnąć i kalecząc ciszę poranka ostrym krzykiem.

Trwało to godzinami. Conan wściekle zgrzytał zębami, czując, że oddałby połowę swego królestwa za możliwość ukręcenia tej czarnej szyi.

— Piekło i szatani! — ryczał w bezsilnym gniewie, wygrażając zapamiętałemu ptakowi pancerną pięścią. — Czemu mnie prześladujesz swoim wrzaskiem? Szczeźnij czarny potępiony pomocie, i ruszaj wydziobywać ziarno z wieśniaczych pól!

Zstępował z pierwszego łańcucha wzgórz, gdy wydało mu się, że słyszy w dali za swymi plecami echo ptasich wrzasków. Odwróciwszy się w siodle wypatrzył w końcu zawieszoną w błękitie następną czarną kropkę. A za nią błysk popołudniowego słońca na stali. Mogło to oznaczać tylko jedno: zbrojnych. I nie podążali bitym traktem, co pozostał daleko za linią horyzontu. Szli jego tropem.

Sposępniała mu twarz i lekko zadrgała, gdy patrzył na krążącego w górze ptaka.

— Ach, to coś więcej niż kaprys bezmózgiego bydlęcia? — mruknął. — Owi jeźdźcy nie mogą cię widzieć, szatańskie nasienie, ale jesteś na oku tamtego ptaka, ów zaś na oku tamtych. Ty podążasz za mną, on za tobą, a oni za nim. Czy jesteś tylko dobrze wyuczonym pierzastym stworzeniem, czy może jakimś demonem w ptasiej powłoce? Czy to Xaltotun posłał cię mym śladem? A może sam jesteś Xaltotun?

Usłyszał tylko w odpowiedzi przeraźliwy wrzask, rozedrgany chropawą kpiną.

Nie marnując więcej oddechu na czarnego szpiega, Conan podjął swą długą przeprawę przez góry. Nie ważył się gnać konia zbyt ostro: odpoczynku, na jaki mu pozwolił, nie dość było, żeby rumaka odświeżyć. Wciąż znacznie wyprzedzał swych prześladowców, ale stopniowo dystans będzie się zmniejszać. Było niemal pewne, że mają konie bardziej wypoczęte; niewątpliwie zmienili je w mijanym zamku.

Szlak stawał się coraz cięższy, teren bardziej poszarpany, a trawiaste zbocza pięły się stromo ku gęsto zalesionym stokom gór. Wiedział, że gdyby nie piekielny ptak niestrudzenie krążący w górze, mógłby tu umknąć prześladowcom. Uniknęli mu z oczu, zasłonięci nierównościami terenu, ale Pewien był, że podążają wprost za nim wiedzeni nieomylnie przez swych upierzonych sprzymierzeńców. Jawiły mu się owe czarne kształty jako szatańskie zmary, gnające za nim trop w trop skroś bezdenne otchłanie piekieł. Kamienie, którymi ciskał z przekleństwem na ustach, omijały cel lub raziły kruka nie przynosząc mu szwanku, choć w młodości strącał sokoły w locie.

Koń szybko się męczył i Conan poczynał zdawać sobie sprawę z ponurej beznadziejności swego położenia. Wyczuwał za tym wszystkim nieubłaganą rękę losu. Nie zdoła umknąć. Jest więźniem w takim samym stopniu, jak wówczas, gdy siedział w lochach Belverusu. Nie był jednak synem Orientu, by godzić się biernie z tym, co na pozór nieuniknione. Jeśli nie zdoła uciec, zabierze przynajmniej ze sobą do wieczności kilku nieprzyjaciół. Skręcił w pokrywającą zbocze gęstwinę cisów, szukając miejsca, w którym wyda ostatni bój.

Potem gdzieś z przodu rozległo się ostre wołanie — ludzkie choć osobliwe w tonie. Chwilę później Conan rozsunął zasłonę gałęzi i dojrzał źródło niesamowitego wrzasku. Na leżącej w dole małej polanie czterech żołnierzy w nemedyjskich kolczugach zakładało stryczek na szyję wychudzonej staruszki w wieśniaczym przyodziewku. Leżąca w pobliżu przewiązana sznurkiem wiązka chrustu świadczyła o zajęciu niewiasty w chwili, gdy opadli ją maruderzy.

Patrząc w milczeniu na łotrzyków ciągnących ją ku drzewu, którego niskie rozłożyste gałęzie miały najoczywiściej posłużyć za szubienicę, Conan poczuł, jak w jego sen z wolna narasta wściekłość. Granicę przeszedł godzinę temu. Stał na swej własnej ziemi, przyglądając się zabójstwu jednego ze swych poddanych. Staruszka szamotała się zdumiewającą siłą i energią, by w pewnej chwili unieść głowę i wydać ten sam co przedtem niezwykle donośny okrzyk. Jak gdyby przedrzeźniając zawtórował mu polatujący w górze kruk. Żołnierze roześmieli się gardłowo, a jeden z nich uderzył kobietę w usta.

Conan zeskoczył ze swego strudzonego wierzchowca i w kilku susach zbiegł po skałach, lądując na trawie z brzękiem zbroi. Na ten dźwięk czterech żołnierzy odwrócili się natychmiast, dobywając oręża, i zagapili się na pancernego olbrzyma, który stanął przed nimi z mieczem w dłoni.

Conan parsknął ochryplym śmiechem. Jego oczy były nieprzeniknione jak kamień.

— Psy! — powiedział bez gniewu, lecz nieubłaganie. — Czyżby nemedyjskie szakale przyjęły na się rolę katów i wieszają mych poddanych wedle woli? Najpierw musicie wziąć łeb ich królowi. Oto jestem, do waszych usług!

Żołnierze popatrywali nań niepewnie, gdy zmierzał w ich stronę.

— Kimże jest ten szaleniec? — warknął brodaty opryszek. — Przywdziewa zbroję nemedyjską, ale gada z aquilońskim akcentem!

— Czy to ważne? — odrzekł drugi. — Zarąbmy go, i potem obwieśmy starą wiedźmę.

I z tymi słowy rzucił się na Conana unosząc miecz. Nim go jednak zdołał opuścić, szeroka królewska głownia padła jak piorun, rozdwajając hełm razem z czaszką. Pierwszy napastnik legł, ale pozostałym zbirom nie odebrało to serca. Z wywieszonymi jak u wilków językami opadli samotną postać w szarej zbroi, a w szczęku stali utonął wrzask krążącego kruka.

Conan nie krzyczał. Z oczyma jak rozżarzone do błękitności węgle i nieprzeniknionym uśmiechem na ustach siekł oburęcznym mieczem na lewo i prawo. Przy całym swym ogromie był zwinny jak kot — w nieustannym ruchu przedstawiał sobą cel tak ulotny, że większość wrażeń ciosów przecinała tylko puste powietrze. A przecież kiedy sam uderzał, stał krzepko na nogach i miecz spadał z niszczącą siłą. Trzech wrogów konało już na ziemi w kałużach posoki, czwarty zaś, brocząc krwią z pół tuzina ran, cofał się na łeb na szyję, chaotycznie parując ciosy. I wówczas ostroga Conana zaplątała się w opończę jednego z powalonych.

Król zachwiał się i nim zdołał odzyskać równowagę, zdesperowany Nemedyczyk zaatakował go tak wściekle, Conan rozciągnął się na ciele trupa. Skrzeknął Nemedyczyk triumfalnie, podskoczył w przód i krzepko stanąwszy na rozstawionych nogach dla większej mocy ciosu, uniósł oburącz nad prawy bark swój długi miecz. I wówczas wielkiego i kudłatego wystrzeliło jak piorun nad rozciągniętym ciałem króla, by uderzywszy z pełną mocą w pierś Nemedyczyka, zamienić jego okrzyk triumfu w skowyt umierania.

Stanąwszy na nogi Conan zobaczył przeciwnika, który leżał z rozerwaną gardzielią, mając nad sobą wielkiego szarego wilka, co z pochylonym łbem zdawał się wachać rosnącą na trawie kałużę krwi.

Król odwrócił się na dźwięk słów staruszki. Stała przed nim wysoka i prosta, o wyrazistych surowych rysach i przenikliwych ciemnych oczach. Mimo prostego przyodzienia nie wyglądała na zwykłą wieśniaczkę.

Przywała wilka, zaś podreptał do jej boku jak wielki pies i jał ocierać potężny bark o kolano pani, patrząc na Conana ogromnymi rozjarzonymi ślepiami. Ona zaś odruchowo położyła dłoń na jego muskularnym karku i stali tak oboje ze wzrokiem wbitym w króla Aquilonii. Peszyło go to spojrzenie, choć nie znajdował w nim wrogości.

— Prawią, że król Conan zginął pod głazami i ziemią, kiedy nad Valkią runęły urwiska — ozwała się nie głębokim dźwięcznym głosem.

— Ano prawią — mruknął. Nie miał nastroju na spory i ciągle myślał o owych pancernych jeźdźcach, co przybliżają się z każdą chwilą. Kruk nad jego głową skrzeczał przeraźliwie i Conan mimowolnie zerknął w górę, zgrzytając zębami w bezsilnej złości.

Biały koń stał z opuszczoną głową na szczycie urwiska. Kobieta spojrzała nań, przeniosła wzrok na kruka, a potem wydała ten sam co uprzednio niesamowity okrzyk. Jak gdyby rozpoznając rozkaz, nagle oniemiały kruk odmienił kierunek i poszybował na wschód. Nim jednak zginął z pola widzenia, padł nań cień ogromnych skrzydeł. To z gęstwiny drzew uniósł się orzeł i wzbivszy się nad czarnego zwiadowcę, runął nań i przywoździł do ziemi. Przerażliwy zdradziecki głos został uciszony na zawsze.

— Na Crom! — mruknął Conan, wpatrując się w starą kobietę. — Czyżbyś i ty była czarodziejką?

— Jestem Zelata — odparła. — Ludzie z dolin zwą mnie wiedźmą. Czy to dziecię nocy prowadziło zbrojnych twym tropem?

— A tak. — Nie wydawało się, by uznała tę odpowiedź za fantastyczną. — Nie mogą być daleko.

— Idź po konia i podążaj za mną, królu Conanie — powiedziała zwięźle.

Bez słowa wspiął się na skały i okrężnym szlakiem sprowadził wierzchowca na polanę. I wówczas zobaczył orła niespiesznie opadającego z niebios, by spocząć przez mgnienie na ramieniu Zelaty: lekko poruszał olbrzymimi skrzydłami, jakby w obawie, że przygniecie ją do ziemi swym ciężarem.

Prowadziła w milczeniu, z wielkim szarym wilkiem stąpającym u jej boku i unoszącym się nad głową orłem. Kroczyła przez zbite gąszcza, po krętych ścieżynkach na urwistych krawędziach głębokich parowów, aż wreszcie wąską półką na samym skraju przepaści doszli do osobliwej imiennej sadyby: na połę chaty, na połę pieczary, skrytej pod skalnym nawisem zagubionym wśród wawozów i turni. Orzeł pofrunął na wierzchołek owego nawisu, by trwać tam jak nieruchomy wartownik.

Wciąż nie odzywając się słowem, Zelata zawiodła konia do pobliskiej jaskini z obfitością obroku w postaci wysokie go stosu liści i trawy, i źródłem bijącym w mrocznym zakątku.

W swej chacie usadowiła króla na topornej ławie okrytej niewyprawną skórą, sama zaś, siedząc na niskim stołki przed niewielkim paleniskiem, roznieciła ogień z polan tamaryszku i przygotowała skromny posiłek. Wielki wilk podrzemywał obok niej z pyskiem zwróconym w stronę ognia, śnił coś, bo chwilami przez jego uszy przebiegał dreszcz.



Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Nie lękasz się zasiadać w chacie wiedźmy? — zapytała, przerywając na koniec milczenie.

Niecierpliwie wzruszenie okrytych szarą zbroją ramion było jedyną odpowiedzią gościa. Podała mu drewniany talerz kopiasto wypełniony suszonymi owocami, serem i chlebem jęczmiennym, i wielki dzban mocnego górskiego piwa.

— Smętna cisza turni miłsza mi się zdała niż zgiełk miejskich ulic — rzekła. — Dzieci głuszy lepszego są serca niż dzieci człowiecze. — Jej dłoń musnęła kudłaty kark uśpionego wilka. — Dzieci me były dzisiaj daleko ode mnie i tylko dlatego potrzebowałam twego miecza. Przybyły jednak na wołanie.

— Co miały do ciebie owe nemedyjskie kundle? — dopytywał się Conan.

— Maruderzy najeźdźczej armii rozpetzli się w całym kraju, od granicy po Tarantię — odparła. — Głupi wieśniacy z dolin, chcąc odwrócić ich uwagę od swoich sadyb, powiedzieli, że mam ukryty złoty skarb. Zażądali tedy owego skarbu, a odpowiedzi moje wprawiły ich w gniew. Tu jednak nie odnajdą cię ani maruderzy, ani tamci, co cię ścigali ani żadne kruki.

Potrząsną głową, posilając się łapczywie.

— Zmierzam do Tarantii.

— I wrażasz głowę w smoczą paszczę. Szukaj schronienia za granicą. Z twego królestwa zniknęło serce.

— Co masz na myśli? — zapytał. — Wielokroć w przeszłości przegrywano bitwy, ale zwyciężano w wojnach. Nie traci się królestwa w jednej porażce.

— I podążysz do Tarantii?

— Tak. Obroni ją Prospero przed Amalikiem.

— Pewien jesteś?

— Piekło i szatani, niewiasto! — zakrzyknął gniewnie. — Jakże inaczej?

Pokręciła głową.

— Czuję, że jest inaczej. Zobaczmy. Niełatwo uchyla się zasłony, a przecież uczynię to dla ciebie, byś mógł wejrzeć w swoją stolicę.

Conan nie dostrzegł, co wrzuciła do ognia, ale wielki wilk zawył przez sen, a tumany zielonego dymu jęły wypełniać chatę. I przed oczyma króla jej ściany i sufit zaczęły się oddalać, maleć i znikać, jakby związane w jedno z nieskończonym bezmiarem; spowijał go dym, który przesłaniał wszystko. A w nim poruszały się i ginęły kształty, by wreszcie okrzepnąć w zdumiewająco ostry obraz.

Patrzył na znajome budowle i ulice Tarantii, po których wrzaskliwie rola się tłuszcza, w sposób niepojęty widząc zarazem sztandary Nemedii zmierzające nieubłaganie na zachód skroś dym i ogień pustoszonej ziemi. Na wielkim placu Tarantii rozgorączkowany tłum kipiał zgiekliwie, wyrzaskując, że król nie żyje, że baronowie sposobią się, aby rozszarpać ziemię, że władza króla, nawet takiego jak Valerius, lepsza jest niż anarchia. Przejeżdżał wśród rozkrzyczanych ludzi Prospero w lśniącej zbroi, próbując ich uspokoić, nakazując posłuszeństwo wobec grabiego Trocero, zachęcając, by wystąpili na mury i dali pomoc rycerzom. Obrócili się przeciw niemu skowycząc ze strachu i ślepej wściekłości, wrzeszczeli, że jest rzeźnikiem Trocera i nieprzyjacielem gorszym nawet niż sam Amalric. Ciskali w jego rycerzy odpadkami i kamieniami.

Obraz przymglił się z lekka, co by mogło zaświadczyć: o upływie czasu, i Conan zobaczył Prospera ze swoimi rycerzami, jak wylewają się z bram miasta i podążają na południe. Za ich plecami Tarantię ogarniały zamieszki.

— Głupcy! — warknął Conan przez zęby. — Głupcy! Czemu nie posłuchali Prospera? Zelato, jeśli jakimiś sztuczkami robisz sobie ze mnie igrzysko...

— Tamto minęło — odparła niewzruszenie, ale posępnie Zelata. — Zobaczyleś schyłek dnia, w którym Prospero opuścił Tarantię, mając wojska Amalricowe niemal w zasięgu wzroku. Z murów widać było ognie pożarów wniecanych przez najeźdźców. Tak wyczytałam w dymie. O za chodzie słońca Nemedycjacy wkroczyli do stolicy, nie napotykając żadnego oporu. Patrz! Teraz, w pałacu królewskim...

I nagle spoglądał Conan na wielką salę koronacyjną. I Valerius w gronostajach stał na królewskim wyniesieniu, Amalric zaś, wciąż mając na sobie zbroję splamioną krwią i pyłem, wkładał na jego żółte kędziory lśniący bogaty krąg — koronę Aquilonii! Zebrani wzniesli radosny okrzyk: długie szeregi zakutych w stal wojowników nemedyjskich przyglądały się ponuro uroczystości, a szlachetnie urodzeni, ci co na Conanowym dworze od dawna pozostawali w niełasce, z dumą obnosili na rękawach herb Valeriusa.

— Na Croma! — wyrzucił z siebie Conan, podrywając się w górę ze ściśniętymi w młoty ogromnymi pięściami z żyłami zawężłonymi na skroniach i wykrzywionym konwulsją obliczem. — Nemedyczyk ozdabia tego renegata Aquilońską koroną... i to w królewskiej sali Tarantii!

Jak gdyby przelekniony gwałtownością Conana, dym począł się rozwiewać, aż zobaczył król w półmroku lśniące oczy Zelaty.

— Sam widziałeś — ludzie w stolicy roztrwonili wolność, którąś zdobył dla nich mieczem swym i potem; oddali się rabami w łapy rzeźników. Dowiedli, że nie ufają swemu przeznaczeniu. Możesz brać ich w rachubę, myśląc o odzyskaniu królestwa?

— Sądziłem, że jestem martwy — burknął, odzyskując powoli równowagę. — Nie mam syna. Nie rządzi się ludźmi, tylko wspomnieniem. Co z tego, że Nemedycjacy posiadli Tarantię? Wciąż pozostają prowincje, baronowie i lud wiejski. Pustą sławę zdobył Valerius.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Uparty jesteś, jak przystoi wojownikowi. Nie mogę ukazać ci przyszłości, nie mogę ukazać nawet całej przeszłości. Nie, nic ci nie ukazuję. Podprowadzam tylko do okien, z których siły niepojęte odsunęły zasłonę. Chciałbyś wejrzeć w minione, by poszukać źródeł dzisiejszego?

— Tak! — Usiadł gwałtownie.

I znów uniosły się kłęby zielonego dymu. I znów rozwinęły się przed nim obrazy, osobliwe tym razem i na pozór ze sobą nie powiązane. Dojrzał niebosiężne czarne mury, skryte w mroku piedestały z wizerunkami odrażających i potwornych niemal bogów. A w mrokach poruszali się ludzie — ciemni żyłaści mężczyźni w czerwonych przepaskach z jedwabiu. Ogromnym czarnym korytarzem dźwigali zielony jaspisowy sarkofag. Nim Conan zdołał do końca pojąć, na co spogląda, obraz się zmienił. Przedstawiał teraz jaskinię, mroczną, pełną cieni, napawającą niepojętym lękiem. Na kamiennym czarnym ołtarzu stało wyrobione w kształt muszli osobliwe złote naczynie. Do jaskini wkroczyło kilku z owych ludzi, co nieśli przedtem jaspisowy sarkofag. Pochwycili złote naczynie, a potem zawirowały wokół nich cienie i Conan nie potrafiłby rzec, co się stało. Dostrzegł jednak błysk w skłębionych mrokach i coś na kształt kuli żywego ognia. Potem dym był już tylko dymem, unoszącym się coraz cieńszą i bledszą smugą z tamaryszkowych polan.

— Co by to mogło znaczyć? — spytał oszołomiony; Conan. — Co widziałem w Tarantii, pojmuję. Ale owi — zamoryjscy złodzieje przekradający się skroś podziemną świątynię Seta w Stygii? A owa jaskinia... ani o niej słyszałem, ani ją widziałem podczas moich wędrówek. Jeśli już tyle zdołałaś mi ukazać, owe nic nie znaczące strzępki wizji, czemu nie potrafiś pokazać wszystkiego, co się wydarzy?

Zelata bez słowa podsycała ogień.

— Rządzą tymi rzeczami niezmiernie prawa — odrzekła wreszcie — których wyjaśnić ci nie potrafię, bo i sama nie pojmuję ich do końca, choć w ciszy górskich szczytów szukałam wiedzy przez niezliczone lata. Nie dam ci ratunku, choć mogąc to uczynić, byłabym ci go dała. Przychodzi chwila, w której człek sam musi odnaleźć drogę zbawienia. A przecież może we śnie nawiedzi mnie mądrość i o świtaniu zdołam ci dać klucz do tajemnicy.

— Jakiej tajemnicy? — spytał.

— Tej, która kosztowała cię królestwo — odparła. A potem na podłodze obok paleniska rozłożyła kozuch. — Śpij — powiedziała krótko.

Bez słowa rozciągnął się na skórze i zapadł w głęboki acz niespokojny sen, w którym wędrowały milczące zjawy i podkładały się potworne bezkształtne cienie. Raz dostrzegł na tle purpurowego przedwieczornego horyzontu potężne mury i wieżycę jakiegoś olbrzymiego grodu, nieznanego tej ziemi, co była jego światem. Gigantyczne pylony i purpurowe iglice pięły się ku gwiazdom, nad nimi zaś unosiło się na kształt mirażu brodate oblicze Xaltotuna.

Conan zbudził się w białym chłodziu wczesnego poranka, by zobaczyć Zelatę przycupniętą obok małego paleniska. W nocy nie przebudził się ani razu, choć odgłos wychodzącego albo wchodzącego wilka winien go być zaalarmować. A przecież zwierzę siedziało teraz u ognia z kudłatą sierścią mokrą od rosy i nie tylko od rosy. W gęstym futrze połyskiwała krew, na barku widać było ranę.

Nie obejrzawszy się nawet, Zelata skinęła głową, jakby czytając w myślach swego królewskiego gościa.

— Nałów ruszył o przedświcie i krwawe to były łowy. Mniemam, że ów, co polował na króla — kimkolwiek był, człkiem czy bestią — polować już nigdy nie będzie.

Wyciągając rękę po strawę, którą podawała mu Zelata, Conan z osobliwą fascynacją spoglądał na wielkie zwierzę.

— Nie zapomnę, gdy na powrót zasiądem na tronie — powiedział krótko. — Dałaś mi przyjaźń... na Croma, nie pamiętam, kiedy ległem spać zdany na łaskę męża albo niewiasty, jak uczyniłem to dzisiejszej nocy. A cóż z zagadką, którą miałaś mi dzisiaj rozjaśnić?

Nastąpiła długa chwila ciszy, przerywanej tylko trzaskiem płonących na kominku tamaryszkowych polan.

— Znajdź serce swego królestwa — powiedziała w końcu Zelata. — W nim twa kłęska lub moc. Nie tylko ze śmiertelnym walczysz wrogiem. Póki nie znajdziesz swego królestwa, na tronie zasiąść nie zdołasz.

— Masz na myśli Tarantię?

Pokręciła głową.

— Jestem wyrocznią, przez której usta przemawiają bogowie. I zamkną je, gdybym rzekła za dużo. Musisz znaleźć serce twojego królestwa. Więcej powiedzieć nie mogę. Bogowie zamykają i otwierają me usta.

Świt jeszcze bieleł się na szczytach, gdy Conan ruszył ku zachodowi. Obejrzał się przez ramię, by dojrzeć nieprzeniknioną jak zawsze Zelatę stojącą z ogromnym wilkiem u boku w drzwiach swojej chaty.

Niebo było jak szara kopuła, a zawodzący wiatr mroził członki zapowiedzią zimy. Brązowe liście sfruwały wolno z nagich gałęzi i opadały na pancerne ramiona Conana.

Cały dzień przeprawiał się przez góry, omijając trakty i wioski. Przed wieczorem jął zstępować z wyżyn i zobaczył rozpostarte przed sobą równiny Aquilonii.

Wioski i zagrody zaczynały się tu u samego podnóża gór, albowiem przez pół ostatniego stulecia większość napaści zbrojnych szła z Aquilonii na wschód. Ale teraz tylko popioły i zgłiszczca znaczyły miejsca, gdzie niegdyś stały chaty i dwory.

Conan podążał dalej w zapadającym zmroku, chronił go przed rozpoznaniem, którego obawiał się jednako

ze strony wroga i przyjaciela. W swym parciu na zachód Nemedycjczy nie zapomnieli o dawnych urazach. Valerius zaś nawet nie usiłował powstrzymać sprzymierzeńców, jako że na miłość prostego ludu wcale nie liczył. Olbrzymia wstęga spalonej ziemi brała początek na pogórzu i ciągnęła się ku zachodowi, w głąb kraju. Conan kłął, przejeżdżając skroś poczerńiały bezmiar żyznych niegdyś pól, obok sterczących w niebo szkieletów popalonych domostw. Jak duch z zapomnianej przeszłości zdążał przez kraj wyniszczony i pusty.

Szybkość, z jaką armia najeźdźcza zdobywała teren, świadczyła o słabości napotkanego oporu. A przecież gdyby to Conan dowodził swymi Aquilończykami, wróg każdy zdobytej ziemi musiałby okupować krwią. Ogarnęła duszę gorzka myśl: nie był dziedzicem dynastii. Tylko samotnym awanturnikiem. Nawet owa kropelka królewskiej krwi, którą chepił się Valerius, miała na ludzkie umysły większy wpływ niż pamięć Conana, przypomnienie wolności i potęgi, jaką przyniósł państwu.

Za górami nie podążyli jego śladem żadni już prześladowcy. Wypatrywał włóczących się lub powracających do kraju oddziałów nemedyjskich, lecz ani jednego nie dostrzegł. Maruderzy omijali go szerokim łukiem, sądząc ze zbroi, iż jest jednym ze zdobywców. Zachodnia strona obfitowała nadto w gaje i rzeki, nie brakło tedy poręcznych kryjówek. Wędrował więc spustoszoną krainą, zatrzymując się tylko po to, by dać rumakowi odpoczynek, samemu zaś posilić się skromnie jadłem, które Zelata mu dała na drogę, aż o świcie, ległszy na brzegu rzeki pod osłoną gęstwy wierzb i dębów, dostrzegł w oddali, za sfalowaną niziną i plamkami bogatych sadów, złote wieżycy Tarantii.

Wychynął wtedy z pustkowi w kraj tętniący życiem. Od tej chwili poruszał się wolno i ostrożnie, przez leśne gęstwiny i rzadko uczęszczane dukty. O zmierzchu dotarł do plantacji Serviusa Galanna.

## 8. GASNAĆE GŁOWNIE

Tereny wokół Tarantii uniknęły okropnego spustoszenia, jakie stało się udziałem prowincji wschodnich. I tu wprawdzie nie brakło świadectw przemarszu najeźdźczych wojsk — mówiły o nim obalone płoty, ogołocone pola i złupione spichlerze — aczkolwiek stał i żagiew nie rozszalały się na dobre.

Jedną tylko ponurą pamiątkę dostrzegł w tej okolicy Conan — wyżarzone usypisko popiołów i poczerńiałego kamienia w miejscu, gdzie wznosiła się niegdyś okazała rezydencja jednego z najzagorzalszych jego popleczników.

Król nie poważył się podążyć otwarcie do oddalonej ledwie parę mil od miasta siedziby Galanna. Przebył w zmroku rozległy zagajnik, by dostrzec wreszcie pomiędzy drzewami chatę dozorczy. Zeskoczywszy z kulbaki i spętawszy konia ruszył ku grubym hakowatym drzwiom z zamiarem wysłania po Serviusa sługi. Nie dostrzegł był wprawdzie żadnych oddziałów, lecz wojska mogły kwaterować w całej okolicy, w tym również we dworze Galanna. Ale podszedłszy bliżej zobaczył, że otwierają się drzwi chaty i wychodzi z nich krępa postać w jedwabnych pończochach i bogato haftowanym kubraku, a następnie rusza ścieżką wijącą się przez zagajnik.

— Serviusie!

Właściciel plantacji z okrzykiem zdumienia obrócił się na pięcie i jał się cofać na widok stojącej przed nim w półmroku rosłej pancernejszej postaci, sięgając zarazem po zawieszony u pasa krótki myśliwski kord.

— Kim jesteś? — zapytał. — Czego tu... Mitro!

Z sykiem wciągnął powietrze, a jego rumiana twarz pobladła.

— Avaunt! — wykrzyknął. — Czemuś powrócił z szarych krain śmierci, aby mnie przerażać? Póki żyłeś, byłem twoim wiernym lennikiem...

— Czego oczekuję po tobie i teraz — odparł Conan. — Przestań się trząść, człowiecze; z krwi jestem i kości.

Niepewny i spocony Servius przybliżył się i zajrzał w twarz pancernego olbrzyma, a kiedy się upewnił o jego prawdziwości, opadł na kolano i zdjął czapkę z piórem.

— Wasza Wysokość! — to cud wszelką wiarę przechodzący! Wielki dzwon cytadeli nie dziś i nie wczoraj obwieścił twoją śmierć. Powiadano, że poległeś nad Valkią zmiażdżony straszliwym obwałem gruntu i potrzaskanego granitu.

— Inny to był w mojej zbroi — mruknął Conan. Ale pogadamy później. Jeśli jest na twym stole rzecz taka, jak udziec wołowy...

— Wybacz mi, panie! — zakrzyknął Servius zrywając się z ziemi. — Kurz wędrowki osypał twoją zbroję, a ja stać ci tu każę bez odpocznienia i strawy! Mitro! Dobrze teraz widzę, że cały jesteś i zdrow, ale przysięgam: gdy dojrzałem w mroku twą szarą i niewyraźną sylwetkę, szpik moich gnatów w wodę się zamienił. Niezdrową jest rzeczą spotkać w wieczornym lesie człeka, o którym mniemałeś, że umarł.

— Nakaż słudze zająć się mym koniem, co przywiązany jest za tamtym dębem — polecił Conan, a Servius przytaknął, wiodąc króla ścieżyną. Otrząsnął się ze swego zabobonnego lęku, lecz okazywał niezwykle zdenerwowanie.

— Poślę kogoś ze dworu — powiedział. — Stróż siedzi w swej chacie... ale w dzisiejszych czasach boję się zaufać nawet sługom. Lepiej, bym tylko ja wiedział o twym przybyciu.

Przybliżywszy się do okazałej rezydencji połyskującej matowo zza drzew, Servius skręcił w nie uczęszczaną dróżkę biegnącą wśród szpaleru gęsto rosnących dębów, których splecione gałęzie tworzyły w górze

sklepienie odcinające ostatnie blaski umierającego dnia. Servius, z którego zachowania przebijało coś na kształt paniki, w milczeniu spieszył przez ciemności, aż na koniec wprowadził Conana przez małe boczne drzwi do wąskiego, słabo oświetlonego korytarza, a stamtąd do przestronnej komnaty o belkowanym dębina suficie i bogato wykładanych drewnem ścianach. W obszernym kominku płonęły polana, powietrze bowiem było mroźne, a ogromny pasztet parował w kamionkowym półmisku ustawionym na szerokim mahoniowym stole. Servius zaryglował masywne drzwi i wygasił świece w srebrnym świeczniku, jedynym więc oświetleniem komnaty pozostał płonący na kominku ogień.

— Zechciej wybaczyć, Wasza Wysokość — powiedział Przepraszająco. — Niebezpieczne mamy czasy; szpiedzy czają się wszędzie. Lepiej będzie, jeśli nikt nie zdoła zerknąć przez okna mogąc cię rozpoznać. Ten pasztet prosto jest z pieca, jako że zamierzałem wieczerzać powróciwszy rozmowy z dozorcą. Jeśli więc, Wasza Wysokość, raczysz...

— Dość tu światła — burknął Conan, sadowiąc się bez zbędnych ceregieli i dobywając sztyletu.

Wgryzł się łapczywie w smakowitą potrawę, popijając kolejne kęsy wielkimi łykami wina z zebranych na Serviusowej plantacji winogoron. Zdawał się obojętny na wszelkie niebezpieczeństwo, za to gospodarz wiercił się niespokojnie na swym zydlu koło kominka, nerwowo przesuwając w palcach ogniwa zawieszonoego na szyi ciężkiego—złotego łańcucha. Spozierał nieustannie ku połyskującym matowo w blasku ognia oknom i nastawiał ucha w stronę drzwi, jakby ni poły oczekując, że usłyszy w korytarzu ukradkowe stąpnięcia.

Skończywszy posiłek, Conan wstał i przesiadł się na zydel obok kominka.

— Nie będę długo narażać cię na niebezpieczeństwo swoją obecnością — powiedział nagle. — Świt zobaczy mnie z dala od twojej plantacji.

— Mój królu... — Servius z urazą uniośł dłoń, ale Conan machnięciem ręki uciął jego protesty.

— Znam lojalność twą i męstwo. Nic im zarzucić na można. Skoro jednak Valerius zagarnął mój tron, wiele ryzykujesz udzielając mi schronienia.

— Nie dość jestem potężny, by mu otwarcie stawić czoła — przyznał Servius. — Pięćdziesięciu zbrojnych, których mogę powieść w bój, będzie przeciwko niemu ledwie garstką traw. Widziałeś jednak ruiny siedziby Emiliusa Scavona?

Conan przytaknął, zasępiając oblicze.

— Był, jak wiesz, najpotężniejszym patrycjuszem prowincji. Odmówił złożenia Valeriusowi hołdu.

Nemedczycy spalili go w murach własnej rezydencji. Naówczas pozostali z nas dostrzegli daremność oporu, zwłaszcza iż Tarantycy nie chcieli walczyć. Ulegliśmy i Valerius darował nam życie, choć podatki, jakie na nas nałożył, wielu doprowadzą do ruiny. Cóż jednak mieliśmy zrobić? Sądziliśmy, że poległeś, wielu baronów zginęło, wielu uwieziono. Armia została rozbita i rozproszona. Nie masz dziedzica korony. Nie było nikogo, kto by, nas poprowadził...

— A grabia Trocero z Poitain? — zapytał Conan szorstko.

Servius bezradnie rozłożył ręce.

— Prawdą jest, że namiestnik jego, Prospero, wyruszył w pole z niewielką armią. Wycofując się przed Amalikiem namawiał ludzi, by zaciągali się pod jego sztandar. Skoro jednak mniemano, żeś, Wasza Wysokość, martwy, przyszły ludziom na pamięć dawne wojny i ruchawki, przypominano też sobie, jak Trocero z Poitaioczykami przewalił się kiedyś przez te prowincje nie inaczej niż dzisiaj Amalric — z ogniem i mieczem. Baronowie byli zazdrośni o Trocera. Jacyś ludzie — może Valeriusowi szpiedzy — wrzeszczeli, że grabia Poitain zamierza dla siebie zagarnąć koronę. Wybuchły dawne niesnaski między koteriami. Gdybyśmy mieli jednego tylko męża z królewską krwią w żyłach, bylibyśmy go ukoronowali i ruszyli z nim na Nemedyczyków. Nie mieliśmy żadnego.

Baronowie, którzy podążali za tobą lojalnie, żadną miarą nie podporządkowaliby się jednemu ze swego stanu, każdy bowiem ma się za nie gorszego od sąsiada, każdy się lęka ambicji pozostałych. Ty byłeś sznurem, co trzyma w kupie gałązki chrustu. Gdy sznur przecięto, chrust się rozleciał. Gdybyś miał syna, baronowie by się doń garnęli. A tak nie było ogniska zdolnego skupić ich patriotyzm.

Kupcy i prostactwo, lękając się anarchii i nawrotu czasów feudalnych, gdy każdy z baronów sam sobie stanowił prawo, wrzeszczeli, że byle król lepszy niż żaden, choćby Valerius, który przynajmniej jest z krwi dawnej dynastii. I nie było takiego, co by mu stawił czoła, gdy z powiewającym nad głową szkarłatnym smokiem Nemedii nadjechał na czele swych pancernych hułców i uderzył kopią o wrota Tarantii.

Tak, ludzie rozwarli bramy i uklękli przed nim w kurzawie. Odmówili poitaińskim pomocy w dzierzeniu miast powiadając, że wola, by Valerius nimi władał niż Trocero. I mówili jeszcze — słusznie — że baronowie nie pójda do Trocera, ale zgodzą się na Valeriusa. Oświadczyli, że uległszy Valeriusowi, unikną spustoszeń wojny domowej i gniewu Nemedyczyków. Prospero odjechał na południe z dziesięcioma tysiącami swoich rycerzy, a kilka godzin później do miasta wkroczyli Nemedycyzy. Nie ścigali go. Pozostali, aby dopilnować koronacji Valeriusa.

— Więc dym czarownicy mówił prawdę — mruknął Conan czując, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz. — Amalric koronował Valeriusa?

— A tak, w sali tronowej, i to rękami, na których ledwie zdążyła zakrzepnąć krew.

— I lud zakwitnął pod jego łaskawym władaniem? — zapytał Conan z gniewną ironią.

— Valerius żyje jak cudzoziemski książę w sercu podbitej krainy — odparł z goryczą Servius. — Dwór jego się od Nemedyczków, nemedyjska jest straż przyboczna, nemedyjski garnizon obsadził cytadelę. Zaiste, nadeszła w końcu Godzina Smoka.

Nemedycy dumnie jak księżęta kroczą po ulicach i nie ma dnia, by nie zgwałcili niewiasty lub nie obłuskali kupca. Valerius zaś ukrócić ich albo nie chce, albo nie może. Tak, to nemedyjska marionetka, marny pionek. Mądrzejsi wiedzieli, że tak będzie; inni zaczynają się przekonywać, że tak właśnie jest.

Amalric wyruszył z silną armią, by poskromić graniczne prowincje, gdzie niektórzy z baronów nie chcą uznać Valeriusowej władzy. Ale nie ma między nimi jedności i wzajemna zawiść silniejsza jest niż lęk przed Amalrikiem. Zmiażdży ich jednego po drugim. Pojawwszy to, wiele zamków i miast ogłosiło kapitulację. Te, co stawiały opór, gorzko pożałowały. Nemedycy dają upust swej zapiekłej nienawiści. A szeregi ich rosną, zasilone przez Aquilończyków, którym strach, złoto lub głód każą wstąpić do wrażej armii. To naturalne następstwo.

Conan przytaknął ponuro, wpatrzony w czerwone odbicia płomieni na bogato rzeźbionych w dębie kasetonach ścian.

— Ma tedy Aquilonia króla miast anarchii, której się tak lękała — powiedział w końcu gospodarz. — Valerius nie broni swych poddanych przed swymi sprzymierzeńcami. Całe setki tych, co nie mogli zapłacić nałożonego na się okupu, zostały sprzedane kothyjskim handlarzom niewolników.

Conan gwałtownie poderwał głowę, a morderczy płomień rozjarzył jego błękitne oczy. Zaklął potężnie, zaciskając mocarne pięści w parę żelaznych młotów.

— A tak. Sprzedaje się w niewolę białych mężów i białe niewiasty jak za dawnych czasów. W pałacach Shem i Turanu wieść będą żywot rabów. Valerius jest królem, ale jedność, której ludzie czekali — nawet narzucona mieczem — nie do końca stała się faktem.

Gunderlandia na północy i Poitain na południu jeszcze nie podbite; są również nie poskromione dzielnice na zachodzie, gdzie baronowie z pogranicza mają poparcie bossońskich łuczników. A przecież dalekie te prowincje nie stanowią dla Valeriusa rzeczywistego zagrożenia. Bronić się Gdynie muszą i będą miały szczęście, jeśli zdołają utrzymać niepodległość. Tu zaś władza Valerius ze swoim rycerstwem.

— Niechaj się tym cieszy, póki może — powiedział Conan ponuro. — Dni jego policzone. Lud powstanie, gdy się dowie, że jestem żyw. Odbijemy Tarantię, nim Amalric powróci ze swą armią. Potem przegnamy te psy z całego królestwa.

Servius milczał i głośno rozbrzmiewał w ciszy trzask ognia.

— Cóż tam? — zakrzyknął Conan niecierpliwie. Czemu zwieszasz głowę i gapisz się w płomienie? Wątpisz w me słowa?

Servius unikał wzroku króla.

— Uczynisz, Wasza Wysokość, wszystko, co w mocy śmiertelnika — odparł. — Chadzałem z tobą w bój i wiem, że nie ma człeka, co by ci sprostał.

— Cóż tedy?

Servius owinął się ciasniej swym kaftanem na futrze i zadrzał mimo bliskości ognia.

— Ludzie gadają, że doznałeś klęski za sprawą czarnej magii — powiedział w końcu.

— No i co z tego?

— Cóż może zdziałać śmiertelnik przeciwko magii. Kimże jest ów zamaskowany człek, co — jak powiadają — spotyka się o północy z Valerusem i jego sprzymierzeńcami, który pojawia się i znika tak tajemniczo? Mówi się szeptem, że to wielki mag zmarły przed tysiącami lat, co powrócił z szarych krain śmierci, by obalić króla Aquilonii i przywrócić do władzy dynastię, której dziedzicem jest Valerius.

— I cóż to ma za znaczenie? — zakrzyknął gniewnie Conan. — Umknąłem z nawiedzanych przez demony lochów Belverusu i przed diabelstwem, co mnie ścigało przez góry. Jeśli lud powstanie...

Servius pokręcił głową.

— Najlojalniejsi z twych popleczników w prowincjach wschodnich i centralnych nie żyją, umknęli bądź zostali pojmani. Gunderlandia daleko leży na północy, Poitain daleko na południu. Bossończycy wycofali się na swe zachodnie pogranicze. Przyzwanie i zgromadzenie owych sił potrwa tygodnie, a nim zdoła się tego dokonać, Amalric dopadnie i zniszczy każdy z pojedynczych oddziałów.

— Ale powstanie w prowincjach centralnych przeważy szalę na naszą stronę! — zakrzyknął Conan. — Możemy pochwyć Tarantię i utrzymać ją przeciwko Amalricowi, póki nie dotrą Gunderowie i Poitaincy.

Servius zawahał się i powiedział głosem zniżonym do najcichszego szeptu.

— Gadają, że zginąłeś przeklęty. Mówią, że ów zamaskowany cudzoziemiec rzucił klątwę, by cię uśmiercić, a twą armię rozbić. Największy dzwon obwieścił twą śmierć. Lud wierzy, że jesteś martwy. A centralne prowincje nie powstaną nawet wiedząc, że żyjesz, bo się nie ośmielią. Magia pokonała cię nad Valkią i magia przyniosła o tym wieści, bo już tego samego wieczoru lud wrzeszczał na ulicach. Nemedyjski kapłan sięgnął po czarną magię, by uśmiercić na ulicach Tarantii ludzi wiernych twojej pamięci. Sam to widziałem. Sposobem zupełnie niepojętym zbrojni padali na bruk i marli jak muchy. A ów chudy kapłan roześmiał się i rzekł: „Jam jest ledwie Altaro, akolita Orastesa, który jest jedynie akolitą tego, co nosi zasłonę; nie moja to moc — ta moc tylko przeze mnie przepływa”.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Cóż — powiedział Conan szorstko — czyż nie lepiej zginąć z honorem niż żyć w niesławie? Czy gorsza jest śmierć niż ucisk, niewola i, tak czy owak, zagłada na koniec?

— Rozum umyka, gdy straszą czary — odparł Servius. — A prowincje centralne zbyt się boją, by mogły za tobą stanąć. Okrainne będą walczyć... ale ta sama siła, co poraziła cię nad Valkią, uderzy znowu. Nemedycyzcy dzierżą największe, najbogatsze i najgęściej zaludnione dzielnice Aquilonii i nie da się ich pokonać siłami, które możesz mieć w rozporządzeniu. Daremnie poświęcasz tylko swych lojalnych poddanych. Bolesne, ale prawdziwe, co ci teraz powiem: królem jesteś, Conanie, bez królestwa.

Conan w milczeniu spoglądał w ogień. Rozżarzone polano rozpadło się wśród płomieni nie siejąc wcale powodi iskier. Zupełnie jak jego królestwo.

I znów za kurtyną materialnej ułudy poczuł Conan jakąś posępną obecność, nieubłaganą dłoń bezlitosnego losu. Panika i uczucie człowieka pojmanego w pułapkę walczyła w jego duszy o lepsze z dziką wściekłością nakazującą zabijać i niweczyć.

— Gdzie dygnitarze koronni? — zapytał w końcu.

— Pallantides, ciężko raniony pod Valkią, został wykupiony przez rodzinę i przebywa teraz w swym zamku w Attalus. Szczęście mu dopisze, jeśli kiedykolwiek dosięgnie wierchowca. Kanclerz Publius w przebraniu umknął z królestwa nie wiedząc dokąd. Radę rozwiązano. Część jej członków uwięziono, część skazano na banicję. Wielu z twych lojalnych poddanych uśmiercono. Dzisiejszej nocy na przykład, księżniczka Albiona umrze pod katowskim toporem.

Conan wpatrywał się i wpatrywał w Serviusa z takim gniewem płonącym w błękitnych oczach, że patrycjusz aż się skurczył.

— Dlaczego?

— Bo nie chciała zostać nałożnicą Valeriusa. Skonfiskowano jej dobra, sługi sprzedano w niewolę, a dziś o nocy spadnie w Żelaznej Wieży jej głowa. Przyjm radę, mój królu — bo dla mnie zawsze królem pozostaniesz — i uykaj, póki cię nie wykryto. Nikt w dzisiejszych czasach nie jest bezpieczny. Szpiedzy i donosiciele skradają się wśród nas, o najdrobniejszym uczynku albo też słowie niezadowolenia meldując jako o zdradzie i buncie. Jeśli dasz się rozpoznać swoim poddanym, wnet zostaniesz pojmany i zabity.

Moje konie i wszyscy ludzie, którym mogę zaufać, są do twojej dyspozycji. Przed świtem będziesz daleko od Tarantii i nie opodal granicy. Nie mogąc ci pomóc w odzyskaniu królestwa, mogę przynajmniej podążyć za tobą na wygnanie.

Conan pokręcił głową. Siedział zapatrzony w ogień, wsparłszy podbródek na olbrzymim kułaku. Płomienie odbijały się czerwono od jego zbroi i rozjarzonych na kształt wilczych ślepiów złowróźbnych oczu. Znow, jak po wielekroć w przeszłości, tym jednak razem z większą niż kiedykolwiek dotąd mocą, zdał sobie Servius sprawę z utajonej w królu odmienności. Ogromna sylwetka pod szarą kolczugą była jak na człowieka cywilizowanego zbyt twarda i sprężysta, a w tych rozjarzonych oczach płonął pierwotny ogień barbarzyństwa. I teraz ów utajony w królu barbarzyński pierwiastek dawał o sobie znać silniej, jak gdyby ostateczność odarła kryjącą go cywilizowaną otoczkę. Conan wracał do swego stanu naturalnego. Nie postępował tak, jak byłby w podobnych okolicznościach czynił człowiek cywilizowany, i myśl jego również biegła odmiennymi koleinami. Był nieobliczalny. Ledwie mały krok dzielił króla Aquilonii od przyodzianego w skóry zabójcy z cymmeryjskiego pogórza.

— Pojadę do Poitain, jeśli rzecz będzie możliwa — powiedział Conan w końcu. — Ale pojedę sam. Lecz jedną jeszcze muszę wypełnić powinność jako król Aquilonii.

— Co masz na myśli, Wasza Wysokość? — zapytał Servius, pełen najgorszych przeczuć.

— Dziś w nocy ruszam do Tarantii po Albionę — odparł Conan. — Wygląda, że zawiodłem wszystkich innych wiernych mi poddanych... tedy jeśli wezmą jej głowę, mogą wziąć sobie i moją.

— To szaleństwo! — zakrzyknął Servius powstając chwiejnie i chwytając się za gardło, jakby poczuwszy zaciskający się na nim stryczek.

— Ma wieża tajemnice, o których wiedzą nieliczni — rzekł król. — Tak czy owak, kundlem bym się okazał, pozwalając Albionie umrzeć dlatego, że mi dochowała wierności. Może i jestem królem bez królestwa, ale nie jestem mężem bez honoru.

— To zniszczy nas wszystkich! — wyszeptał Servius.

— Nikogo prócz mnie. Dość już ryzykowałeś. Dzisiejszej nocy ruszę sam. Zdobądź mi jedynie przepaskę na oko, kostur w garść i taki przyodziewek, jaki noszą podróżni.

## 9. „TO KRÓL, CZY JEGO DUCH?!”

Niemало ludzi przekraczało między zachodem słońca a północą hakowe bramy Tarantii — spóźnieni wędrowcy, kupcy z dalekich stron wiodący ciężko obciążone muły, wolni robotnicy z okolicznych gospodarstw i winnic. Teraz, gdy już Valerius ukrzepił swą absolutną władzę w centralnych prowincjach, nie kontrolowano zbyt srogo ludu, co równym strumieniem przepływał przez szerokie wrota. Rozluźniła się dyscyplina. Sprawujący straż nemedycy żołnierze byli podpici i zbyt zajęci wypatrywaniem wiejskich dziewcząt lub bogatych kupców, których można obłuskać, aby zwracać uwagę na robotników czy

zakurzonych podróźnych, a nawet na rosłego wędrowca, którego znoszony płaszcz nie był w stanie ukryć twardych konturów potężnej sylwetki.

Człowiek ów oznaczał się wyniosłą i zaczepną postawą, zbyt dlań naturalną, by mógł ją sobie uświadomić, a tym bardziej odrzucić. Szeroka przepaska zasłaniała jedno oko, skórzany kapelusz, naciśnięty głęboko na czoło, ocieniał oblicze. Z długim i grubym kosturem w muskularnej, ogorzałej dłoni przeszedł niespiesznie pod łukowym sklepień rozjaśnionym płomieniami żagwi, by — zignorowany przez podchmielonych strażników — wkroczyć na szerokie ulice Tarantii.

Były dobrze oświetlone i rojne, a otwarte jeszcze sklepy i kramy prezentowały swe towary. I nieustannie powtarzała się jedna scena: nemedycyso żoźdacy, pojedynczo lub w grupach, kroczyli w tłumie przepychając się z wystudiowaną arogancją. Czmychały przed nimi niewiasty, a mężczyźni z pociemniałymi twarzami i zaciśniętymi pięściami usuwali się na bok. Aquilończycy byli narodem dumnym, najeźdźcy zaś wiedli się z ludu tradycyjnie im wrogięgo.

Kostki zaciśniętej na kosturze dłoni wysokiego wędrowca aż pobiełwały, biorąc jednak przykład z innych, ustąpił drogi pancernym wojakom. Wśród pstrokatęgo tłumy nie zwracał uwagi w swym spłowiłym zakurzonym przyodziewku żadnej uwagi. Aż w którymś momencie, kiedy mijał kram płatnerza, a blask płynący z szeroko rozwartych drzwi dobrze go oświetlił, zdało mu się, iż czuje na sobie uważny wzrok. Obejrzawszy się szybko, dostrzegł, że wpatruje się weń badawczo człowiek w brązowym kubraku wolnego robotnika. Człowiek ów zaraz potem zawrócił w nienaturalnym pośpiechu i zniknął w tasującym się tłumie. Conan skręcił w wąską przecznicę i przyspieszył kroku. Mogła to być czyjaś zwykła ciekawość, nie należało jednak podejmować niepotrzebnego ryzyka.

Posępna Żelazna Wieża wznosiła się w oddaleniu od cytadeli wśród labiryntu wąskich uliczek i stłoczonych obskurnych domów, które zawłaszczając tereny opuszczone przez wybredniejszych mieszkańców dokonały inwazji części miasta zazwyczaj sobie niedostępnej. Wieża była w istocie zamczyskiem, prastarym imponującym spiętrzeniem wielkich głazów i czarnęgo żelaza, pełniącym w czasach dawniejszych i surowszych rolę cytadeli.

W niewielkiej od niej odległości, zagubiona w chaosie opuszczonych po części domów i magazynów, wznosiła się odwieczna wieża strażnicza, tak stara i zapomniana, że już od stu lat nie uwzględniały jej plany miasta. Pierwotne jej przeznaczenie utonęło w niepamięci i nikt z tych, co ją w ogóle dostrzegali, nie zwracał uwagi, iż prastary na pozór zamek, dzięki któremu nie przekształciła się w nocny przytułek żebraków i rzeźmiewiałoęgo rupiecia. Sekretu owej wieży nie poznało nawet pół tuzina ludzi w całym królestwie.

Masywny zaśniedziały zamek nie miał dziurki od klucza, ale przesunąwszy się po nim zręczne palce Conana nacisnęły w kilku miejscach zgrubienia niedostrzegalne dla oka przypadkowego obserwatora. Drzwi cicho otwały się do wewnątrz, król wszedł w zgęstniałą ciemność i zatrzasnął je ze sobą. Gdyby miał światło, zobaczyłby puste cylindryczne pomieszczenie o ścianach z kamiennych złomów.

Poruszając się ze znajomością miejsca, wnet wymacał uchwyty w jednej z tworzącej posadzkę kamiennych płyt. Szybko ją uniósł i bez wahania opuścił się w ziejący pod nią otwór. Wyczuł stopami kamienne schody prowadzące w dół, ku — jak wiedział — wąskiemu korytarzowi zmierzającemu wprost do odległych o trzy ulice lochów Żelaznej Wieży.

Dzwon cytadeli, który odzywał się tylko o północy albo jeśli ogłaszał śmierć króla, niespodziewanie zahuczał. W słabo oświetlonej izbie Żelaznej Wieży rozwarły się drzwi i na korytarz wyszła ludzka postać. Wnętrze wieży było równie odpychające jak jej fasada. Nic nie zdobiło masywnych surowych ścian. Płyty podłogi wyżłobione były głęboko przez wiele pokoleń stąpających niepewnie stóp, a łukowe sklepienie piętrzyło się posępnie w wątym blasku osadzonych w wykuszach żagwi.

Człowiek, który przemierzał ponury korytarz, pasowałał swym wyglądem do otoczenia. Był roslým, potężnie zbudowanym mężczyzną odzianym w obcisły czarny jedwab i obszerny płaszcz. Jego głowę okrywał opadający na ramiona czarny kaptur z dwoma wycięciami na oczy. Dźwigał ciężki topór, z kształtu sądząc ani oręź, ani narzędzie.

W przeciwną stronę korytarza kusztykał, pochylając się pod brzemieniem włóczni i latarni, zgarbiony starzec o zgorzkniałym obliczu.

— Nie jesteś równie akuratyń jak twój poprzednik, mości kacie — burknął. — Północ wybiła, a zamaskowani mężowie podążyli już do celi jaśnie pani. Czekają na ciebie.

— Echa dzwonu wciąż się niosą między wieżami — odparł kat — a jeśli nie jestem równie chybki, by się podrywać i pędzić na każde skinienie Aquilończyków, jak ów pies, co przede mną sprawował urząd, to przecież mogę dowieść, że ramię me nie mniej sprawne. Wracaj do swych powinności, stary dozorczo, a moje mnie pozostaw, które, na Mitrę, rozkoszniejsze są od twoich, gdy bowiem ty wydeptywać będziesz te zimne korytarze, popatrując na przerdzewiałe drzwi ciemnic, ja odrąbię dzisiejszej nocy najpiękniejszą główkę w Tarantii.

Wciąż mamrocząc pod nosem dozorca pokusztykał dale:, kat zaś podjął swą niespieszną wędrowkę. Kilka kroków i minął zakręć korytarza, zauważając z roztargnieniem, że jedne z drzwi po lewej stronie są uchylone.

Gdyby chwilę pomyślał, byłby doszedł do wniosku, że musiały zostać otwarte już po przejściu strażnika, myślenie wszelako nie wiązało się z jego zawodem. Nim pojął, że coś jest nie w porządku, było za późno.

Ostrzegło go ciche tygrysie stąpienie i szelest płaszcza, zanim jednak zdołał się odwrócić, ciężkie ramie owinięte wokół szyi zdusiło jeszcze nie narodzony okrzyk. Przez krótki moment, który mu został dany, zrozumiał w nagłym przypływie paniki, jak wielka jest moc, wobec której niczym była krzepa jego hartownych ścięgien. Wyczuł raczej niż zobaczył wymierzony w siebie sztylet.

— Psie nemedyski! — usłyszał tuż przy uchu nabrzmiałe pasją warknięcie. — Nie odrąbiesz już żadni Aquilońskiej głowy!

I to były ostatnie słowa, jakie usłyszał.

W wilgotnym lochu rozświetlonym tylko pochodnią z której kapąły krople smoły, trzech mężczyzn otaczało młodą kobietę klęczącą na zasłanej słomą kamiennej podłodze. Odziana tylko w skąpe giezło, ze skrępowanymi do tyłu rękami, podniosła do góry oszołomione spojrzenie. Złote włosy połyskliwą falą opadały na jej białe ramiona i nawet niepewne światło pochodni i spowodowana przerażeniem bladość nie mogły ukryć jej niezwyklej piękności. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w oprawców. Ci zaś byli zamaskowani i owinięci w płaszcze, czyn bowiem w rodzaju tego, jaki mieli wykonać, nawet w podbitej krainie wymaga masek. Ona jednak знаła ich wszystkich, choć nikomu, gdy noc dobiegnie końca, ta wiedza nie miała przynieść szwanku.

— Nasz miłosierny suwren daje ci jeszcze jedną szansę, księżniczko — ozwał się najwyższy z trzech w mowie Aquiloriskiej bez śladu obcego akcentu. — Kazał mi rzec, iż jeśli zmiękczysz swą dumną buntowniczą duszę, otworzy jeszcze przed tobą ramiona. Jeśli nie... Wykonał gest w stronę pokrytego poczerwiałymi plamami i głębokimi nacięciami pniaka na środku celi.

Albiona zadrżała i blednąc jeszcze bardziej szarpnęła się do tyłu. Każde włókno jej pełnego wigoru młodego ciała drżało pragnieniem życia. Valerius też jest młody i urodziwy, powtarzała w duszy, wiodąc sama ze sobą walkę o życie, i wielbią go kobiety... Ale nie potrafiła wyrzec słowa, które wybawi jej delikatne ciało przed katowskim pniakiem i krwawym toporem. Nie umiała rzeczy tej pojąć rozumem, wiedząc tylko, że na myśl o Valeriusowych uściskach przechodzi ją dreszcz obrzydzenia silniejszy niż lęk przed śmiercią. Bezradnie pokręciła głową, słuchając impulsu bardziej nieodpartego niż instykt życia.

— Tedy nie ma co więcej gadać! — zakrzyknął niecierpliwie jeden z pozostałych z wyraźnym nemedyskim akcentem. — Gdzie mistrz?

Jak gdyby przyzwana tymi słowy, w rozwartych cicho drzwiach lochu stanęła na kształt mrocznego cienia z zaświatów ogromna postać.

Na widok owej posępnej sylwety Albiona wydała mimo woli zduszony okrzyk, a i pozostali patrzyli przez chwilę w milczeniu, jak gdyby niemy zamaskowany przybysz obudził w nich zabobonny lęk. Przez wycięcie w kapturze ogniecie jarzyły się błękitne oczy, spoczywając po kolei na każdym z trzech mężów i śląc po ich karkach nieprzyjemny chłodny dreszcz.

Potem wysoki Aquiloriczyk brutalnie chwycił dziewczynę i pociągnął ją w stronę pniaka. Wykrzyknęła i poczęła się gorączkowo wyrwać z jego uścisku, bezlitośnie jednak powalił ją na kolana i docisnął złotowłosą głowę do okrwawionego pnia.

— Czemu zwlekasz, kacie? — wrzasnął gniewnie. — Czyń swą powinność!

Odpowiedział mu potężny wybuch nieopisanie złowieszczonego śmiechu. Wszyscy obecni w ciemnicy — nawet klęcząca z nienaturalnie wykręconą głową dziewczyna — zamarli na miejscach, wpatrzeni w zakapturzoną postać.

— Co ma znaczyć ta niewczesna uciecha, psie? — nieswoim głosem zapytał Aquilończyk.

Człowiek w czerni zdarł z głowy kaptur i cisnął nim o ziemię; potem, wsparłszy się plecami o zamknięte drzwi, uniósł w górę katowski topór.

— Poznajecie mnie, kundle? — zagrzmiął. — Poznajecie mnie?

Ciszę, której nie zakłócały nawet oddechy, rozdarł nagle okrzyk Albiony, która wyrwała się z rozluźnionego uścisku oprawcy:

— Król! Och, Mitro, król!

Trzej mężowie stali jak zamurowani, aż wreszcie Aquilończyk otrząsnął się z oszołomienia.

— Conan! — wydusił z siebie tonem człowieka nie ufającego własnym zmysłom. — Król czy jego duch? Cóż za szatańska to sprawa?

— Szatańska sprawa, żeby szatanom sprostać! — odparł kpiąco Conan. Wargi mu się śmiały, ale w oczach płonęły ognie piekieł. — Nuże, do dzieła, cni panowie. Wy macie swe miecze, ja ów tasak. Ba! Mniemam, że w sam raz taki rzeźniczy topór do mojej roboty, prześwieitni rycerze!

— W niego! — ryknął Aquilończyk, dobywając miecza. — To Conan... i śmierć nam albo jemu!

Jak ludzie wyrwani z transu, Nemedycjacy również wyszarpnęli miecze z pochew i ruszyli na króla.

Nie do boju ma służyć katowski topór, Conan jednak władał ciężkim nieporęcznym orężem równie lekko jak siekierą, a dzięki zwinności nóg i nieustannym zmianom pozycji paraliżował zamysł obkoczenia go jednocześnie z trzech stron.



## Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

Wyłapał obuchem cios pierwszego z napastników i nim ów zdołał odstąpić albo zasłonić się mieczem, roztrzaskał mu żelazcem pierś. Drugi Nemedyczyk ciął wściekle od ucha, ale chybił; nim zdołał odzyskać równowagę, topór rozszarpał mu czaszkę. Chwilę później Aquilończyk został zapędzony do kąta celi, gdzie rozpaczliwie bronił się przed nawałnicą ciosów, nie mając nawet okazji wrzasnąć o pomoc.

Raptem lewica Conana wystrzeliła w przód i zerwawszy maskę, odsłoniła pobladłe oblicze.

— Psie! — zgrzytnął zębami król. — Sądziłem, że cię znam. Zdrajco! Przeklęty zaprzańcze! Nawet ta podła stal zbyt jest szlachetna dla twego plugawego łba! Zdychaj, jak zdychają złodzieje!

Topór zakreślił straszliwy łuk i Aquilończyk z wrzaskiem opadł na kolana, chwytając się za tryskający krwią kikut odrąbanej u łokcia prawej ręki. Conan nie powstrzymał oręża i ów na koniec pograżył się w boku przeciwnika czyniąc ranę, z której jęły wypływać wnętrzności.

— Leż tu i wykrwaw się na śmierć — mruknął Conan, z niesmakiem odrzucając topór. — Pójdź, księżniczko!

Pochylił się, przeciął więzy na dłoniach Albiony i uniósłszy ją jak dziecko w ramionach, wyszedł z lochu. Łkała histerycznie, trzymając jego żylastą szyję w spazmatycznym uścisku.

— Spokojnie — mruknął. — Jeszcześmy z tego nie wyszli. Jeśli dotrzemy do lochu, w którym są tajemne drzwi wiodące do tunelu... niech to diabli! Posłyszeli hałas nawet przez te mury!

W głębi korytarza rozległ się szcęk broni, a hakowe sklepienia odbiły echem odgłos kroków i krzyków. Przykusztowała pospiesznie zgarbiona postać, a światło latarni dzierzonyj w uniesionej wysoko dłoni padło wprost na Conana i dziewczynę. Cymmeryjczyk skoczył z przekleństwem na ustach, ale stary dozorca porzuciwszy latarnię i pikę umknął jak okulaiony zając, wrzeszcząc ochryple ze wszystkich sił. Odpowiedziały mu głębsze okrzyki.

Conan szybko zawrócił i pognał w przeciwną stronę. Był odcięty od lochu z sekretnym przejściem, którym dostał się do Wieży i którym miał nadzieję ją opuścić. Ale dobrze znał posępny gmach. Więziono go tutaj, zanim został królem.

Skręcił w prostopady pasaż, by znaleźć się w szerszym i w tej chwili opustoszałym korytarzu, biegnącym równoległe do tego, którym dotąd szli. Po kilku zaledwie krokach skręcił ponownie i innym bocznym przejściem wrócił do pierwszego korytarza, tym jednak razem w punkcie strategicznym. W odległości paru kroków tkwiły ciężkie zaryglowane wrota, których strzegł brodaty Nemedyczyk w półpancerzu i hełmie. Oddalił się nieco od stanowiska, spoglądając w stronę narastającego zgiełku i chaotycznie migającego światła latarni, i był do Conana zwrócony tyłem. Cymmeryjczyk nie wahał się. Opuściwszy dziewczynę na ziemię, cicho i szybko pobiegł z uniesionym mieczem ku strażnikowi. Ów odwrócił się w ostatniej chwili, wrzasnął ze strachu i zaskoczenia, a potem uniósł pikę; nim jednak zdołał uczynić użytek z nieporęcznej broni, Conan trzasnął go mieczem w łeb z siłą zdolną powalić wołu. Hełm i czerep poddały się w jednej chwili, strażnik zaś upadł na ziemię.

W okamgnieniu Conan odsunął potężną zasuwę blokującą drzwi — nie starczyłoby na to sił jednego zwykłego człowieka — i przynaglił Albionę, która podbiegła doń, chwiejnie. Chwył ją bezceremonialnie jedną ręką, wypadł na zewnątrz i pograżyli się w okrywającym świat mroku.

Znajdowali się w wąskiej i ciemnej jak studnia alei, oflankowanej z jednej strony murem wieży, z drugiej zaś kamiennymi ścianami stojących w zwartym szeregu domów. Conan, spiesząc skoś ciemności tak szybko, jak było można, obmacywał je w poszukiwaniu okien albo drzwi, żadnych jednak nie znalazł.

Za ich plecami rozwarły się ze szcękaniem wrota Wieży i wypadli z nich żołnierze, a światło żagwi krzeszło lśnienia z pancerzy i nagich mieczów. Rozglądali się dokoła i ryczeli wściekle, niezdolni przeniknąć wzrokiem ciemności, które; ich pochodnie rozświetlały na kilka ledwie stóp w każdym kierunku. A potem pognali alejką wybierając kierunek przeciwny do tego, jakim podążali Conan i Albiona.

— Zaraz pojmy swą pomyłkę — mruknął król przyspieszając kroku. — Czy znajdziemy choć szczelinę w tej przeklętej ścianie... zaraza! Straż nocna!

W miejscu, gdzie aleja uchodziła w wąską ulicę, dostrzegli przed sobą wątły poblask i obwiedzione nim połyskujące stałą postaci.

— Kto tam idzie? — rozległ się okrzyk, a Conan zgrzytnął zębami słysząc nienawistny nemedyjski akcent.

— Trzymaj się za mną — nakazał dziewczynie. — Musimy wyrąbać sobie drogę, nim strażnicy więzienni zamkną nas z drugiej strony.

I z mieczem w dłoni runął wprost na przybliżające się postaci. Sprzymierzeńcem było mu zaskoczenie. Widział wrogów obrysowanych daleką poświatą, gdy sam — wyłaniając się z czarnych głębin alei — był niewidoczny dla nich. Wpadł pomiędzy strażników, zanim zdołali się połączyć, rażąc z milczącym zapamiętaniem ranionego lwa.

Jedyną szansę dawało mu przebicie się przez nieprzyjaciół, nim ci zewrą swe szyki. Było ich z pół tuzina, hartownych weteranów pogranicznych wojen w pełnych zbrojach, w których instynkt walki łatwo mógł przemóc początkowe zmieszanie. Trzech padło, nim pozostali uświadomili sobie, że mają do czynienia z jednym tylko przeciwnikiem, ale i tak zareagowali błyskawicznie. Szcęk stali spotężniał ogłuszająco, gdy miecz Conana uderzał w hełmy i pancerze. Widział lepiej niż oni, a w marnym świetle jego poruszająca się błyskawicowo sylwetka stanowiła niepewny cel. Opadające miecze przecinały puste powietrze albo

ześlizgiwały się po jego głowni. Gdy jednak atakował sam, czynił to z siłą i pewnością huraganu.

Ale z tyłu rozbrzmiewały już wrzaski nadbiegających aleją strażników więziennych, a z przodu wciąż bronił przejścia najeżony ostrzami stalowy mur. Wiedząc, że lada chwila strażnicy spadną mu na kark, Conan z desperacją podwoił moc i szybkość ciosów — walił niczym kowal młotem w kowadło. I nagle uświadomił sobie, że przyszła odsiecz. Dosłownie znikąd zmaterializował się za plecami strażników tuzin czarnych postaci i dał się słyszeć odgłos morderczych ciosów. Lśniła w mroku stal i rozbrzmiewał wrzask ludzi śmiertelnie rażonych w plecy. W okamgnieniu aleję zaległy wijące się w agonii sylwetki. Ku Conanowi skoczyła spowita płaszczem postać, król zaś uniósł swój miecz, widząc w jej dłoni połysk żelaza. Druga wszelako wyciągnięta ku Cymmeryjczykowi dłoń była pusta. Rozległ się nagłący syk:

— Tędy, Wasza Wysokość! Szybko!

Zdumiony Conan wymamrotał przekleństwo i pochwywszy Albionę potężnym ramieniem, podążył za nieznanym sprzymierzeńcem. Nie był skłonny do wahań w obliczu trzydziestu coraz bliższych strażników więziennych:

Otoczony tajemniczymi postaciami pędził alejką niosąc księżniczkę jak dziecko. O swych wybawicielach nie potrafiłby powiedzieć nic ponad to, że mieli na sobie płaszcze i kaptury. Wątpliwość i podejrzenia przemknęły wprawdzie przez jego duszę, ale mając świadomość, że w każdym razie powalili jego wrogów, uznał za rzecz najrozsądniejszą postępowanie w ślad za nimi.

Jak gdyby wyczuwając jego obawy, przywódca zakapturzonych dotknął lekko ramienia Conana:

— Nie lękaj się, królu, jesteście moimi wiernymi poddanymi.

Nie był to głos znajomy; akcent mówił o pochodzeniu z centralnych prowincji Aquilonii.

Z tyłu doniósł się wrzask strażników, którzy natknąwszy się na jatki w bloku alei pędzili mściwie za uciekinierami, widząc ich sylwetki w świetle płynącym z odległej ulicy. Ale zakapturzeni mężowie skręcili nagle w stronę ślepej na pozór ściany i Conan dostrzegł, że zieją w niej drzwi.

Wymamrotał przekleństwo. W dawniejszych czasach przemierzał tę drogę w blasku dnia i nigdy drzwi nie zauważył. Przeszli próg i drzwi zatrzasnęły się ze szczękiem rygli. Nie był to odgłos poprawiający samopoczucie, ale przewodnicy zachęcali Conana do pośpiechu i wiedli pewnie, trzymając go za oba łokcie. Zdawało się, że pokonują tunel. Król czuł, jak smukłe ciało Albiony drży w jego ramionach. Potem ukazał się ledwie widoczny otwór — jaśniejsza plama na czarnym tle — i wyszedłszy przezeń wciąż w zupełnym milczeniu pograżyli się w przyprowadzający o zawroty głowy labirynt mrocznych podwórek, okrytych cieniem przełazów i krętych korytarzy. Na koniec wkroczyli do jasno rozświetlonej komnaty, której położenia Conan nie potrafiłby się domyślić, gdyż pokrętna droga zmyliła nawet jego pierwotne poczucie kierunków.

## 10. MONETA Z ACHERONU

Nie wszyscy z przewodników weszli do sali. Gdy zamknęły się drzwi, Conan zobaczył przed sobą tylko jednego człowieka — smukłą zakapturzoną postać w płaszczu. Mąż ów zaraz kaptur odrzucił, ukazując blade owal twarzy o spokojnych, subtelnie rzeźbionych rysach.

Król postawił Albionę na nogach, lecz ona wciąż się doń tuliła patrząc z niepokojem wokół siebie. Komnata — skąpana w łagodnym blasku lamp z brązu — była ogromna: część marmurowych ścian kryły czarne aksamitne kotary, a grube bogate dywany wyścielały mozaikową posadzkę.

Conan instynktownie położył dłoń na rękojeści miecza. Krwawą dłoń. Krew zalepiła również wlot pochwy, wetknął był bowiem do niej nie oczyszczony z posoki oręż.

— Gdzie jesteście? — zapytał surowo.

Nieznamy odpowiedział niskim pokornym pokłonem, w którym podejrzliwy król nie potrafił dostrzec śladu ironii.

— W świątyni Asury, Wasza Wysokość.

Albiona pisnęła i mocniej przywarła do Conana, wpatrzona lękliwie w czarne łukowe drzwi, jakby oczekuj wkroczenia jakiejś przerażającej, mrocznej bestii.

— Nie lękaj się, pani — rzekł przewodnik. — Wbrew wulgarnym przesądom nic ci tu nie grozi. Jeśli monarcha mój był wystarczająco przekonany o niewinności naszej religii, by obronić nas przed prześladowaniami profanów, tedy z pewnością i jedna z jego poddanych nie powinna żywić uprzedzeń.

— Kim jesteś? — spytał Conan.

— Jam jest Hadrathus, kapłan Asury. Jeden z nas, wyznawców rozpoznał cię, gdyś przybył do miasta, i przyniósł mi wieść.

Conan zmełł przekleństwo.

— Nie obawiaj się, że również inni odkryli twą prawdziwą tożsamość — upewniał go Hadrathus. — Twe przebranie mogło zwieść wszystkich prócz wyznawcy Asury, nasz bowiem kult uczy szukać prawdy pod powłoką ułudy. Śledzono cię aż do wieży strażniczej i kilku z mych ludzi weszło nawet do tunelu, by dać ci pomoc, gdybyś wracał tą samą drogą. Inni, a ja wśród nich, otoczyli wieżę. I teraz, królu Conanie, przy tobie prawo rozkazu. Tu, w świątyni Asury, wciąż jesteś królem.

— Czemu mielibyście ryzykować dla mnie życiem? — zapytał król.

— Przyjacielem nam byłeś, póki zasiadałeś na tronie— odparł Hadrathus. — Chroniłeś nas, gdy kapłani Mitry usiłowali przegnać nas z kraju.

Conan obejrzał się z ciekawością. Nigdy dotąd nie był w świątyni Asury i nie wiedział nawet z pewnością, czy w jest Tarantii taka świątynia. Kapłani owej religii mieli zwyczaj ukrywania swych przybytków w sposób godny podziwu. Mitraizm był wśród ludów hyboryjskich wiarą dominującą, ale kult Asury trwał mimo oficjalnego zakazu i powszechnej niechęci. Opowiadano Conanowi mroczne historie o ukrytych świątyniach, w których gęsty dym unosił się nieustannie z czarnych ołtarzy i gdzie porwanych ludzi składano w ofierze przed wielkim, zwiniętym w pierścienie wężem kołyszącym w upiornym mroku swym przerażającym łbem.

Prześladowania zmusiły wyznawców Asury do ukrywania z wielkim sprytem przybytków wiary i otaczania liturgii mgłą tajemnicy; tajemniczość z kolei rodziła jeszcze potworniejsze zabobony i straszliwsze opowieści.

Ale w Conanie tkwił tolerancyjny duch barbarzyńcy; odmówił prześladowania wyznawców Asury i nie pozwalał na nie innym, skoro jedynymi dowodami, jakie przedstawiano, były nie dające się udowodnić pogłoski i oskarżenia.

„Jeśli uprawiają czarną magię,” mawiał, „czemu pozwalają, byście ich dręczyli? Jeśli jej zaś nie uprawiają, nie masz w nich zła. Crom i szatani! Niechaj ludzie wyznają takich bogów, na jakich mają ochotę!”

Po pełnym szacunku zapraszającym gości Hadrathusa Conan usadowił się na krześle z kości słoniowej zachęcając Albionę, by uczyniła to samo, dziewczyna jednak wołała usiąść na złotym stołeczku u jego stóp, jakby bliskość króla miała jej zapewnić bezpieczeństwo. Podobnie jak większość ortodoksyjnych mitraistów, syconych od dzieciństwa obłądnymi opowieściami o ofiarach z ludzi i błakających się po mrocznych świątyniach człekopodobnych bożkach, żywiła instynktowny lęk przed wyznawcami Asury i ich religią.

Hadrathus stał przed nimi pochylając obnażoną głowę.

— Jakie są twe życzenia, Wasza Wysokość?

— Najpierw strawa — odparł król, a kapłan srebrną pałeczką uderzył w złoty gong.

Ledwie przebrzmiały łagodne tony, a z przysłoniętych kurtyną drzwi wyłoniły się cztery zakapturzone postaci niosące srebrny stolik na czterech nóżkach pełen dymiącymi dań i kryształowych naczyń. Z niskim pokłonem ustawili go przed Conanem, król zaś wytarł dłonie w odzież i mlasnął wargami z nieskrywanym zadowoleniem.

— Strzeż się, Wasza Wysokość! — szepnęła Albiona. — Oni jadają ludzkie mięso!

— Moje królestwo postawię w zakład, że nic to innego, jak uczciwa pieczeń wołowa — odparł Conan. — Nuże, do dzieła, dziewczeczko! Głodna być musisz po więziennym wickie.

Wysłuchawszy takiej porady, a nadto mając przed oczyma przykład dany przez człowieka, którego słowo stanowiło dla niej najwyższe prawo, księżniczka dała się namówić, jedząc z apetytem, lecz wykwintnie, podczas gdy pan jej i władca szarpał sztuki mięsa i pochłaniał wino z taką werwą, jakby nie miał nic w ustach od paru dni.

— Wam, kapłanom, nie brak przemyślności, Hadrathusie — powiedział z ustami pełnymi mięsowi i wielką wołową kością w garści — tedy rad skorzystam z waszych usług w mej kompanii odzyskiwania królestwa.

Hadrathus powoli pokręcił głową, a Conan walnął gnatem w stół w porywie gniewnego zniecierpliwienia.

— Crom i szatani! Co się dzieje z mężami Aquilonii. Najpierw Servius... a teraz ty! Czy potraficie tylko kiwać swymi durnymi łbami, gdy mówię o przepędzeniu tych psów?

Hadrathus westchnął i odrzekł niespiesznie:

— Panie, z bólem to mówię, rad rzec coś innego. Wolność Aquilonii dobiegła kresu. Ba, wolność świata całego może kresu dobiega! W historii świata epoka następuje po epoce i teraz — jak w czasach pradawnych — wkraczamy w wiek niewoli i grozy.

— Co masz na myśli? — zapytał zbity z tropu król.

Hadrathus opadł na krzesło i wsparłszy łokcie na kolanach zapatrzył się w podłogę.

— Sprzymierzili się przeciwko tobie nie tylko buntowniczy panowie Aquilonii z nemedyjskim żołdactwem — powiedział. — To czary, obmierzła czarna magia z posępnego przedświtu dziejów. Okropna postać powstała z mroków Przeszłości i nikt jej sprostać nie zdoła.

— Co masz na myśli? — powtórzył Conan.

— Mówię o Xaltotunie z Acheronu, który umarł trzy tysiące lat temu, a przecież stąpa dziś po ziemi.

Conan milczał, lecz w jego duszy pojawił się wizerunek — spokojna, nieludzko piękna twarz. I znów nawiedziło go nieprzyjemne uczucie, że twarz tę już widział, sam zaś dźwięk słowa „Acheron” poruszył strunę niejasnych wspomnień.

— Acheron — powtórzył. — Xaltotun z Acheronu... czyś szalony, człeczko? Acheron to legenda od tylu już stuleci, ilu zliczyć nie zdołam. Często dumalem, czy kiedykolwiek istniał.

— Był czarną rzeczywistością — odparł Hadrathus. — Imperium magów praktykujących występki, o których zginęła pamięć. I został w końcu obalony przez hyboryjskie plemiona z zachodu. Czarnoksiężnicy Acheronu uprawiali plugawą nekromancję, taumaturgię najbardziej złowieszczonego rodzaju i odrażającą magię, ucząc się kunsztów wprost od demonów. I ze wszystkich czarnoksiężników tego przeklętego królestwa żaden nie dorównywał wielkością Xaltotunowi z Pythonu.

— Jakim tedy sposobem zdołano go w ogóle pokonać? — zapytał Conan sceptycznie.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Wykorzystując pewne cechy źródła kosmicznej mocy, które mu skradziono, mimo iż strzegł go zazdrośnie. Owo źródło teraz doń powróciło i jest niepokonany.

Albiona, otulając się czarnym katowskim płaszczem, spoglądała to na króla, to na kapłana, nie pojmując, o czym mówią. Conan gniewnie kręcił głową.

— Kpisz sobie ze mnie — warknął. — Skoro Xaltotun nie żyje od trzech tysięcy lat, jak może być owym człowiekiem? To jakiś łotrzyk, co zawłaszczył imię tamtego.

Hadrathus pochylił się nad stolikiem z kości słoniowej i otwartą stojące na nim niewielkie złote pudro wyjął coś połyskującego matowo w łagodnym świetle — dużą złotą monetę antycznego kroju.

— Widziałeś Xaltotuna bez maski? Tedy przyjrzyj się temu. To moneta wybita w pradawnym Acheronie pięćset lat przed jego upadkiem. Tak przesycone czarami było mroczne imperium, że nawet ta moneta ma przymioty magiczne.

Conan ujął pieniądz i popatrzył nań chmurnie. Nie było wątpliwości, że jest ogromnie stary. W latach łupieżczego życia Conan trzymał w dłoni wiele monet i nabył znaczną o nich wiedzy praktycznej. Krawędzie były wygładzone, inskrypcje niemal zatarte. Ale wizerunek wytłoczony na jednej stronie wciąż miał czystą wyrazistość. Conan z sykiem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. W komnacie było dość ciepło, a przecież poczuł mrowienie pod czupryną i gęsią skórę na ciele. Wizerunek przedstawiał nieprzeniknione oblicze brodatego mężczyzny, spokojne i nieludzko piękne.

— Na Crom! To on! — mruknął. Rozumiał teraz, skąd brało się wrażenie, iż zna tę twarz. Dawno te w odległej krainie, trzymał w dłoni taką samą monetę.

Ale wzruszył ramionami i burknął:

— Przypadkowe podobieństwo... a może, mając dość sprytu, by przybrać imię zapomnianego maga, upodobił doń również swoją twarz.

Ale mówił bez przekonania. Widok tej monety wstrząsnął fundamentami jego świata. Czuł, że prawda i równowaga wałą się w otchłań iluzji i magii. Czarnoksiężnik — zgoda, ale tu tkwił diabolizm nad pojęcie zdrowego umysłu.

— Nie możemy wątpić, że to w istocie Xaltotun z Pythonu — rzekł Hadrathus. — On był tym, który niewoląc czarami demony żywiołu Ziemi wstrząsnął skałami nad Valkią... i on był tym, który o przedświcie posłał do twego namiotu bestię ciemności.

Conan spojrział nań spode łba.

— A ty skąd wiesz?

— Wyznawcy Asury mają tajemne sposoby zdobywania wieści. Dajmy im pokój. Ale czy pojmujesz teraz daremność poświęcania swych poddanych w beznadziejnej próbie odzyskania korony?

Conan wsparł brodę na kułaku i zapatrzył się w nicość. Albiona obserwowała go z niepokojem, próbując w oszołomieniu rozeznaczyć się w labiryncie dręczących go problemów.

— Więc nie masz w świecie czarnoksiężnika, co byłby w stanie czynić magię zdolną pokonać magię Xaltotuna? — zapytał w końcu.

Hadrathus pokręcił głową.

— Nie, w przeciwnym bowiem razie my, wyznawcy Asury, bylibyśmy o nim wiedzieli. Gadają ludzie, że wiara nasza jest reliktem prastarego kultu węża ze Stygii. To łgarstwo. Przodkowie nasi przybyli z Vendhyi za Morzem Vilayet i błękitnymi Górami Himeliańskimi. Jesteśmy synami Wschodu, nie zaś południa, i jako tacy wiemy o wszystkich mędracach tamtych stron, którzy więksi są od mędrców zachodu. I każdy z nich będzie tylko jak źdźbło na wietrze przeciwko czarnej potędze Xaltotuna.

— Ale raz go już pokonano — upierał się Conan.

— A, tak; obrócono przeciwko niemu siłę kosmiczną. Ale teraz jej źródło na powrót spoczęło w jego dłoniach i dobrze strzec będzie, by mu znowu nie zostało skradzione.

— A cóż to za przeklęte źródło? — spytał Conan z irytacją.

— Zwie się Sercem Arymana. Gdy padł Acheron, barbarzyński szaman, co je ukradł i zwrócił przeciwko Xaltotunowi, ukrył Serce w nawiedzanej pieczarze i wznosił nad nią niewielką świątynię. Po trzykroć od owych czasów świątynię przebudowywano, za każdym razem czyniąc ją większą i zdobniejszą niż uprzednio, zawsze jednak w tym samym miejscu, choć zapomniano powodu. Pamięć ukrytego symbolu szczęła ze wspomnień zwykłego ludu i zachowała się tylko w zapiskach kapłanów i w ezoterycznych tomach. Skąd przybył — nie wie nikt. Jedni powiadają, że to prawdziwe serce boga, inni — że gwiazda, co spadła z niebios dawno temu.

Gdy magia kapłanów Mityr zawiodła przeciwko magii Xaltotunowego akolity Altaro, ci przypomnieli sobie prastarą legendę o Sercu i wówczas arcykapłan wspólnie z jednym towarzyszem zstąpił do mrocznej i przeraźliwej krypty pod świątynią, nie odwiedzanej przez nikogo od trzech tysięcy lat. W starożytnych oprawnych żelazem woluminach mówiących tajemnymi symbolami o Sercu, pisze się również o demonie z mroków pozostawionym na straży przez pradawnego szamana.

Głęboko pod ziemią, w kwadratowej sali, z której łukowe wrota wiodą w niezgłębione ciemności, arcykapłan z akolitą znaleźli czarny kamienny ołtarz emanujący mętną niewytłumaczalną poświatą.

Na ołtarzu owym spoczywało osobliwe naczynie o kształcie dwudzielnej muszli, przywarte do kamienia

kształt pąkli. Było jednak otwarte i puste. Serce Arymana zniknęło. Gdy patrzyli ze zgrozą, spadł na nich strażnik krypty i śmiertelnie zmasakrował arcykapłana. Lecz akolita zdołał obronić się przed bestią — bezdusznym i bezmyślnym włóczęgą otchłani, sprowadzonym dawno temu dla strzeżenia Serca — i umknął długimi wąskimi schodami, unosząc konającego kapłana. Ów, zanim zmarł, wyszeptał wieści swoim, nakazał im posłuszeństwo wobec potęgi, której nie zdołają pokonać, i odebrał przysięgę milczenia. Ale kapłani Mitry mówili o tym między sobą i tak rzecz dotarła do naszych uszu.

— I Xaltotun czerpie jakoby siłę z tego symbolu? — pytał Conan, wciąż nastawiony sceptycznie.

— Nie. Siła jego płynie z mrocznych otchłani. Zaś Serce Arymana przybyło z jakiegoś odległego uniwersum płomiennego blasku i w rękach wtajemniczonego potężniejsze jest niż moc ciemności. Jest jak miecz, który może go porazić, nie mogąc być przezeń użytym. Przywraca życie i życie potrafi unicestwić. Xaltotun nie po to zawłaszczzył Serce, by użyć go przeciwko swym wrogom, lecz by nie dopuścić, aby zostało użyte przeciwko niemu.

— Złote naczynie w kształcie muszli spoczywające w głębokiej pieczarze na czarnym ołtarzu — mruczał Conan, marszcząc czoło w próbie pojmowania ulotnego obrazu. — Przypomina mi to coś, co już słyszałem lub widziałem. Ale jak, w imię Cromy, wygląda to szacowne Serce?

— Ma postać ogromnego klejnotu w rodzaju rubinu, pulsuje jednak oślepiającym blaskiem, jakim nie płonie żaden rubin. Jarzy się jak żywy ogień...

Ale Conan porwał się raptownie z miejsca i piorunowo trzasnął prawym kułakiem w lewą dłoń.

— Na Crom! Jakimże byłem głupcem! Serce Arymana! Serce mego królestwa! „Znajdź serce swego królestwa”, mówiła Zelata. Na Ymira, to ten klejnot widziałem w zielonym dymie, to ten klejnot skradł Tarascus śpiącemu lotosowym snem Xaltotunowi!

Hadrathus również poderwał się na nogi, a spokój opadł zeń jak płaszcz.

— Co mówisz? Skradziono Xaltotunowi Serce?

— A tak! — zagrział Conan. — Lękając się Xaltotuna, Tarascus pragnął osłabić jego potęgę, która, jak mniemał, drzemie w Sercu. Może nawet sądził, że czarnoksiężnik umrze, gdy utraci kamień. Na Crom... uhhh!

Z wściekłym grymasem rozczarowania opuścił pięść.

— Zapomniałem. Tarascus dał je złodziejowi, nakazując wyrzucić do morza. W tej chwili opryszek musi już docierać do Kordavy. Nim go zdołam dogonić, wstąpi na pokład i powierzy Serce morskim głębinom.

— Morze go nie zatrzyma! — zakrzyknął Hadrathus drżąc z podniecenia. — Sam Xaltotun byłby już dawno cisnął Serce w ocean, gdyby nie wiedział, że pierwszy sztorm wyrzuci je na brzeg. Ale na jakiej nieznannej plaży mogłoby osiąść?

— Cóż — Conan odzyskiwał powoli swą sprężystą pewność siebie — nie jest powiedziane, że złodziej je wyrzuci. Jak znam złodziei — a powinienem ich znać nielicho, jako że sam we wczesnej młodości uprawiałem w Zamorze ten zawód — nie wyrzuci go wcale. Sprzeda raczej jakiemuś bogatemu kupcowi. Na Crom! — W rosnącym podnieceniu jął przemierzać komnatę w tę i z powrotem. — Warte jest, by go poszukać. Nakazała mi Zelata odnaleźć serce mego królestwa... i wszystko, co pokazywała, prawdą było. Może tak być, że moc zdolna pokonać Xaltotuna czai się w tej purpurowej błyskotce?

— Tak! Głowę daję! — zakrzyknął Hadrathus, którego twarz pojaśniała zapałem, a dłonie zacisnęły — się w pięści. — Mając je w rękę możemy się z Xaltotunem spróbować! Przysięgam! Jeśli zdołamy je posiąść, mamy wielką szansę odzyskać twą koronę i przegnać wrogów z naszego domu. Nie mieczów Nemedii lęka się Aquilonia, lecz czarnych kunsztów Xaltotuna.

Conan spoglądał nań przez chwilę i widać było, że zapał kapłana wywarł na nim wrażenie.

— To jak wyprawa z sennego koszmaru — powiedział na koniec. — A przecież twe słowa powtarzają myśl Zelaty, która we wszystkim innym miała rację. Będę szukać tego klejnotu.

— W nim leży przeznaczenie Aquilonii — rzekł Hadrathus z przekonaniem. — Poślę z tobą ludzi...

— O nie! — zakrzyknął król niecierpliwie, nie mając ochoty, by zawadzali mu w przedsięwzięciu kapłani, obojętne jak biegli w sztukach ezoterycznych. — To zadanie dla wojownika. Ruszę sam. Najpierw do Poitain, gdzie zostawię Albionę u Trocera. Potem do Kordavy i na morze, jeśli rzecz okaże się konieczna. Może być i tak, że nawet zamierzając wypełnić Tarascusowy rozkaz, złodziej będzie miał kłopoty ze znalezieniem o tej porze roku wyruszającego w rejs statku.

— A jeśli odnajdziesz Serce — zakrzyknął Hadrathus — przygotuję ci grunt dla podboju. Sekretnymi kanałami prześlę wieść, że żyjesz i że powracasz z magią mocniejszą niż Xaltotunowa. Przygotuję ludzi, by powstał w chwili twego powrotu. I powstaną, jeśli zyskają pewność, że będą chronieni przed mrocznymi kunsztami Xaltotuna. I pomogę ci w twej podróży.

Powstał i uderzył w gong.

— Tajemny tunel wiedzie z podziemi tej świątyni do miejsca położonego za murami miasta. Wyruszysz do Poitain pielgrzymią łodzią. Nikt nie ośmieli się czynić ci wstrętów.

— Jak sobie życzysz. — Mając wyraźnie wytknięty cel Conan pałał niecierpliwością i energią. — Byle to było szybko.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

Tymczasem wydarzenia w mieście piętrzyły się w tempie niemałym. Gонец wpadł bez tchu do pałacu, gdzie Valerius zabawiał się z tancerkami, i rzucając się na kolana wydyszał chaotyczną opowieść o krwawej ucieczce z więzienia i zniknięciu pięknej branki. Przyniósł również wiadomość, że grabia Thespius, któremu powierzono nadzór nad egzekucją Albiony, jest umierający i błaga przed śmiercią o słowo z Valeriusiem.

Pospiesznie okrywszy się płaszczem Valerius podążył za posłańcem przez labirynt komnat i podwórców, by dotrzeć do izby, w której leżał Thespius. Nie było dwóch zdań, że grabia kona: każdy konwulsyjny oddech okrywał jego usta bąbelkami krwawej piany. Obandażowano kikut odrąbanego ramienia, aby powstrzymać upływ krwi, ale i tak rana w boku była śmiertelna.

Zostawszy w komnacie sam na sam z umierającym, Valerius cicho zaklął.

— Na Mitrę! Sądziłem, że tylko jeden żył człek zdolny zadać taki cios!

— Valeriusie! — wydusił konający. — On żyje! Conan żyje!

— Co mówisz!? — zakrzyknął Valerius.

— Klnę się na Mitrę! — wykrztusił Thespius, dławiąc się napływającą do ust krwią. — To on wprowadził Albionę! Nie jest martwy... nie jest zjawą, co przybyła z piekieł, aby nas przerażać. Jest z krwi i kości, straszliwszy niż dawniej. Aleja pod wieżą pełna porzniętych. Strzeż się, Valeriusie... on wrócił... by nas wszystkich ubić...

Mocny dreszcz wstrząsnął okrwawionym ciałem i grabia Thespius skonał.

Valerius spojrział chmurnie na zwłoki, omiotł wzrokiem komnatę i podbiegłszy szybko do drzwi rozwarł je niespodziewanie. Posłaniec wespół z grupką nemedyjskich strażników stał kilka kroków w głębi korytarza. Valerius mruknął pod nosem coś, co mogło świadczyć o zadowoleniu.

— Czy wszystkie bramy zawarte? — zapytał surowo.

— Tak jest, Wasza Wysokość.

— Potroić przy każdej warty. Niechaj nikt bez drobiazgowych indagacji nie wkroczy do miasta ani go nie opuści. Patrole niechaj przeczesują ulice i domy. Wielce wartościowy więzień umknął z pomocą Aquilońskiego rebelianta. Czy któryś z was go rozpoznał?

— Nie, Wasza Wysokość. Stary dozorca widział go przez chwilę, ale rzec potrafi o nim jedynie to, że był olbrzymem odzianym w czarne suknie kata, którego nagie ciało znaleźliśmy w pustej celi.

— To niebezpieczny człek — rzekł Valerius. — Nie ryzykujcie z nim. Wszyscy znacie księżniczkę Albionę. Szukajcie jej, a znalazłszy zabijcie bezzwłocznie wespół z tym, co jej będzie towarzyszył. Nie próbujcie brać ich żywymi.

Powróciwszy do swej komnaty Valerius wezwał przed swe oblicze czterech mężów o osobliwym i cudzoziemskim wyglądzie. Byli wysocy, chudzi, mieli złotawą skórę i ocienione kapturami nieruchome twarze. Okrywały ich jednakże czarne szaty, spod których wyzierały tylko obute w sandały stopy. Stali przed Valeriusiem z założonymi ramionami i ukrytymi w szerokich rękawach dłońmi. Valerius popatrzył na nich z uczuciem bliskim obrzydzenia. W dalekich swoich podróżach napotkał wiele niezwykłych ludów.

— Gdy was znalazłem w khitajskiej dżungli konających z głodu — powiedział ostro — wygnańców z ojczyzny, Przysięgliście mi służyć. I dobrze na swój odrażający sposób służyliście. Jednej więcej żądam od was usługi, a potem wolni będziecie z danej mi przysięgi. Conan Cymmeryjczyk, król Aquilonii, nadal żyje mimo Xaltotunowych czarów — a może właśnie dzięki nim. Nie wiem. Mroczna dusza tego wskrzeszonego szatana zbyt jest pokrętna i subtelna, by mógł ją zgłębić zwykły śmiertelnik. Ale póki żyje Conan, ja nie jestem bezpieczny. Lud zaakceptował mnie jako mniejsze zło, kiedy sądził, że tamten zginął. Niechaj się tylko na powrót pokaże, a powstanie rozkołysze pode mną tron, nim zdołam ruszyć palcem.

Być może sprzymierzeńcy moi zamierzali osadzić go m moim miejscu, uznawszy, że swoje już zrobiłem. Nie wiem Ale wiem, że nasz świat zbyt jest mały dla dwóch królów Aquilonii. Szukajcie Cymmeryjczyka. Użyjcie swoich niezmiernych talentów, aby go wytropić gdziekolwiek się skryje i dokądkolwiek umknie. Ma w Tarantii wielu przyjaciół Dano mu pomoc, gdy uprowadzał Albionę. Nie mógł jeden człek, nawet taki jak Conan, urządzić w alei pod wieżą tych straszliwych jatek. Dość rzekłem. Weźcie swe kostury i podejmijcie trop. Dokąd was zawiedzie — nie wiem. A odnalazłszy Conana, zabijcie go!

Bez jednego słowa czterech Khitajczyków pokłonili się zgodnie i bezszelestnie opuścili komnatę.

## 11. MIECZE POŁUDNIA

Zza odległych gór wstała jutrzeńka i oświetliła żagle niewielkiej łodzi płynącej z nurtem rzeki, która mijając mury Tarantii w odległości mili, wije się ku południowi jak olbrzymi wąż. Łódź ta była odmienna od jednostek, jakie widuje się zwykle na szerokiej Khorotas — czółen rybackich i szkut kupieckich wypełnionych bogactwem towarów Długa i smukła, o wysokim wygiętym dziobie, miała kadłub czarny jak heban i rząd białych czaszek wymalowanych wzdłuż okrężnicy. Na śródpokładzie wznosiła się niewielka nadbudówka o dokładnie zastłoniętych oknach. Inne łodzie omijały złowieszczą pomalowaną barkę szerokim łukiem była bowiem najoczywistej jedną z owych „pielgrzymich łodzi”, co martwego wyznawcę Asury niosą w ostatnią tajemniczą pielgrzymkę ku południowi, gdzie, daleko za górami Poitain, rzeka wlewa na koniec swe wody do błękitnego oceanu. W kabinie bez wątpienia spoczywają zwłoki. Wszyscy Aquilończycy znali widok owej

posępnej łodzi i nawet najbardziej fanatyczni mitraiści nie ośmieliliby się jej dotknąć ani też jakkolwiek zakłócić żałobnej podróży.

Nie wiadano, gdzie leży cel jej wędrówki. Jedni utrzymywali, że w Stygii, drudzy — że na bezimiennej wyspie skrytej za horyzontem, inni wreszcie twierdzili, że miejscem ostatecznego spoczynku zmarłych jest przepyszna i tajemnicza Vendhya. Ale nikt z pewnością nie wiedział. Wiadomo tylko było, że kiedy umarł wyznawca Asury, jego zwłoki spływały na południe po wielkiej rzece łodzią, której sternikiem i wioślarem był ogromny niewolnik, i że nigdy więcej nie widziano ani zwłok, ani łodzi, ani niewolnika. O ile nie były w istocie prawdą pewne mroczne opowieści, wedle których łodzie w dół rzeki wiódł zawsze ten sam niewolnik.

Człowiek, co żeglował tą akurat łodzią, był równie ogromny i brązowoskóry jak wszyscy inni, choć bliższa obserwacja mogłaby ujawnić, iż ciemna jego karnacja jest wynikiem umiejętnie zastosowanych pigmentów. Odziany w skórzaną przepaskę biodrową i sandały, z niezwykłym kunsztem i mocą posługiwał się drugim rumpem i parą wiosł. Nikt jednak nadto nie przybliżał się do ponurej łodzi, wiadano bowiem dobrze, iż na wyznawcach Asury ciąży przekleństwo, a ich pielgrzymie barki przesycone są czarną magią. Ludzie zmieniali więc kurs, żeby uniknąć spotkania, mamrotali zaklęcia, gdy mijają ich czarna łódź, 'nawet na myśl im nie przyszło, że są oto świadkami ucieczki swego króla i księżniczki Albiony.

Osobliwy był ów dwustumilowy rejs po wielkiej rzece aż do miejsca, gdzie Khorotas skręca ku południowi, żeby ominąć Góry Poitaińskie. Na kształt obrazów ze snu przepływały mimo coraz to inne widoki. W ciągu dnia Albiona, jak godzi się zwłokom, które udawała, leżała cierpliwie i cicho w małej kabinie. Dopiero późną nocą — gdy spływają z wody barki spacerowe wiozące wykwinnych pasażerów rozpartych na miękkich jedwabnych poduchach w świeci trzymany przez niewolników żagwi, a nie pojawiły się jeszcze ruszające o przedświcie na połów łodzie rybaków — ośmielała się ją opuścić. Ujmowała wówczas ster zręcznie zamocowany linami, Conan zaś łapał kilka godzin snu. Lecz niewiele potrzeba mu było wypoczynku. Gnała go rozpalona niecierpliwość, potężna zaś jego konstrukcja wytrzymywała surową próbę. Bez chwili postoju płynęli coraz dalej i dalej; przez całe złociście rozświetlone dni i całe księżycowe noce, podczas których nurt odbijał miliony gwiazd. A w miarę posuwania się ku południowi zostawiali za sobą zimę.

W końcu jak fortyfikacje bogów wypiętrzyły się nad nimi Góry Poitain, a rzeka, omijając poszarpane szczyty, przewałała się piorunowo przez wąwozy pieniąc się i piekąc na licznych porohach.

Conan uważnie omiótł wzrokiem linię brzegu, by w końcu naprzeć na długi rumpel i skierować łódź ku bitemu w rzekę wąskiemu cypłowi, gdzie jodły przedziwnie regularnym kręgiem obrastały osobliwie ukształtowaną skałę.

— Jak te łódki pokonują owe wodospady, co przed nami ryczą, pojąc żadnym sposobem nie mogę — mruknął — Hadrathus mówił, że to czynią... my jednak tu się trzymamy. Mówił, że człowiek będzie na nas czekać z końmi, ale nikogo nie widzę. I nie wiem, jak mogła nas wyprzedzić wieść o tym, że przybywamy.

Wbiwszy dziób łodzi w niski brzeg, przycumował do wystającego korzenia, a potem skoczył do wody i zmył ze skóry brązową farbę. Z kabiny wy dostał zdobytą przez Hadrathusa zbroję Aquilońskiego kroju i swój miecz. Gdy się ubierał, Albiona przywdziała szaty sposobne do górskiej wędrówki. Uzbroiwszy się Conan odwrócił głowę w stronę brzegu — i położył dłoń na rękojeści miecza, pod drzewami bowiem, trzymając w garści wodze białego bieguna i gniadego ogiera bojowego, stała postać w czarnym płaszczu.

— Kim jesteś? — zapytał król.

Przybyły nisko się skłonił.

— Wyznawcą Asury. Przyszedł rozkaz. Wypełniłem.

— Jak to „przyszedł”? — dopytywał się Conan, ale tamten tylko skłonił się powtórnie.

— Przybyłem, żeby przeprowadzić was przez góry do pierwszej twierdzy poitaińskiej.

— Nie potrzebuję przewodnika — odparł Conan. — Dobrze znam te góry. Dzięki za konie, ale mniej będziemy z księżniczką zwracać uwagi podróżując we dwoje niżli w kompanii wyznawcy Asury.

Skłoniwszy się uniżenie człowiek w czarnym płaszczu oddał Conanowi cugle i wszedł do łodzi. Odbił, a szybki nurt jął go unosić ku niewidocznym wodospadom. Potrząsając ze zdumieniem głową Conan najpierw posadził księżniczkę na siodło białego wierzchowca, a potem dosiadł swojego rumaka i ruszył w stronę szczytów wbitych w niebo jak blanki wieży.

Pofałdowany obszar u stóp wysokich gór był teraz pograniczem w stanie zamieszek, gdzie baronowie powrócili do praktyk feudalnych, a hordy banitów włóczyły się bezkarnie. Poitain nie zadeklarowało wprawdzie formalnie secesji od Aquilonii, było jednak obecnie wedle wszelkich kryteriów władztwem autonomicznym, rządzonym przez dziedzicznego swego grabieżcę Trocera. Południowe pogórze należało nominalnie do Valeriusa, który jednak nawet nie próbował sforsować przełęczy strzeżonych przez twierdze, nad którymi wzywająco powiewały poitaińskie sztandary z lampartem.

Ciepłym wieczorem król współ ze swą piękną towarzyszką przemierzał górskie obszary. Gdy byli wyżej, cały kraj ścielił się przed nimi jak olbrzymi szkarłatny płaszcz, haftowany lśnieniem rzek i jezior, złotem szerokich pól, bielą odległych wieżyc. Daleko i wysoko dostrzegli pierwszą z poitaińskich twierdz — potężną fortecę trzymającą w szachu wąską przełęcz — i purpurowy sztandar powiewający na czystym błękitnie.

Zanim do niej dotarli, spoza drzew wyjechał oddział rycerzy, a jego dowódca surowym głosem zatrzymał

podróżnych. Poitainczycy byli wysokimi mężczyznami o ciemnych oczach i kruczoczarnych falistych włosach południowców.

— Stójcie, panie, powiedzcie, z czym i po co zdążacie do Poitain.

— Czyżby Poitain podniosło bunt — zapytał Conal przyglądając się tamtemu badawczo — że człek w aquilońskiej zbroi zatrzymywany jest i wypytywany jak cudzoziemiec?

— Wielu łotrów rozjeżdża się dzisiejszymi czasy z Aquilonii — odparł rycerz chłodno. — Co się zaś tyczy buntu, to — jeśli masz na myśli odrzucenie uzurpatora — Poitain bunt w istocie podniosło. Wolimy raczej służyć pamięci martwego męża niż berłu żyjącego psa.

Conan zerwał swój hełm i odrzuciwszy do tyłu grzywę spojrział wprost w oczy mówiącego. Poitainczyk chwilę patrzył w oszołomieniu, a potem poczerwieniał.

— Dobrzy bogowie! — wyrzucił z siebie. — To król... żywy!

Zdumienie pozostałych ustąpiło wnet miejsca dzikiemu rykowi radości. Stłoczyli się wokół Conana wyrzaskując okrzyki wojenne i w największym podnieceniu wywijając mieczami. Uciecha poitainskich rycerzy mogła człowieka słabszego duchem srodze przerazić.

— Och, popłacze się Trocero z radości, gdy cię, panie, zobaczy! — ryczał jeden.

— A tak, i Prospero! — wrzasnął drugi. — Namiestnik, rzekłbyś, okrył się płaszczem melancholii i przeklina samego siebie dzień i noc, że nie dotarł na Valkię w czas, by polec u boku swego króla.

— Odbijemy teraz królestwo! — dał się trzeci, kręcąc nad głową młyńce swym ogromnym mieczem. — Cześć Conanowi, panu Poitain!

Brzęk stali o stal i tumult głosów spłoszyły ptaki, które wielobarwną chmurą uniosły się z okolicznych drzew. Stanęła w ogniu gorąca krew ludzi z południa, którzy pragnęli teraz tylko tego, by odzyskany władca powiódł ich na bóg i grabież.

— Co rozkażesz, panie? — krzyczeli. — Niechaj jeden z nas pojedzie przodem wioząc do Poitain wieść o twym przybyciu! Sztandary będą powiewać z każdej wieży, róże wyścielą drogę przed kopytami twego konia, a wszystko, co na południu piękne i szlachetne, odda należną ci cześć...

Conan pokręcił głową.

— Któż mógłby wątpić w waszą lojalność? Ale wiatry wieją nad tymi górami do krajów moich nieprzyjaciół, a wolę, by nie wiedzieli oni, że żyję... na razie. Prowadźcie do Trocera, w tajemnicy utrzymując, kim jestem.

Droga więc, z której radzi byliby uczynić rycerze pochód triumfalny, przebiegała raczej jak potajemna ucieczka. Podróżowali pospiesznie i z nikim nie mówili, szepcząc tylko parę słów kapitanom sprawującym dowództwo kolejnych posterunków; Conan jechał z opuszczoną przyłbicą.

Góry były nie zamieszkane — spotykało się tu tylko banitów i strzegące przełęczy garnizony wojska. Rozmłowni w uciechach Poitainczycy nie mieli ani ochoty, ani potrzeby wyciskać skąpego kawałka chleba ze skalistej ziemi. Na południe od łańcucha gór rozciągał się bezmiar bogatych i pięknych równin docierając aż do rzeki Alimane, przez rzekę tę Poitain graniczyło z Zingarą.

Jeszcze teraz, gdy za górami zima warzyła liście, wysokie bujne trawy kołysały się na równinach, gdzie wypasani konie i bydło, z których słyneło Poitain. Palmy i gaje pomarańczowe uśmiechały się do słońca, a przepyszne purpurowe, złociste i szkarłatne wieże odbijały jaskrawo promienie. Była to kraina ciepła i dostatku, kraina urodziwych ludzi i bezlitosnych wojowników. Twardych mężów rodzi bowiem nie tylko surowa ziemia. Poitain otaczali zawistni sąsiedzi, a jego synów hartowały nieustanne wojny. Od północy wprawdzie kraj był strzeżony przez góry, ale na południu tylko Alimane oddzielała równiny Poitain od równi Zingary i nie raz, a po tysiącokroć spływały jej wody krwią. Na wschodzie leżało Argos, a dalej Ophir, królestwa dumną i chciwe. Rycerze Poitain dzierżyli swe ziemie ciężareną i ostrością miecza, i niewiele zaznawali w życiu spokoju i wypoczynku.

Na koniec Conan dotarł do zamku Trocera...

W bogatej komnacie, której przezroczyście zasłony wybrzuszał łagodny wietrzyk, Conan siedział na jedwabnej sofie, Trocero zaś, sprężysty ruchliwy mężczyzna o niewieściej kibici i barach rycerza, który nie wyglądał na swoje lata, jak pantera przemierzał posadzkę.

— Przyzwól proklamować się królem Poitain! — powiedział z naciskiem. — Niechaj te północne świny noszą jarzmo, pod które schyliły karki. Południe wciąż jest twoje. Mieszkaj tu i rządz nami, wśród kwiatów i palm.

Ale Conan pokręcił głową.

— Nie ma na ziemi krainy szlachetniejszej niż Poitain. Ale nie obroni się samo, jakkolwiek mężni byliby jego synowie.

— Broniło się samo przez wiele pokoleń — zareplikował Trocero z typową dla swego narodu zazdrosną dumą. — Nie zawsze byliśmy częścią Aquilonii.

— Wiem. Ale inne są teraz warunki niż wówczas, gdy wszystkie królestwa podzielone były na skłócone ze sobą dzielnice. Minęły dni księstw i wolnych miast; nadszedł czas imperiów. Władcy snią o potędze i tylko w jedności siła.

— Tedy pozwól przyłączyć Zingarę do Poitain — rzekł Trocero. — Pół tuzina książąt wzięło się tam za łby i



kraj rozdarty jest na strzępy wojną domową. Podbijemy go prowincją za prowincją i dołączymy do naszych dominiów. Potem z pomocą Zingarów podbijemy Argos i Ophir. Zbudujemy imperium...

I znów Conan pokręcił głową.

— Niechaj inni śnią sny o imperiach. Ja chcę tylko odzyskać moje. Nie mam ochoty władać królestwem utrzymanym w całości przez krew i ogień. Jedną jest rzeczą zdobyć tron z pomocą ludu i władać za jego zgodą, zgoła inną — podbić obce państwo i władać strachem. Nie mam woli zostać drugim Valerusem. Nie, Trocero, albo całą Aquilonią będę rządzić i niczym więcej, albo rządzić nie będę wcale.

— Więc poprowadź nas przez góry, żeby znieść Nemedyczyków.

Ochota wprowadzić zapaliła się w srogich oczach Conana, ale powiedział:

— Nie, Trocero. Daremna by to była ofiara. Rzekłem ci, co muszę uczynić, aby odzyskać królestwo. Muszę odnaleźć Serce Arymana.

— Ale to szaleństwo — zaprotestował Trocero. — Brednie heretyckiego kapłana, bełkot obłąkanej wiedźmy.

— Nie byłeś w moim namiocie przed valkijską potrzebą — odparł Conan posępnie, mimo woli spoglądając na swój prawy nadgarstek, gdzie wciąż przebijały błękitne ślady. — Nie widziałeś skał spadających z łoskotem, by zmiażdżyć kwiat mojej armii. Nie, Trocero, zostałem przekonany. Nie jest Xaltotun śmiertelnikiem i tylko z Sercem Arymana w garści mogę mu stawić czoła. Jadę więc do Kordawy, i to sam.

— Ależ to niebezpieczne — sprzeciwił się Trocero.

— Bo i życie jest niebezpieczne — burknął król. — Nie pojedę jako król Aquilonii ani nawet jako poitaiński rycerz, lecz jako wędrowny najemnik. W dawnych czasach tak właśnie przemierzałem Zingarę. Och, dość mam nieprzyjaciół na południe od Alimane — na morzu i na lądzie. Wielu nie dostrzeże we mnie króla Aquilonii, ale rozpozna Conana od barachańskich piratów albo Amrę od czarnych korsarzy. Ale mam i przyjaciół, albo też ludzi, co mi dopomogą z własnych prywatnych powodów.

I lekki uśmiezek przypomnienia przemknął przez jego wargi.

Trocero bezradnie opuścił głowę i spojrzał na Albionę, która siedziała na pobliskiej sofie.

— Rozumiem twe wątpliwości, panie — powiedział. — Ale ja również widziałam monetę w Świątyni Asury i zważ: wedle słów Hadrathusa wybita została pięćset lat przed upadkiem Acheronu. Jeśli tedy jest Xaltotun mężem sportretowanym na monecie, jak zaklina się Jego Wysokość, nie może być zwykłym czarnoksiężnikiem, jego bowiem dawniejsze życie liczyło się w setkach, nie zaś jak u zwykłych ludzi w dziesiątkach lat.

Nim Trocero zdołał odpowiedzieć, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i dał się słyszeć głos:

— Jaśnie panie, pojmaliśmy skradającego się pod zamkiem człeka, co powiada, że chce się widzieć z gościem. Czekam rozkazów.

— Szpieg z Aquilonii! — syknął Trocero chwytając sztylet, ale Conan podniósł głos i krzyknął: — Otwórzcie drzwi, niechaj go zobaczę!

Trzymany pod ramiona przez dwóch zbrojnych o srogim wyglądzie, stanął w drzwiach szczupły mężczyzna w czarnym płaszczu z kapuzą.

— Czyś jest wyznawcą Asury? — zapytał Conan.

Przybysz skinął, a rośli wojacy, na których twarzach odbiło się zaskoczenie, popatrzyli niepewnie na Trocera.

— Z południa przyszły wieści — rzekł poślaniec. — Nie możemy ci pomóc za Alimane, nie sięgają tam bowiem wpływy naszej sekty, jako że skupiska wiernych tworzą się raczej wzdłuż Khorotas. Ale dowiedziałem się rzeczy takiej: złodziej, który przejął Serce Arymana z rąk Tarascusa, nie dotarł do Kordawy. Został w górach Poitain zamordowany przez zbójców. Klejnot wpadł w łapy ich wodza, który, nieświadom jego prawdziwej natury i ścigany przez poitaińskich rycerzy, co rozbili jego szajkę, sprzedał go kothyjskiemu kupcowi imieniem Zorathus.

— Ha! — zelektryzowany Conan porwał się na nogi. — I cóż ów Zorathus?

— Cztery dni temu współ z niewielką grupą zbrojnych sług przeprawił się przez Alimane zmierzając do Argos.

— Głupcem jest, że wędruje po Zingarze w takich czasach — rzekł Trocero.

— A tak, niespokojne czasy nastały za rzeką. Ale Zorathus to człek dzielny, a nawet na swój sposób zuchwały. Wielce się spieszy, by dotrzeć do Messantii, gdzie ma nadzieję znaleźć na klejnot nabywcę. Może coś wie o jego prawdziwym charakterze. Tak czy owak, miast podążać długą i krętą drogą wzdłuż granic Poitain, która dochodzi w końcu do Argos, skąd wciąż daleko do Messantii, postanowił przeciąć wschodnią Zingarę szlakiem krótszym i prostszym.

Conan walnął w stół zaciśniętym kułakiem.

— Tedy, na Cromie, i mnie los w końcu szóstkę wyrzuci! Konia, Trocero, i rysz tunek Wolnego Kompana! Znacznie mnie Zorathus wyprzedził, nie tak jednak znacznie, żebym go nie dogonił, gdyby nawet przyszło dotrzeć na koniec świata!

O świcie Conan przeprowił się przez bród na Afimane i ruszył szerokim traktem kupieckim w kierunku południowo-wschodnim. Na drugim brzegu pozostał Trocero z oddziałem rycerzy i szkarłatnym lampartem Poitain rozwiewającym swe fałdy na wietrze; w milczeniu trwali na koniach ciemnowłosi mężczyźni w lśniących pancerzach, aż na koniec sylwetka ich króla zniknęła w jaśniejącej już brzaskiem granatowej dali.

Conan dosiadał otrzymanego od Trocera ogromnego czarnego rumaka. Nie miał już na sobie Aquilońskiej zbroi — ryszczunek czynił zeń członka wielonarodowej Wolnej Kompanii. Na głowie nosił prosty hełm bez przyłbicy, pogięty i porysowany; wyświecone i zniszczone troki i żelaza jego kolczugi zdawały się świadczyć o mnogości przebytych kampanii, z pancernych zaś ramion spływał zawadiacko wystrzępiony i upstrzony plamami szkarłatny płaszcz. Dobrze wyglądał w roli najemnego wojaka, co poznał wszelkie kaprysy fortuny — rabunek i bogactwo jednego dnia, pusty mieczek i zaciśnięty pas drugiego.

Co więcej: nie tylko dobrze wyglądał w tej roli, ale dobrze się w niej czuł — rozbudzone wspomnienia wskrzesiły w jego duszy obraz dzikich, szaleńczych i wspaniałych dni z owych czasów przed wstąpieniem na imperialny szlak, gdy jako wędrowny najemnik pił, szukał przygód i bijatyk, nie myśląc wcale o jutrze i nie marząc o niczym innym prócz pienistego piwa, czerwonych ust i ostrego miecza, żeby nim machać na wszystkich bitewnych polach świata.

Nieświadomie powrócił do dawnych nawyków: inaczej teraz trzymał się w kulbace, na pół zapomniane przekleństwa napłynęły mu do ust i jadąc nucił stare piosenki, które ryczał niegdyś chóralnie wespół z beztrockimi kompaniami w niejednej tawernie, na niejednej piaszczystej drodze albo polu bitwy.

Jechał przez kraj niespokojny. Nie było nigdzie widać oddziałów jazdy, które zwykle patrolowały rzekę na wypadek poitainńskiego najazdu. Wojna domowa pozbawiła granice straży. Długa biała droga rozciągała się od horyzontu po horyzont i nie przemierzały jej ani karawany wielbłądów, ani turkoczące wozy, ani porykujące stada bydła, a tylko rzadkie grupy jeźdźców — odzianych w skórę i metal ostrolicyich mężów o twardych spojrzeniach, którzy trzymali się razem i jechali ostrożnie. Omiatali zwykle Conana badawczym spojrzeniem, ale nie zatrzymywali się, bowiem wygląd samotnego jeźdźcy nie łupy obiecywał, a ciężkie ciosy.

Opustoszałe wsie leżały w zgliszczach, pola i łąki stały odłogiem. Tylko najśmielsi zapuszczali się w te strony, a ludność miejscowa została zdziesiątkowana w zamieszkach wewnętrznych i najazdach zza rzeki. W czasach spokojniejszych droga roiała się od kupców jadących z Poitain do Messantii w Argos albo z powrotem. Obecnie jednak kupcy uważali za rozsądniejsze podążać dłuższą, ale bezpieczniejszą drogą wiodącą na wschód przez Poitain, a potem skręcając na południe ku Argos. Tylko człowiek niebywale Zuchwały byłby zaryzykował swe życie i towary wybierając szlak zingaryjski.

Nocą frędzle płomieni wykwiwały z południowego horyzontu, dniem zaś biły w niebo poskręcane kolumny dymu — w miastach i na równinach południa ginęli ludzie, padały trony, obracały się w zgliszcza zamki. Conan odczuwał stałą pokusę najemnego wojaka, by zawróciwszy konia rzucić się jak za dawnych czasów w odmęt walki, niszczenia i grabieży. Czemuż miałby harować, aby odzyskać władzę nad ludem, co już o nim zapomniał? Czemuż ścigać błędne ognie, uganiać się za koroną utraconą na wieki? Dlaczego nie poszukać zapomnienia, nie zatracić się w czerwonych falach wojny i grabieży, co tak często pochłaniały go w przeszłości? Świat wkracza w epokę żelaza, epokę wojen i ambicji imperialnych; jakiś człek prawdziwie silny może teraz stanąć na ruinach narodów jako ostateczny zdobywca. Czemuż to on właśnie nie miałby nim być? Tak szeptał mu do ucha jego demon — stróż, a zjawy z burzycielskiej i krwawej przeszłości otaczały go zbitym tłumem. Ale nie zawrócił wierzchowca, jechał dalej, ścigając cel w miarę upływu mil coraz mglisty i mglisty, aż zdało mu się, że nigdy nie był niczym innym niż ułudą.

Gnał czarnego rumaka z największą możliwie szybkością, ale biała droga wciąż była pusta — od horyzontu po horyzont. Zorathus miał dużą przewagę, ale Conan nie dawał za wygraną wiedząc, że jedzie szybciej, niż mógłby podróżować kupiec z bagażem. I tak dojechał do zamku grabiego Valbroso, co jak gniazdo sępa wisiał na wypiętrzonych nad drogą nagiej skale.

Valbroso, opancerzony na czarno chudy, śniady mąż o błyszczących oczach i drapieżnie zagiętym nosie, zjechał z góry na czele zbrojnych: trzydziestu włóczników, wąsatych weteranów pogranicznych wojen, równie chciwych i bezwzględnych jak on sam. Plon karawan kupieckich bywał ostatnio skąpy i Valbroso przeklinał wojny domowe, co tak oczyściły drogi z podróżnych, błogosławiąc je zarazem za swobodę, którą mu dały w poczynaniach wobec sąsiadów. Nie liczył, że znajdzie wiele u samotnego jeźdźcy dostrzeżonego z wieży, choć wszystko było ziarnem, co trafiało do jego młyna. Gdy jednak doświadczone okiem ocenił zniszczony ryszczunek i smagłą, pokrytą bliznami twarz Conana, wyciągnął takie same wnioski, jak ci jeźdźcy, których Cymmeryjczyk spotykał dotąd — pusty mieczek i szybki miecz.

— Kim jesteś, łotrze? — spytał srogo.

— Najemnikiem w drodze do Argos — odparł Conan.

— Jak na Wolnego Kompana wybrałeś zły kierunek — burknął Valbroso. — Na południu i wojowania, i łupów miałbyś do syta. Dołącz do mnie, a nie zaznasz głodu. Trakt wprowadzie jak wymieciony ze spaśnych kupców do złupienia, ale zamierzam ruszyć z moimi zbirami ku południowi i sprzedać nasze miecze tej stronie, co się wyda najmocniejsza.

## Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

Conan nie odpowiedział natychmiast, wiedząc, iż gdyby odmówił bez zastanowienia, zostałby zaraz zaatakowany przez zbrojnych Valbroso. Nim zdołał podjąć decyzję, Zingaryczyk przemówił ponownie:

— Wy, zabijaki z Wolnej Kompanii, zawsze znaliście sztuczki, jak zmusić człeka do gadania. Mam więźnia — ostatniego kupca, jakiego pojmałem, i na Mitrę, jedyne, którego widziałem od tygodnia — ale padalec jest uparty. Nie zdołałem go namówić, by otworzył swe żelazne puzdro, którego sekret nam się opiera. Na Isztar, sądziłem, że znam wszystkie sposoby perswazji, ale może ty, jako weteran Wolnej Kompanii, znasz jakieś, co umknęły mojej uwadze. Tak czy siak, jedź za mną i spróbuj coś uczynić.

Słowa Valbroso przyspieszyły podjęcie przez Conana decyzji. Wyglądało mu to na Zorathusa. Conan wprawdzie nie znał kupca, ale człowiek dość uparty, by spróbować w tak niepewnych czasach szczęścia na trakcie zingaryjskim, był wedle niemałego prawdopodobieństwa na tyle twardy, by opierać się torturom.

Conan podjechał do boku Valbroso i ruszył wraz z nim krętą drogą wiodącą pod górę do bram zamku. Jako zwykły żołnierz powinien był podążać za grabią, siła nawyku jednak czyniła go niebacznym, Valbroso zaś nie zwracał żadnej uwagi. Lata życia na pograniczu nauczyły grabię, że inne to panują obyczaje niż na dworze królewskim. A nadto świadom był niezależności najemników, których miecze niejednemu królowi wysiękły drogę do tronu.

Zamek otoczony był wyschniętą fosą tu i ówdzie na poły wypełnioną śmieciem. Przejechali po moście zwodzonym, a potem pod łukowym sklepieniem bramy. Z posępnym hurkotem opadła za ich plecami kratka. Wychynęli ni pusty podwórzec bujnie porośnięty trawą. W środku byli studnia, a pod murami rozrzucone z rzadka kłecie żołnierzy. Wyglądały z nich niechlujne albo jaskrawo wystrojone kobiety. W łukowatych wykuszach żołdacy w porzuciętych zbrojach grali w kości na kamiennych płytach. Całość sprawiała wrażenie raczej bandyckiej siedziby niż szlacheckiego zamku.

Valbroso zsiadł z konia i gestem nakazał Conanowi podążyć za sobą. Przeszli przez drzwi, a potem łukowo sklepiony korytarz, gdzie napotkali odzianego w pancerz pokrytego bliznami mężczyznę o srogim wyglądzie, który zbiegł z kamiennych schodów — najwyraźniej dowódcę straży.

— Jak tam, Beloso? — ozwał się grabią. — Zaczął gadać?

— Uparty — mruknął tamten rzucając na Conana podejrzliwe spojrzenie.

Valbroso wypluł przekleństwo i popędził wściekle po schodach. Conan i Beloso za nim. Gdy znaleźli się nieci wyżej, dobiegły ich uszu jęki konającego. Izba tortur znajdowała się w tym zamku na najwyższej kondygnacji, nie zaś w kazamaty, miała jednak wszelkie urządzenia, które wymyślił ludzki umysł dla rwania ciała, łamania kości, naciągania i skręcania żył czy ścięgien — koła, żelazne trzewiki, łańcuchy i haki.

W sali tej siedział w kucki wychudzony kudłaty ludzki potwór w skórzanych portkach, żarłocznie ogryzając cielecą kość, na kole zaś umierał — jak od pierwszego spojrzenia zorientował się Conan — nagi człowiek. Nienaturalne wydłużenie kończyn świadczyło o powyrywanych ze stawów kościach i dziesiątkach innych trudnych do wyobrażenia urazów. Miał śniadą cerę, inteligentną surową twarz i bystre ciemne oczy, zmętniałe teraz i przekrwione od bólu. Na obliczu jego perlił się pot agonii, a rozciągnięte wargi ukazywały poczerwiałe dziąsła.

— Oto puzdro. — Valbroso wściekle kopnął stojącą w pobliżu małą, ale ciężką żelazną skrzynkę. Była obficie rzeźbiona w maleńkie czaszki i splecione smoki, ale Conan nie dostrzegł żadnej zasuwki czy zatrzasku, co mogłoby posłużyć do otwarcia wieka. Rysy i plamy sadzy dowodziły, że próbowano się do niej dobrać za pomocą topora, łomu, dłuta i ognia.

— To właśnie skarbczyk tego psa — gniewnie mówił Valbroso. — Wszyscy na południu znają Zorathusa i jego żelazną skrzynię. Jeden Mitra wie, co jest w środku.

Zorathus! Więc to prawda; człowiek, którego ściągał, leżał tuż przed nim. Conan nie zdradził się ze swą bolesną niecierpliwością, gdy jednak pochylił się nad udręczoną postacią, serce biło mu jak oszalałe.

— Poluzuj sznury, łotrze! — rozkazał ochryple katu. Valbroso i jego kapitan popatrzyli zdumieni. Zapomniałszy się w podnieceniu, Conan użył swego władczego tonu, a dzikus w skórzanych portkach instynktownie posłuchał. Luzował liny stopniowo, w innym bowiem wypadku męka nadwerężonych stawów byłaby równie wielka, jak przy dalszym rozciąganiu.

Porwawszy stojący w pobliżu dzban wina, Conan przechylił go do warg nieszczęśnika. Zorathus tykał spazmatycznie, a trunek spływał na unoszoną ciężkim oddechem pierś.

Zrozumienie błysnęło w przekrwionych oczach, drgnęły pokryte krwawą pianą usta i dał się słyszeć ochryply szept w mowie kothyjskiej:

— Więc to już śmierć? Więc się skończyła długa męczarnia? Albowiem to jest król Conan, co leżał nad Valkią, a jam w krainie umarłych.

— Nie jesteś martwy — rzekł Conan — ale umierasz. Dłużej torturowany nie będziesz. Dopilnuję tego. Ale innej pomocy dać ci nie mogę. A przecież zanim umrzesz, rzeknij mi, jak otworzyć twą żelazną skrzynię!

— Moja żelazna skrzynia — wymamrotał Zorathus i ciągnął urywanymi zdaniem jak człowiek w delirium: — Puzdro wykowane w szatańskim ogniu płomiennych gór Koroshy z metalu, co go nie przetnie żadne dłuto. Ilekż dźwigało skarbów wzdłuż i w poprzek świata! Ale nie równać się im ze skarbem, co teraz na jego dnie spoczywa.

— Powiedz, jak je otworzyć — naglił Conan. — Tobie pożytku już nie przyniesie, a mnie może pomóc.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Tak, jesteś Conan — mruknął Kothyjczyk — widziałem, jak w koronie na głowie i z berłem w dłoni zasiadałeś na tronie w wielkiej komnacie audiencyjnej swego pałacu w Tarantii. Ale ty nie żyjesz; zginąłeś nad Valkią. Stąd wiem, że i mój koniec bliski.

— Co gada ten pies? — niecierpliwie zapytał Valbroso, nie pojmując mowy kothyjskiej. — Powie nam, jak otworzyć skrzynię?

I jak gdyby ów głos rozbudził iskrę życia w skatowanej piersi, Zorathus skierował ku pytającemu przekrwione oczy.

— Powiem tylko grabiemu Valbroso — wykrztusił po zingaryjsku. — Śmierć nade mną. Pochyl się nisko, Valbroso!

Ze śniadą twarzą rozognioną od chciwości grabią posłuchał prośby, a surowy dowódca straży przybliżył się.

— Przyciśnij jedną po drugiej siedem czaszek na krawędzi — wysapał Zorathus. — A potem łeb smoka, co się wiję na wieku. A później kulę, którą trzyma w szponach. To otworzy tajemny zamek.

— Szybko, puzdro! — wrzasnął Valbroso, dorzucając plugawie przekleństwo.

Podniósłszy skrzynkę Conan postawił ją obok koła tortur, Valbroso zaś odsunął go ramieniem na bok.

— Niechaj ja ją otworzę! — krzyknął Beloso przepychając się do przodu.

Valbroso zbył go przekleństwem i z oczami płonącymi pożądliwością wrzasnął:

— Nie otworzy jej nikt prócz mnie!

Conan, którego dłoń instynktownie spoczęła na rękojeści miecza, zerknął na Zorathusa. Jego oczy były wprawdzie zmętniałe i przekrwione, ale z ogromnym natężeniem wpatrywały się w grabiego... i czy cień posępnego uśmiechu nie wykrzywia warg? Kupiec nie zdradził tajemnicy, póki nie pojął, że umiera. Conan odwrócił się w stronę Valbroso i jął go obserwować z równą uwagą jak konający.

Krawędź pokrywy zdobił relief przedstawiający siedem czaszek pośród gałęzi osobliwych drzew, jej zaś środek — inkrustowany smok skręcony w gęstwie bogatych arabesek. Valbroso w pośpiechu przycisnął czaszki, a dotknąwszy kciukiem rzeźbionej głowy smoka zaklął plugawie i poderwał dłoń w górę, potrząsając nią ze złością.

— Zadzior — warknął. — Zadrasnąłem się w palec.

Potem przycisnął złotą kulę tkwiącą w pazurach smoka — i wieko odskoczyło do góry. Oczy obecnych oślepił złocisty płomień. Zdało im się, że jest rzeźbione puzdro pełne buzującego ognia, który przelewa się przez krawędzie i spada w drżących płatkach. Beloso wrzasnął, a Valbroso wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Oszołomiony Conan stał w milczeniu.

— Mitro, co za klejnot! — Dłoń Valbroso pogrążyła się w skrzyni, by wychynąć z wielką pulsującą szkarłatni kulą, co napełniła izbę łagodną poświatą. Valbroso wyglądał w niej jak trup. I nagle konający na katowskim kole człowiek wybuchnął dzikim śmiechem.

— Głupiec! — zawrzasł. — Do ciebie należy klejnoty ale śmierć ci z nim dałem! Zadraśnięcie na kciuku... spojrzysz na smoczy łeb, Valbroso!

Odwrócili się zgodnie i popatrzyli. Z rozwartej rzeźbionej paszczy sterczało, połyskując, coś maleńkiego.

— Smoczy kieł! — skrzeknął Zorathus. — Zwilżony jadem czarnego stygijskiego skorpiona! Dureń, dureń, po trzykroć dureń, żeś gołą dłonią otwierał Zorathusowe puzdro! Śmierć! Martwy już jesteś!

I umarł z krwawą pianą na ustach. A Valbroso zachwiał się i krzyknął:

— Och, Mitro, płonę! Ogień wypełnia me żyły! Rozrywają się stawy! Śmierć! Śmierć! — I skręciwszy się w miejscu runął jak kłoda. Straszliwe konwulsje zdeformowały mu członki i tak, ze szklistymi oczyma wbitymi w górę i widocznymi spod rozciągniętych warg poczerniałymi dziąsłami, zastygł.

— Trup! — mruknął Conan pochylając się, żeby podnieść klejnot, który wypadł ze sztywnej dłoni Valbroso i leżał na posadzce jak rozedrgany zgęstek wyrwanych zachodzącemu słońcu promieni.

— Trup! — mruknął Beloso, w którego oczach zapaliło się szaleństwo. Potem ruszył.

Oślepiiony blaskiem ogromnego klejnotu i oszołomiony jego bliskością Conan dał się zaskoczyć. Nie pojął zamiarów Belosa, nim coś nie rąbnęło z okrutną mocą w hełm. Opadł na kolana, a na martwą czerwień kamienia trysnęła czerwień żywa.

Posłyszał tupot stóp i ryk istic bawolej agonii. Ogłuszony, ale nie do końca pozbawiony przytomności, wnet pojął, że Beloso powalił go żelazną skrzynką. Czerep ocalał tylko dzięki hełmowi. Próbuąc otrząsnąć mgłę z oczu chwiejnie powstał na nogi i dobył miecza. Izba kołysała się we mgle. Drzwi były otwarte, a szybkie kroki cichły w dole spiralnych schodów. Na posadzce spoczywał kudłaty kat, a resztki żywota wyciekały z ogromnej rany w jego piersi. I Serce Arymana zniknęło.

Z mieczem w dłoni i krwią spływającą po twarzy spod żelaznego czepca, Conan wytoczył się z izby.

Chwiejnie zbiegł po schodach słysząc z podwórca wrzaski, szczęk stali, a później tupot końskich kopyt.

Wybiegł na dziedziniec: zobaczył chaotyczne zbiegowisko zbrojnych i piszczące niewiasty. Brama boczna ziała otworem, a strzegący jej wojak leżał z rozwaloną głową, rozkrzyżowany na swej pice. Konie, wśród nich czarny ogier Conana, galopowały w kółko.

— Jest szalony! — wyła kobieta, która załamując ręce przebiegała wśród tłumu. — Wypadł z zamku jak wściekły pies siekąc na lewo i prawo. Beloso oszalał! Gdzie pan Valbroso!

— W którą umknął stronę? — ryknął Conan. Wszyscy odwrócili się jak jeden mąż patrząc na okrwawioną

twarz nieznanego i jego obnażony miecz.

— Przez poternę na wschód! — zawyla kobieta, a któryś z żołnierzy wrzasnął:

— Co to za zbir?

— Beloso zabił grabiego! — odkrzyknął Conan, jednym skokiem dopadając swego rumaka i chwytając go za grzywę. Dziki zgiełk skwitował tę odpowiedź, ale reakcja zbrojnych — którzy dotąd zbliżali się doń niezdecydowanie — była dokładnie taka, jak przewidywał Conan. Miast zawrzeć bramę, aby go pojmać, albo też ruszyć w pościg za mordercą, żeby pomścić pana, zmieszali się jeszcze bardziej. Jak wilki trzymane w kupie tylko łękiem przed Valbroso, nie czuli powinności ani wobec zamku, ani siebie nawzajem.

Na podwórku szczęknęły miecze, którym zawtórował kobiecy jazgot. I w całym tym zamieszaniu nikt nie dostrzegł, że Conan wystrzelił przez boczną bramę i z tętentem pomknął w dół wzgórza. Rozciągała się przed nim szeroka dolina, trakt zaś rozwidłał się: jedno odgałęzienie biegło na południe, drugie na wschód. I właśnie na drodze wschodniej Conan dostrzegł gnającego co sił, bodącego rumaka ostrogami samotnego jeźdźca. Okolice kołysała się przed oczyma Conana, blask słońca zdawał się zgęstniał czerwoną mgłą, gdy chwiejnie siedząc w siodle Cymmeryjczyk jedną dłonią trzymał się powiewającej grzywy. Ale z uporem gnał swego wierzchowca.

Za jego plecami dym jął się sączyć z zamku, w którym zapomniane ciało grabiego spoczywało obok zwłok jeńca. Słońce zmierzało ku zachodowi i dwie czarne sylwetki pędziły na tle jaskrawoczerwonego nieba.

Rumak Conana nie był wypoczęty, ale to samo dotyczyło wierzchowca Belosa. Cymmeryjczyk nie dręczył swego pokieroszowanego umysłu pytaniem, dlaczego Zingaryjczyk umyka przed jednym tylko prześladowcą. Może gnała go bezrozumna panika zrodzona z uśpionego w rozjarzonym klejnocie szaleństwa. Słońce kryło się za horyzont i w upiornym półmroku biała droga była bledziutką wstęgą roztapiającą się w dalekiej purpurowej poświacie.

Koń, który od dłuższego czasu dobywał ostatków z najgłębszych rezerw swej ogromnej żywotności, dyszał ciężko i posuwał się z trudem. W narastającym zmroku zmieniał się krajobraz. Nagie równiny ustąpiły miejsca kępom dębów i olch, w oddali zarysowały się niewysokie wzgórza. Poczęły migotać gwiazdy. Ogier sapał i posuwał się chwiejnie. Ale między sobą a gęstym lasem, co zaczynał się w pobliżu i sięgał aż dalekich wzgórz na horyzoncie, Conan dostrzegł niewyraźną sylwetkę uciekiniera. Popędził wyczerpanego wierzchowca pojawiający się, że łokieć po łokciu dogania ofiarę. Zagłuszając stuk kopyt, z mroków doniósł się przeraźliwy wrzask, ale nie zwrócił nań uwagi ani ścigany, ani ścigający.

Gnali niemal ramię w ramię, gdy wpadli pod gałęzie zwieszające się nad drogą. Z dzikim okrzykiem Conan wzniósł miecz: dostrzegł zwrócony ku sobie blady owal twarzy i błysk oręża w ciemnościach, a Beloso odpowiedział okrzykiem. I wtedy wyczerpany wierzchowiec Cymmeryjczyka potknął się w ciemnościach, by przekoziółkować z głębokim stęknieniem, wyrzucając jak z procy oszołomionego jeźdźca. Pokieroszowana już przedtem głowa Conana zderzyła się z kamieniem i gęsty mrok wygasł w okamgnieniu wszystkie gwiazdy.

Conan nie miał pojęcia, jak długo leżał bez zmysłów. Gdy poczęła mu wracać świadomość, poczuł zrazu, że jest ciągnięty za jedno ramię po nierównym kamienistym gruncie i przez leśne poszycie. Potem puszczone go raptownie i może ten wstrząs otrzeźwił go do końca.

Jego hełm zniknął; odczuwał potworny ból głowy i silne mdłości, czarne włosy były polepione skrzepami krwi. Ale życie i świadomość wciskały się w każdą tkankę jego jestestwa ze żwawością dzikiego stworzenia i wnet zaczął rozumieć, gdzie się znajduje. Okrągły czerwony księżyc przeświecał przez drzewa, z czego wysnuł wniosek, że dawno minęła pomoc. Wiele godzin leżał bezprzytomnie, dochodząc do siebie tak po upadku z konia, jak i straszliwym ciosie, który mu wcześniej zadał Beloso. Umysł miał teraz jaśniejszy niż w czasie owego szaleńczego pościgu.

Gdy szczegóły otoczenia jęły zapisywać się w jego świadomości, pojawił z rodzajem zdumienia, że nie leży obok białego traktu, ba, nigdzie owego traktu nie widać. Spoczywał na trawiastej polance otoczonej palisadą pni i splecionych gałęzi. Poruszył się, spojrzął dokoła i drgnął gwałtownie — obok niego siedziała w kucki jakaś postać...

Zrazu Conan zwątpił w świadectwo zmysłów, sądząc, że to urojenie. Bo nie mogła być rzeczywista owa zastygła szara istota, wpatrująca się weń nieruchomymi bezdusznymi oczyma.

Leżał więc i spoglądał na nią na poły oczekując, że zniknie jak obraz ze snu; a potem po karku przepęłzył ma dreszcz przypomnienia. Napłynęły słyszane kiedyś, snute szeptem przerażające opowieści o stworzeniach, co zamieszkują lasy rozciągnięte u podnóża wzgórz znaczących granicę zingaryjsko-argosseńską. Gulami je zwano, pożeraczami ludzkiego mięsa, pomiotem ciemności, dziećmi szatańskiego związku zaginionej i zapomnianej rasy z demonami podziemi. Gdzieś w tej pierwotnej puszczy są ruiny starożytnego przekłętogo miasta — szeptano — a wśród jego grobowców przekradają się szare człekokształtne postaci... Ciało Conana przebiegł silny dreszcz.

Wpatrując się w majaczącą nad sobą nieforemną głowę ostrożnie wyciągnął dłoń w kierunku sztyletu u swego boku. I wówczas z okropnym wrzaskiem, powtórzonym mimowolnie przez człowieka, potwór skoczył mu do gardła. Conan wyrzucił w górę prawe ramię i psie szczęki zamknęły się na nim wgniatając ogniwa kolczugi w twarde mięśnie. Koślawe, a przecież zbudowane na kształt ludzkich łapska poczęły szukać szyi,

ale Conan uniknął ich szarpnięciem i przetoczeniem całego ciała, dobywając zarazem lewą ręką sztyletu.

Kotłowali się po trawie zadając ciosy i szarpiąc. Mięśnie zawężone pod szarą trupa skórą były sprężyste, twarde jak stalowe druty i przenosiły mocą mięśnie ludzkie. Ale ścięgni Conana też były z żelaza, kolczuga zaś dość długo broniła go przed wgrzającymi się kłami i szarpiącymi pazurami, by zdołał zadać pchnięcie sztyletem — a potem jeszcze jedno, i jeszcze jedno... Potworna żywotność człekokształtnego stworu zdawała się nie mieć końca i przez skórę króla przebiegł dreszcz, ilekroć czuł dotyk jego oślizłego zimnego ciała. Cały wstręt, całą wściekłą odrazę wkładał w pchnięcia, aż nagle potwór szarpnął się pod nim konwulsyjnie, a potem zastygł, gdy ostrze sztyletu odnalazło wreszcie serce.

Conan podniósł się, wstrząsany mdłościami, i ze sztyletem w dłoni stał niepewnie na środku polany. Nie postradał swego instynktownego poczucia kierunków jeśli chodzi o strony świata, ale skoro nie wiedział, gdzie go zaciągnął gul, nie mógł również wiedzieć, gdzie szukać drogi. Patrząc na oblane światłem księżyca ciche czarne sylwety drzew poczuł na czole zimne krople potu. Zagubiony i pozbawiony wierzchowca znalazł się w głębi tych upiornych lasów, a leżąca u jego stóp wyłupiastooka nieforemną bestia była niemym dowodem czyhających w puszczy okropieństw. Niemal wstrzymywał oddech, próbując ułović uchem jakiś trzask gałązki albo szelest traw.

Wzdrygnął się gwałtownie usłyszawszy na koniec dźwięk. Nagle bowiem ciszę nocy rozdarło rżenie spłoszonego konia. Jego rumak! Były tu pantery... a poza tym gule żarły nie tylko ludzkie mięso.

Rwał wściekle przez zarośla w kierunku, z którego dobiegało rżenie, gwizdząc przeraźliwie. Obawy ustąpiły bojowemu szalowi. Gdyby jego koń został zabity, przepadłaby ostatnia szansa dogonienia Belosa i odzyskania klejnotu.

Znów, tym razem bliżej, ogier zarżał lekko i gniewnie. Słychać było, że wierzga, że trafia w coś kopytami... Nagle Conan wypadł na białą drogę i zobaczył konia, który położywszy po sobie uszy, błyskając złowrogo ślepiami i zębami, to cofał się, to skakał w przód i wierzgał z zamiarem ugodzenia kopytami mrocznej sylwetki, co uchylając się obiegała go dokoła. Inne cienie zarośli się wokół Conana; szare ukradkowe postaci, które otoczyły go zwartym kręgiem. Obmierzły zapach kostnicy skaził nocne powietrze.

Uwagę Conana zwrócił błysk w wyścielającej ziemi warstwie liści. Był to odbijający światło księżyca miecz, który leżał tam, gdzie go Cymmeryczyk upuścił, wysadzony z siodła przez rumaka. Z przekleństwem ułapił król swój, oręż i zatoczył ogromnego młyńca. W blasku księżyca lśniły, wilgotne kły, sięgały ku niemu brudne pazury, ale wyrąbał sobie drogę do konia i jednym skokiem znalazł się w siodle. Miecz unosił się i opadał, kreśląc lodowate łuki, i z każdym, rozwalonym niekształtnym łbem albo cielskiem tryskała fontanna posoki. Wierzchowiec cofał się wierzgając i gryząc. Wreszcie wyrwał się i zadudnił po drodze. Przez krótki czas po obu stronach ścigały ich szare odrażające cienie, ale wnet zostały z tyłu. Dotarłszy na zalesiony szczyt wzgórza Conan dostrzegł przed sobą bezmiar nagich stoków pnących się w górę i nikałych w oddali.

### 13. DUCH Z PRZESZŁOŚCI ‘

Wkrótce po wschodzie słońca Conan przekroczył granicę argosseńską. Nie dostrzegł ani śladu Belosa. Albo kapitan, uniknął na dobre, póki król leżał bez zmysłów, albo też padł ofiarą posępnych ludożerców zingaryjskiej puszczy. Ale — Conan nie dostrzegł znaków, które potwierdzałyby tę drugą możliwość. Fakt, że on sam przeleżał nie napastowany tak długi czas, zdawało się wskazywać, iż potwory skupiły swą uwagę na daremnym pościgu za Belosem. A jeśli ów żył, jechał — mówiło Conanowi przecucie — tą samą drogą gdzieś w przodzie. Nie mając bowiem zamiaru dotrzeć do Argos, nie byłby w ogóle ruszył w kierunku wschodnim. Opancerzeni strażnicy graniczni nie indagowali Cymmeryjczyka. Samotnie wędrujący najemnik nie potrzebował ani glejtu, ani listu żelaznego, szczególnie gdy jego pozbawiony jakichkolwiek insygniów ryszunek dowodził, iż nie pozostaje w czyjejkolwiek służbie. I jechał przez niskie wzgórza, gdzie szemrały strumienie, a zagajniki dębowe rzucały na murawę deseń ze słonecznych i cienistych cętek, trzymając się długiej drogi, co w błękitnym oddaleniu wznosiła się na szczytach i opadała w doliny. Stary, bardzo stary był ów trakt wiodący z Poitain ku morzu.

W Argos panował spokój; ciągnione przez woły obficie wyładowane wozy turkotały na drodze, a mężowie o smagłych, nagich żyłastych ramionach trudzili się w sadach i na polach, jakie rozciągały się poza przydrożnymi drzewami. Starcy siedzący przed karczmami na ławach ocienionych rozłożystymi gałęziami dębów pozdrawiali wędrowca dobrym słowem.

U pracujących na polach rolników, u gadatliwych starych bywalców tawern, gdzie zaspokajał pragnienie wielkimi bukłakami pianistego piwa, u twardookich, odzianych w jedwab kupców napotkanych po drodze szukał Conan nowin o Belosie.

Opowieści były na ogół sprzeczne, ale dowiedział się z nich Conan, że smukły, żyłasty Zingaryjczyk o niebezpiecznych czarnych oczach i wąsach w guście ludów zachodu był na szlaku gdzieś przed nim, dążąc najwyraźniej do Messantii. Wybór tego miasta był logiczny; wszystkie argosseńskie porty, w przeciwieństwie do miast położonych w głębi kraju, miały charakter kosmopolityczny, a najbardziej wielonarodowym z nich była właśnie Messantia. Do jej portu wpływały korabie wszystkich państw morskich, szukali tu schronienia uciekinierzy i wygnańcy z całego świata. Prawa obowiązywały łagodne, Messantia bowiem żyła z handlu

morskiego i jej obywatele doszli do wniosku, że w interesach z żeglarzami lepiej zbyt wiele nie widzieć. Bo nie tylko legalne towary spływały do Messantii — niemała rola w ich dostawie przypadła piratom i przemytnikom. Conan dobrze o tym wszystkim wiedział, czyż bowiem w owych dawnych czasach, gdy był z barachańskimi piratami, nie wpływał nocą do portu, by wyładować dziwne ładunki? Większość z piratów Wysp Baracha — małego archipelagu na południowy zachód od wybrzeży Zingary — wywodzi z argosseńskich żeglarzy i dopóki ograniczała swe zainteresowanie do flot kupieckich innych narodów, władze nie interpretowały prawa morskiego zbyt kategorycznie.

Ale incydent barachański nie był jedyną piracką przygodą w życiu Conana, który żeglował także z bukanierami zingaryjskimi, a nawet — co stawiało go poza nawiasem każdego prawa — z owymi dzikimi czarnymi korsarzami, którzy ciągną z głębokiego południa, by pustoszyć wybrzeże północy. Rozpoznany w którymkolwiek z portów Argos, pożegnałby się ze swą głową. Ale bez najmniejszych wahań zmierzał ku Messantii zatrzymując się dniem albo nocą tylko po to, by wierzchowiec wypoczął, on zaś zdrzemnął się parę chwil.

Nikt go nie okrzyknął, gdy wjeżdżał do miasta, i wnet stopił się z tłumami, które na kształt fal zalewały to wielkie centrum handlowe i odpływały zeń. Messantii nie otaczały mury — strzegło jej morze i okręty.

Był już wieczór, gdy Conan jechał niespiesznie po ulicach wiodących do portu. W ich wylotach dostrzegł nabrzeże, maszty i żagle statków. Po raz pierwszy od lat czuł zapach słonej wody, słyszał skrzyp olinowania i postękiwanie masztów, w które uderzała ta sama bryza, co za przylądkami piętrzyła szeregi grzywaczy. I znów tęsknota do dalekich wędrowek jeła poszarpywać serce Conana.

Ale nie wjechał na nabrzeże. Skierował wierzchowca w bok i pokonawszy pnące się stromo szerokie wydeptane kamienne schody, dotarł do dużej ulicy, gdzie ozdobne białe rezydencje spoglądały z góry na port. Tu mieszkali ludzie, co obrośli w oszczędnie przez morza wydzielane dostatki — kilku starych kapitanów, którzy gdzieś diabłu w zębach znaleźli skarb, i wielu, wielu kupców, co nigdy nie stąpali po deskach pokładu, ani nie poznali ryku sztormu czy bitwy morskiej.

Conan skierował konia ku malowanej złotem furcie i wjechał na podwórzec, gdzie szemrała fontanna i gdzie gołębie przelatywały z marmurowych czap murów na marmurowe płyty dziedzińca. Z pytającym wyrazem twarzy podszedł doń paż w jedwabnym kubraku obszytym frędzlą i w trykotowych pończochach. Messantyjscy kupcy przestawali z wieloma dziwnymi i brutalnymi postaciami, z których jednak większość pachniała morzem. Ale najemny wojak tak swobodnie wjeżdżający sobie na dziedziniec księcia interesów nie był z pewnością zjawiskiem częstym.

— Mieszka tu kupiec Publio? — raczej stwierdził niż zapytał takim tonem, że paż zdjął swój beret z piórem i skłonił się udzielając odpowiedzi.

— A tak, w rzeczy samej, panie kapitanie.

Conan zeskoczył z siodła, a paż przyzwał sługę, który zaraz nadbiegł, by przejąć uzdę rumaka.

— Pan w domu? — Ściągnawszy rękawice Conan otrzepywał z kurzu płaszcz i zbroję.

— Tak jest, kapitanie. Kogo mam zameldować?

— Sam się zamelduję — mruknął Conan. — Wiem, jak trafić. Ty tu zostań.

Paż usłuchał tego wypowiedzianego stanowczym tonem rozkazu i stojąc nieruchomo patrzył w ślad za Conanem, który wbiegł po krótkich marmurowych schodach. I zastanawiał się, jakie związki może mieć jego pan z tym olbrzymim wojownikiem, co wygląda na barbarzyńcę z północy.

Słudzy porzucali swe czynności, by gapić się z rozdziawionymi ustami na Conana, który przeszedł przez szeroki chłodny balkon zawieszony nad dziedzińcem i wszedł do obszernego korytarza przewiewanego morską bryzą. Był w połowie drogi, gdy usłyszawszy skrzywienie pióra skręcił do przestronnej izby o wielu spoglądających na port dużych oknach.

Publio, zasiadając przy rzeźbionym biurku z drewna tekowego, pisał złotym piórem na bogatym pergaminie. Był: niskim mężczyzną o dużej głowie i rozbieganych ciemnych oczach, odzianym w błękitną szatę z najdelikatniejszego marszczonego jedwabiu obszytego złotogłowie. Z grubej białej szyi zwieszał się ciężki złoty łańcuch.

Gdy Conan wszedł, podniósł wzrok, machając dłonią ze zniecierpliwieniem i zastygł w pół owego gestu. Z rozdziawioną gębą wpatrywał się w ducha z przeszłości. Niedowierzenie i lęk połyskiwały w szeroko rozwartych oczach.

— No — ozwał się Cymmeryjczyk — czy nie masz dla mnie słowa powitania?

Publio zwilżył wargi.

— Conan! — wyszeptał z niedowierzaniem. — Mitro! Conan, Amra!

— A któż inny? — Cymmeryjczyk rozpiął płaszcz i razem z rękawicami rzucił go na biurko. — I co, człowiecze? — wykrzyknął ze złością. — Nie możesz przynajmniej zaproponować mi dzbana wińska? Gardziel zatkała mi się do szczętu kurzawą dróg.

— A tak, wino! — powtórzył Publio automatycznie.

Najpierw odruchowo sięgnął w stronę gongu, ale wnet zadrżał i cofnął dłoń jak przed rozżarzonym węglem. Z iskrą posępnego rozbawienia w oczach Conan patrzył, jak kupiec powstaje i pospiesznie zamyka drzwi,

najpierw wystawiwszy głowę, żeby się przekonać, czy w korytarzu nie kręci się żaden niewolnik, a potem wraca i sięga po złoty dzban z winem stojący na pobliskim stoliku. Miał właśnie napełnić smukły kielich, gdy Conan wyrwawszy mu dzban przechylił go oburącz i pociągnął zeń łąpczywie.

— A tak, to Conan, bez wątpienia — wymamrotał Publio. — Człecze, czyś oszalał?

— Na Croma, Publio — odparł Conan odejmując dzban od ust, ale nie wypuszczając go z garści — inaczej teraz mieszkaś niż za dawnych czasów. Na to trzeba argosseńskiego kupca, żeby wycisnąć fortunę z małego kramu w porcie, co cuchnął zgniłą rybą i tanim winem.

— Dawne czasy minęły — mruknął Publio z mimowolnym drżeniem, owijając się szatą. — Odrzuciłem przeszłość jak znoszony płaszcz.

— Cóż — zareplikował Conan — ale mnie nie możesz odrzucić jak znoszony płaszcz. Niewiele od ciebie potrzebuję, ale to, czego żądam, dostać muszę. A ty odmówić mi nie możesz. Zbyt wiele mieliśmy ze sobą do czynienia w dawnych czasach. Masz mnie może za głupca, co nie wie, iż okazały ten dom wzniesiony został na mym pocie i krwi? Ile ładunków z moich galer przeszło przez twój kram?

— Wszyscy kupcy Messantii robili wcześniej czy później interesy z rozbójnikami mórz — wymamrotał nerwowo Publio.

— Ale nie z czarnymi korsarzami — odparł Conan posępnie.

— Zamilcz, na Mitrę! — wykrzyknął Publio, z którego czoła pociekł pot. Jego palce szarpały złociste obszcie togi.

— Cóż, chciałem tylko przywieść te sprawy na pamięć — odrzekł Conan. — Nie bądź taki strachliwy. Wiele w przeszłości ryzykowałeś, walcząc o życie i bogactwa w tym parszywym kramiku u nabrzeży, i szedłeś ręką w rękę z każdym bukanierem, przemytnikiem i piratem stąd do Wysp Baracha. Dostatek widać cię rozmiękczył.

— Jestem szanowany — zaczął Publio.

— Co znaczy, że bogaty jak diabli — parsknął Conaii,

— Dlaczego? Dlaczego doszedłeś do fortuny o tyle szybciej niż twoi konkurenci? Czyżby dlatego, że robiłeś wielkie pieniądze na kości słoniowej i strusich piórach, miedzi, skórach, perłach, klepanych złotych ozdobach i innych towarach z wybrzeży Kush? A gdzieś je zdobywał tak tanio, gdy inni kupcy brali je od Stygijczyków na wagę srebra? Rzeknę ci, na wypadek gdybyś zapomniał: kupowałeś je ode mnie, i to za cenę sporo niższą od wartości, ja zaś zabierałem je plemionom Czarnego Wybrzeża i ze stygijskich statków — ja, wespół z czarnymi korsarzami.

— Poniechaj, imieniem Mitry! — jął błagać Publio. — Nie zapomniałem. Co zasię tu robisz? Jestem jedynym człkiem w Argos, który wie, że król Aquilonii był w dawniejszych czasach Conanem — piratem. Ale przyszły wieści o upadku Aquilonii i śmierci jej króla.

— Wrogowie już ze sto razy uśmiercali mnie pogłoską — mruknął Conan. — A wszak siedzę tu sobie i popijam winko z Kyros.

I w czyn wprowadził słowo.

Opuściwszy opróżnione niemal naczynie rzekł:

— O drobną cię tylko proszę przysługę, Publio. Wiem, że świadom jesteś wszystkiego, co się dzieje w Messantii. Chcę wiedzieć, czy Zingaryczyk imieniem Beloso — albo jakkolwiek zechce się nazwać — przebywa w mieście. Jest wysoki, chudy, smagły jak większość mężów z jego nacji i nader prawdopodobne, że będzie próbował sprzedać bardzo rzadki klejnot.

Publio pokręcił głową.

— Nie słyszałem o takim człowieku. Ale tysiące przybywają do Messantii i wyjeżdżają z niej. Jeśli tu jest, wytropią go moi agenci.

— Dobrze. Wyślij ich na poszukiwanie. A póki co, każ się zająć mym koniem i strawę dla mnie przysłać do tej izby.

Publio przytaknął ochoczo, Conan zaś opróżniwszy dzban do końca cisnął go obojętnie w kąt i podszedł do najbliższego okna, wciągając pełną piersią słone morskie powietrze... Spoglądał na kręte uliczki dzielnicy portowej, szacującym spojrzeniem omiott statki stojące na redzie, a potem podniost głowę i zapatrzył się w dal, gdzie w błękitnej mgiełce niebo spotykało się z morzem. I jego pamięć wybiegła poza ów: horyzont, ku złocistym morzom południa, gdzie pod rozpalonym słońcem nie było żadnych praw, a życie biegło w gorączce. Jakiś zbłąkany aromat pieprzu czy też oliwy rozbudził wyraźne wspomnienia osobliwych wybrzeży porośtych mangrowcami, gdzie bębny przekazywały wieść o okrętach szcepionych w boju i pokładach zalanych krwią, o dymie, płomieniach i jękach rzezi... Zatopiony w tych myślach ledwie zwrócił uwagę, że Publio wymknął się z izby.

Podkasując szatę kupiec spieszył korytarzami, aż dotarł do pomieszczenia, w którym wysoki chudy człowiek z blizną na skroni zajęty był pisanem na pergaminie. Miał w sobie coś, przez co zajęcie skryby zdawało się doń zupełnie nie pasować. Publio przemówił gwałtownie:

— Powrócił Conan!

— Conan? — chudy mężczyzna poderwał się z miejski a pióro wypadło mu z palców. — Ten korsarz?

— A tak!



Chudy posiniał z wściekłości.

— Czy oszalał? Jesteśmy zrujnowani, jeśli go wykryją. Człeka, który ukrywa korsarza albo z nim handluje, powieszają równie szybko jak samego korsarza! A jeśli dowie się, gubernator o naszych dawniejszych z nim układach?

— Nie dowie się — odparł Publio posępnie. — Poślij swoich ludzi na targowiska i do portowych spelunek, i niech wywęszą, czy jest w Messantii niejaki Beloso, Zingaryjczyk. Conan powiada, że ma klejnot, którego zapewne będzie chciał się pozbyć. Jubilerzy więc, jeśli już nikt inny, — powinni o nim coś wiedzieć. A oto drugie dla ciebie zadanie: znajdź jakiś tuzin gotowych na wszystko łotrów, którym zawierzyć można, że pozbędą się kogoś, a potem gęby będą trzymać zamknięte. Pojmujesz?

— Pojmuję — potwierdził tamten niespiesznie i ponurym skinięciem głowy.

— Nie po to złodziejstwem, oszustwem, łgarstwem i mordem zdołałem się wyrwać z rynsztoka, by mnie zniszczył cień z przeszłości — mruknął Publio, a złowieszczy i mroczny wyraz jego twarzy w chwili, gdy to mówił, byłby zaskoczył bogatych panów i damy, co w licznych jego kramach kupowali jedwabie i perły. Ale gdy niewiele później powrócił do Conana własnoręcznie dźwigając tacę mięsów i owoców, ukazał swemu nieproszonemu gościowi oblicze pogodne.

Conan wciąż stał u okna spoglądając na port, na purpurowe, pałowe, cynobrowe i szkarłatne żagle galeonów, karak, galer i kutrów.

— Jest tam stygijska galera, jeśli nie oślepiłem — zauważył ukazując długi, niski, smukły czarny korab zakotwiczony z dala od innych, a w pobliżu szerokiej piaszczystej plaży biegnącej łukiem ku dalekiemu cypłowi. — A więc pokój panuje między Stygią i Argos?

— Taki sam pokój jak niegdyś — odparł Publio stawiając z westchnieniem ulgi ciężko wyładowaną tacę: znał z dawnych czasów możliwości gościa. — Stygijskie porty są czasowo otwarte dla naszych statków, nasze zaś dla ich. Byle tylko mój okręt nie napotkał żadnej przeklętej stygijskiej galery na otwartym morzu. Jedna wślizgnęła się do portu dzisiejszej nocy, a czego chcą jej właściciele — nie wiem. Na razie ani kupują, ani sprzedają. Nie dowierzam tym ciemnoskórym szatanom. Ojczyzną zdrady jest ich mroczna ziemia.

— Za moją sprawą wylili z wściekłości — rzucił Conan beztrząsco, odwracając się od okna. — Na moim okręcie obsadzonym czarnymi korsarzami podkradłem się nocą do samych bastionów omywanych morzem czarnych zamczysk Khemi i puszczałem z dymem zakotwiczone tam galery. A skoro o zdradzie mowa, zacny mój gospodarzu, co byś rzekł na to, by pokosztować po kęsku każdego ze specjalów i jeszcze łyce tego wina — ot, żeby pokazać, iż serce masz po właściwej stronie?

Publio uczynił zadość życzeniu z taką gotowością, że podejrzenia Conana zostały uśpione. Bez dalszych więc wahań zasiadł Cymmeryjczyk do stołu i pochłoniął stawy za trzech.

A kiedy jadł, po targowiskach i nabrzeżach kręcili się ludzie szukając Zingaryjczyka, co chciałby sprzedać klejnot albo też zaokrętować na statek wyruszający ku dalekim portom. A wysoki chudy mężczyzna z blizną na skroni siedział wsparty łokciami o zalany winem stół w plugawej piwnicy oświetlonej zwieszającą się z poczerniałej belki mosiężną latarnią, pogrążony w rozmowie z dziesięciu zatwardziałymi zbirami, których złowróżbne oblicza i postrzępione szaty zdradzały uprawiany przez właścicieli zawód.

Natomiast pierwsze gwiazdy, co zamigotały na niebie, ujrzały osobiwą konną grupkę zmierzającą z zachodu do Messantii po białej drodze. Tworzyło ją czterech wysokich, chudych mężów odzianych w czarne szaty z kapuzami, którzy bezlitośnie gnali równie jak oni wychudłe rumaki, strudzone i spienione jakby po długiej i dalekiej podróży. Osobliwi wędrowcy milczeli jak zakłęci.

#### 14. CZARNA DŁOŃ SETA

Conan przebudził się z twardego snu równie błyskawicznie jak kot. I w okamgnieniu porwał się na nogi z dobytym mieczem, nim człowiek, który go dotknął, zdołał się odsunąć.

— Jakie wieści, Publio? — zapytał Cymmeryjczyk rozpoznając gospodarza. Złota lampa jarzyła się niskim płomieniem, rzucając łagodną poświatę na grubą tapicerkę i bogate narzuty tapczanu, na którym spoczywał Conan.

Publio, doszedłszy do siebie po chwilowym przestrawieniu, jaki mimo woli odczuł na widok gwałtownego przebudzenia swojego gościa, odparł:

— Znaleziono Zingaryjczyka. Przybył wczoraj o świtaniu. Ledwie kilka godzin temu usiłował spieniężyć shemickiemu kupcowi ogromny niezwykły klejnot, ale Shemita nie chciał mieć z nim nic do czynienia. Mówiono, że na widok kamienia pobladł pod swą czarną brodą i zamknawszy kram uciekł jak od zarazy.

— To musi być Beloso — mruknął Conan, czując zrodzone z niecierpliwiej chęci działania pulsowanie w skroniach. — Gdzie jest teraz?

— Śpi w domu Servia.

— Znam tę norę z dawnych czasów — burknął Conan. — Trzeba mi się spieszyć, żeby mu któryś z portowych rzezimieszków nie poderżnął gardła dla tego kamienia.

Narzucił na ramiona płaszcz i wdział hełm podany przez Publię.

— Każ osiodłać mego konia i trzymać go na podwórku w gotowości — rzekł. — Wracając mogę być w

pośpiechu. Nie zapomnę, Publio, coś tej nocy uczynił.

Parę chwil później kupiec, stojąc w wychodzących na zewnątrz bocznych drzwiach, odprowadzał wzrokiem sylwetkę króla ginącą w mrokach ulicy,

— Żegnaj, korsarzu — mruknął. — Wart grzechu musi być ów klejnot, skoro szuka go człek, co właśnie utracił królestwo. Szkoda, że nie nakazałem swoim zbirom, by się nim zajęli przed rozpoczęciem roboty. Ale wówczas coś by mogło pójść nie po myśli. Niechaj Argos zapomni Amrę i niechaj utoną w pyle niepamięci moje z nim układy. Alejka za domem Servia... oto gdzie przestanie Conan być dla mnie niebezpieczny.

Dom Servia, plugawy, cieszący się złą sławą lupanar, stał blisko nabrzeży, frontem do morza. Był to koślawy budynek z kamienia i ciężkich pokładnic. Mając nieprzyjemne uczucie, że jest śledzony, Conan posuwał się alejką, która przebiegała pod ścianą owego domu. Wbijał wzrok w cienie zgęstniałe pod przysadzistymi gmachami, ale nic nie dostrzegł i tylko raz usłyszał wąty szelest odzieży o skórę. Ale nie było w tym nic osobliwego. Złodzieje i żebracy jak noc długa myszkowali po dzielnicy portowej, lecz mało było prawdopodobne, by zaatakowali Conana widząc jego odzianą w pancerz olbrzymią sylwetkę.

Nagle gdzieś przed nim otwarto się drzwi i Cymmeryjczyk wślizgnął się w mroczny wykusz. Z owych otwartych drzwi wyłoniła się postać i ruszyła aleją — nie skrycie, ale z tą naturalną bezgłością, jaka dana jest dzikiemu zwierzęciu. Gwiezdna noc dość dawała blasku, by obrysować jej profil, kiedy mijala przyczajonego Conana. Nieznajomy był Stygijczykiem. Ogolona głowa, twarz o orlich rysach, płaszcz na szerokich ramionach nie pozostawiły co do tego żadnych wątpliwości. Szedł w kierunku plaży i przez moment zdało się Conanowi, że pod płaszczem ma ukrytą latarnię, nim bowiem zniknął, dał się widzieć błysk łagodnego światła.

Ale niemal natychmiast zapomniał Cymmeryjczyk o tajemniczej postaci, spostrzegł bowiem, że drzwi, przez które wyszła z domu, wciąż są otwarte. Zrazu Conan zamierzał wkroczyć głównym wejściem i zmusić Servia do pokazania izby, w której śpi Beloso; lepiej jednak — uznał — jeśli zdoła się dostać do środka niepostrzeżenie. Kilka długich kroków i był przy drzwiach. Położył dłoń na zamku i mimo woli mruknął, bowiem jego doświadczone palce, wyuczone wśród zamoryjskich złodziei, powiedziały mu, iż zamek został wyłamany z zewnątrz przy zastosowaniu siły dość potężnej, by pogać ciężkie żelazne rygle, a nawet wyrwać okucia z ościeżnicy. Nawet pomysłu nie miał, jakim sposobem dokonano owych uszkodzeń nie budząc przy tym całej okolicy — bo żywił pewność, iż stało się to dzisiejszej nocy. Stwierdziwszy w swym domu wyłamany zamek, Servio niechybnie kazałby go naprawić mając na względzie pętających się w pobliżu portu licznych złodziei i zbirów.

Zastanawiając się, jak odnaleźć izbę Zingaryjczyka, Conan wszedł bezszelestnie ze sztyletem w dłoń. Posuwał się po omacku w zupełnych ciemnościach i nagle stanął jak wryty: wyczuł w swym pobliżu śmierć. Tak wyczuwa śmierć dzikie zwierzę — nie jako zagrożenie, lecz jako świeżo zabite martwe ciało. Jego stopa natrafiła w ciemności na coś ciężkiego i podatnego. Ogarnięty nagłym niepokojem, tak długo macał wzdłuż ściany, aż znalazł półeczkę z mosiężną lampą i leżącymi obok stałą, hubką i krzesiwem. Po kilku sekundach strzelił migotliwy, niepewny płomień, a Conan rozejrzał się wokół spod przymrużonych powiek.

Prycza osadzona w surowej kamiennej ścianie, pusty stół i ława składały się na jedyne umeblowanie kwadratowej izby. Wewnętrzne drzwi były zamknięte i zaryglowane. A na ubitej glinianej podłodze spoczywał Beloso. Leżał na wznak, z głową wbitą w ramiona, i wydawało się, że spogląda szeroko rozwartymi przeszkłonymi oczyma na poczerńiałe belki stropu. Ściągnięte w zastygłym grymasie agonii wargi ukazywały wyszczerzone zęby. W pobliżu spoczywał miecz w pochwie. Rozchełstana koszula ukazywała brązową muskularną pierś napiętowaną czarnym, wyraźnym odbiciem dłoni.

Conan patrzył w milczeniu, czując, jak na karku jeży mu się włos.

— Cromie! — mruknął. — Czarna dłoń Seta!

W dawniejszych czasach widywał już ten znak, śmiertelny znak złowieszczych kapłanów Seta, posępnego bóstwa władającego w mrocznej Stygii. I nagle przypomniał sobie osobliwą poświatę emanującą spod płaszczka tajemniczego Stygijczyka, który wyszedł z tej izby.

— Serce, na Croma! — mruknął. — Miał je ze sobą. Rozwalił te drzwi czarami, zabił Belosa i ukradł serce. Był kapłanem Seta.

Szybkie przeszukanie Zingaryjczyka przynajmniej w części potwierdziło jego podejrzenia. Klejnotu nie było. W Conanie narastało nieprzyjemne uczucie, że to wszystko nie stało się przypadkiem i bez planu, że tajemnicza stygijska galera przybiła do messantyjskiego portu w konkretnej misji. Jak mógł wiedzieć kapłan Seta, że Serce pojawiło się na południu? Odpowiedź nie była bardziej fantastyczna od nekromancji, co pozwoliła zabić uzbrojonego człowieka jednym dotknięciem nagiej otwartej dłoni.

Usłyszał za drzwiami ukradkowe kroki i obrócił się jak wielki kot. Jednym ruchem wygasił lampę i dobył miecza. Uszy mówiły mu, że do wejścia zbliża się w ciemności grupa ludzi. A gdy jego oczy przywykły do mroku, zdołał dostrzec niewyraźne postaci ustawione półkołem przed drzwiami. Nie miał pojęcia, kim są, ale jak zawsze wziął inicjatywę we własne ręce — miast czekać ataku, dał nagle susa ni zewnątrz.

Ów niespodziewany manewr zaskoczył przyczajonych. Wyczuł i usłyszał podbiegających ku niemu ludzi, zobaczył przed sobą skapaną w blasku gwiazd zamaskowaną sylwetkę... a potem miecz zatonął w ciele, on zaś sam gnał ulicą, nim wolniejsi odeń myślą i czynem napastnicy zdołali go otoczyć.

Biegając usłyszał gdzieś w przodzie ciche skrzyknięcie wiosł — i zapomniał o pościgu. Na wody zatoki wypływała łódź! Zaciskając zęby zwiększył szybkość, nim jednak dotarł do plaży, dał się słyszeć chrzęst lin i zgrzyt wielkiego steru w jego obsadzie.

Nadpływające znad morza gęste chmury przyćmiły światło gwiazd i stojąc na piasku Conan wyteżał wzrok, by przebić ciemność nad czarną, niespokojną wodą. Coś się tam poruszało — długi, niski, nabierający szybkości i ginący w mroku czarny kształt. Doszedł jego uszu rytmiczny plusk długich wiosł. Obnażył zęby w bezsilnej wściekłości. Oto stygijska galera odpływała w morze unosząc na pokładzie klejnot, który znaczył dlań tyle, co tron Aquilonii!

Z okrutnym przekleństwem postąpił krok w stronę bijących o plażę fal i chwycił ramię pancerza, gotów go zrzucić, by popłynąć za znikającym statkiem. Potem odwrócił się usłyszawszy skrzyknięcie piasku. Zapomniał o swoich prześladowcach.

Przybliżali się szybko. Pierwszy padł pod piorunowym ciosem miecza, ale pozostałych to nie powstrzymało. Otoczyły go matowo połyskujące ostrza, zachrząściły na pancerzu. Usłyszał wrzask i poczuł na dłoni wypływające jelita, gdy rozplątał od dołu do góry czyjś brzuch. Do jego uszu dobiegł znany skądś głuchy głos, zachęcający napastników do ataku. Conan przerabiał się doń przez gęstwą opadających go zewsząd, młócących stalą postaci, a gdy wiatr rozegnał na chwilę płynące chmury i uczyniło się jaśniej, dostrzegł wysokiego, chudego mężczyznę z wielką ciemną szramą na skroni. Miecz Conana rozwalił jego czerep jak dojrzały melon.

Potem opuszczony na oślep topór rąbnął w hełm, napełniając oczy króla powodzią iskier. Conan rzucił się w przód, poczuł, że jego miecz tonie głęboko, i usłyszał skowyt agonii. Potknął się o ciało, a czyjaś maczuga strąciła mu z głowy powgniatany hełm; w następnej chwili cios spadł wprost na obnażoną głowę.

Król Aquilonii osunął się na wilgotny piasek. W mroku sapały nad nim wilcze postaci zbirów.

— Odrąbmy mu łeb — mruknął jeden.

— Daj mu już spokój — burknął drugi. — Pomóż mi lepiej przewiązać rany, zanim wykrwawię się na śmierć. Przyptyw zmyje go do morza — leży na skraju fal. Łeb ma rozwalony; nikt by nie przeżył takich ciosów.

— Pomóż mi ściągnąć jego zbroję — przynagłał inny. — Dostaniemy kilka sztuk srebra. I spieszymy się, nadchodzą jacyś pijani żeglarze. Znikamy.

Nastąpiła chwila gorączkowej krzątaniny, a potem rozległ się w mroku cichnący odgłos szybko biegnących stóp. Pijacki śpiew marynarzy rozbrzmiewał coraz głośniejsze.

W swej komnacie Publio, który nerwowo przechadzał się przed oknem wychodzącym nad zatokę, okrzyknął się nagle z przestachem. Dobrze wiedział, że drzwi były zaryglowane od środka, a przecież teraz stały otworem, a w komnacie pojawiło się czterech ludzi. Na ten widok po jego ciele przebiegł dreszcz. Wiele osobliwości widział Publio w swoim życiu, nic jednak podobnego. Byli wysocy i chudzi, o żółtych owalnych twarzach ocienionych kapturami długich czarnych szat. O ich rysach nic nie potrafiłby powiedzieć, lecz z niepojętych powodów czuł zadowolenie, że u właśnie jest. Każdy trzymał w dłoni osobliwy cętkowany kostur.

— Kim jesteście? — zapytał łamiącym się, głuchym głosem. — Czego sobie życzycie?

— Gdzie jest Conan, który był królem Aquilonii — zapytał najwyższy z czterech, a jego beznamiętny głos przyprowadził Publia o drżenie.

— Nie wiem, o kogo ci chodzi — wyjąkał kupiec, którego zwykłą pewnością siebie wstrząsnął niesamowity wygląd gości. — Nie znam takiego człowieka.

— Był tutaj — zareplikował tamten nie zmieniając tonu. — Jego koń stoi na dziedzińcu. Powiedz nam, gdzie jest, zanim wyrządzimy ci krzywdę.

— Gebalu! — wrzasnął Publio gorączkowo i wycofując się rakiem przyłgnał do ściany — Gebalu!

Czterech Khitajczyków patrzyło nań beznamiętnie.

— Jeśli przyzwiesz swego raba, umrze — ostrzegł jeden, potęgując jeszcze przerażenie Publia.

— Gebalu! — zawył kupiec. — Gdzie jesteś, żeby cię zaraza! Złodzieje mordują twego pana!

Po drugiej stronie drzwi rozległy się szybkie kroki i do komnaty wpadł Gebal — potężnie umięśniony Shemita średniego wzrostu o gęstej kręconej brodzie. Trzymał w dłoni krótki szeroki miecz.

Patrzył na czterech intruzów z tępym zdumieniem, nie mogąc pojąć, skąd się tu wzięli, i przypominając sobie niejasno, że przysnął na schodach, których miał strzec i którymi musieli tu dotrzeć. Nigdy dotąd nie zasnął na służbie. Jego pan wrzeszczał histerycznie, więc z cofniętym do pchnięcia muskularnym ramieniem Shemita pogonił na przybyszów jak atakujący byk. Ciosu jednak nie zadał.

Ramię w czarnym rękawie wystrzeliło w przód, wysuwając daleko długą łaskę. Jej czubek ledwie dotknął szerokich piersi Shemity i natychmiast odskokczył. Przypominało to przerażająco atak węża.

Gebal stanął jak wryty napotkawszy, rzekłbyś, masywną barierę — jego byczy łeb opadł na piersi, miecz wysunął się z palców, a potem cała postać spłynęła powoli na posadzkę. Zupełnie tak, jakby zwiotczały mu nagle wszystkie kości. Publio zwymiotował.

— Nie wrzeszcz już więcej — poradził najwyższy z Khitajczyków. — Twój słudzy krzepko śpią, ale jeśli ich pobudzisz — umrą, a ty razem z nimi. Gdzie jest Conan?

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Udał się do domu Servia obok portu w poszukiwaniu Zingaryjczyka Beloso — wykrztusił Publio tracąc wszelką chęć oporu. Kupcowi nie brakło odwagi, ale niesamowici goście zmienili w wodę jego szpik. Wzdrygnął się konwulsyjnie, usłyszawszy na schodach donośny w złowieszczej ciszy odgłos szybkich kroków.

— Twój sługa? — zapytał Khitajczyk.

Publio bez słowa pokręcił głową, bo język mu przysechł do podniebienia. Jeden z przybyszów zerwał z łoża jedwabną narzutę i przykrył nią zwłoki. Potem wszyscy czterej roztopili się za kotarą, wcześniej jednak najwyższy mruknął:

— Spytaj tego człowieka, czego chce, a potem szybko się go pozbądź. Jeśli nas zdradzisz, żaden z was nie wyjdzie przez te drzwi. Nawet znakiem mu nie pokaż, że jest tu ktoś oprócz ciebie.

I wymownie uniósłszy kostur zniknął za kotarą.

Publio zadrżał, z trudem tłumiąc chęć wymiotów. Mogła to być igraszka światła, ale odniósł wrażenie, iż laski poruszają się chwilami same, jak gdyby posiadając w sobie jakąś niepojętą postać życia.

Z najwyższym wysiłkiem wziął się w garść i obdarłemu łotrzykowi, który wpadł do komnaty, zaprezentował postawę opanowaną.

— Uczyniliśmy, jak sobie życzyłeś, panie — zakrzyknął przybyły. — Barbarzyńca leży martwy na piasku.

Publio wyczuł ruch za kotarą i o mały włos byłby się rozpętał ze strachu. Nie bacząc na nic opryszek ciągnął:

— Twój sekretarz Tiberio zginął. Barbarzyńca go usiekł, jak i czterech moich kompanów. Przynieśliśmy tu ich ciała. Prócz paru srebrnych monet barbarzyńca nie miał przy sobie nic. Czy są dalsze rozkazy?

— Nie! — wydusił Publio pobladłymi ustami. — Odejdź!

Opryszek pokłonił się i pospiesznie wyszedł, wynosząc niejasne przekonanie, że prócz małomówności oznacza się Publio słabym żołądkiem.

Czterej Khitajczycy wyłonili się zza makaty.

— O kim mówił tamten człek? — zapytał najwyższy.

— O pewnym wędrowcu, co mi się naraził — wysapał Publio.

— Kłamiesz — odparł Khitajczyk spokojnie. — Mówił o królu Aquilonii. Czytam to z twej twarzy. Siądź na tej kanapie. Siedź bez słowa i bez ruchu. Pozostanę z tobą, a trzech moi towarzysze pójdą poszukać ciała.

Siedział więc i trząsał się ze strachu przed pilnującą go nieprzeniknioną postacią, aż trzech pozostałych, pojawiwszy się na powrót w komnacie, oznajmiło, że na plaży ciała Cymmeryjczyka nie ma. Publio nie wiedział, czy martwie się, czy cieszyć.

— Znaleziliśmy miejsce, gdzie odbyła się walka — powiedzieli — i krew na piasku. Ale król zniknął.

Czwarty Khitajczyk nakreślił na dywanie swą cętkowaną laską niewidoczne symbole.

— Czyście nie wyczytali czego z piasku? — zapytał.

— Tak jest — odparli. — Król żyje i podążył statkiem na południe.

Wysoki Khitajczyk uniósł głowę i popatrzył na Publię, który od tego spojrzenia okrył się obfitym potem.

— Czego sobie ode mnie życzyacie? — wybąkał.

— Statku — odrzekł Khitajczyk. — Dobrze obsadzonego na długą podróż.

— Na jak długą podróż? — wyjąkał Publio, ani myśląc o odmowie.

— Może na koniec świata — odpowiedział tamten. — Albo do ognistych oceanów piekieł, co leżą jeszcze dalej.

## 15. POWRÓT KORSARZA

Pierwszym wrażeniem, jakie zanotowała wracająca Conanowi świadomość, było uczucie ruchu; nie trwał nieruchomo, ale ustawicznie unosił się i opadał. Potem usłyszał wiatr mrużący w omasztowaniu i jeszcze zanim zaczął widzieć wyraźnie, pojął, że jest na statku. Usłyszał zmieszane głosy, a potem chlusnął weń strumień wody, raptownie przywracając zupełną przytomność. Dźwignął się z jadowitym przekleństwem, stanął na rozstawionych nogach i popatrzył wściekle wokół siebie. W uszach miał chropawy rechot, a w nozdrzach odór nie mytych ciał.

Stał na pomoście rufowym długiej galery, która szła z wiatrem pod wybrzuszonymi północną bryzą żaglami. Słońce dopiero wschodziło w oślepiającej żółtawo-błękitno-zielonej aureoli. Po lewej burcie, jak niewyraźny purpurowy cień, ciągnął się brzeg, po prawej — bezkresny ocean. To wszystko ogarnął Conan jednym spojrzeniem, które nie ominęło i samego statku.

Długi i wąski, był typowym statkiem kupieckim południowych wybrzeży. Miał wysoką rufę, kabiny z przodu i z tyłu. Conan zerknął na pozabawione pokładu śródokręcie, skąd płynął obrzydliwy, przyprawiający o mdłości zaduch. Znał go z dawnych czasów. Był to odór ciał przykutych do ław wiosłarzy. Siedziało ich po czterdziestu z każdej burty, wyłącznie czarnych; owinięte w pasie każdego z nich łańcuchy przykute były do ciężkich pierścieni osadzonych głęboko w biegnącej środkiem statku od dziobu do rufy masywnej belce. Życie raba na arogosseńskim statku było piekłem bez dna. Większość beczynnie teraz wspartych na wiosłach i z przytępioną ciekawością zagapionych na nieznanego niewolników wiodła się z Kush, ale może trzydziestu pochodziło, jak osądził Conan z ich ostrzejszych rysów, prostszych czupryn i okazalszej, foremniejszej

budowy, z dalekich wysp południa będących ojczyzną korsarzy. I dostrzegł kilku, co służyło pod nim w dawniejszych czasach.

Ale, jako się rzekło, zobaczył to wszystko wstając w jednym szybkim rzucie oka. Potem, chwiejąc się na rozstawionych nogach i zaciskając gniewnie kułaki, wbił srogi wzrok w skupione wokół siebie postaci. Żeglarz, który oblał go wodą, wciąż stał z przechylnym wiadrem i Conan sklął go jadownicie, instynktownie sięgając po miecz. I przekonał się, że jest bezbronny i nagi poza krótkimi skórzanymi portkami.

— Cóż to za parszywa balia? — ryknął. — Jak się tu znalazłem?

Żeglarze — co do jednego krępi brodaci Argosseńczycy — roześmiali się szyderczo, a jeden, wnosząc z bogatszych szat i wyniosłej postawy, kapitan, splótł ramiona i powiedział władczo:

— Znaleźliśmy cię leżącego na plaży. Ktoś cię poklepał po łbie i odarł z szat. Potrzebując człeka wzięliśmy cię na pokład.

— Jaki to statek? — zapytał Conan.

— „Śmiałek” z Messantii. Wieziemy ładunek zwierciadeł, szkarłatnych jedwabnych płaszczów, tarcz, złożonych hełmów i mieczów, by go zamienić z Shemitami na miedź i rudę złota. Jam jest Demetrio, kapitan tego statku, i od tej chwili twój dowódca.

— No to koniec końców zdążam w kierunku, w którym zdążać chciałem — mruknął Conan, nie zwracając uwagi na ostatnie słowa kapitana. Płynęli ku południowi wzdłuż długiego łuku argosseńskiego wybrzeża. Te statki handlowe nigdy się odeń zbyt nie oddalały. Gdzieś w przodzie, jak wiedział, gnała w tę samą stronę smukła galera stygijska.

— Widzieliście może stygijską galerę... — zaczął Conan, ale broda porastająca brutalne oblicze kapitana zjeżyła się wściekle. Przeszła go interesować wszelkie dręczące porwanego problemy i uznał, że czas najwyższy pokazać darmożjadowi jego właściwe miejsce.

— Do roboty! — ryknął. — Dość zmarnowałem dla ciebie czasu. Zaszczyci ci zrobiłem, każąc cię ożywić na mostku, i dość dałem odpowiedzi na twe przekłete pytania. Wynoś się z mostku! Zapracujesz na siebie na tej łajbie...

— Kupię twój statek... — zaczął Conan, zanim sobie przypomniał, że jest wędrowcem bez grosza przy duszy.

Ryk uciechy skwitował te słowa, a kapitan spurpurowiał, zdało mu się bowiem, że zeń kpią.

— Ty buntowniczy wieprzu! — ryknął czyniąc groźny krok naprzód i zaciskając dłoń na rękojeści noża. — Do roboty, zanim cię każę wychłostać! Język trzymaj na wodzy, bo, na Mitrę, przykuć cię każę wśród czarnych i wiosłem będziesz machać!

Wulkaniczny temperament Conana, nawet w spokojnych okolicznościach niedługo utrzymywany na wodzy, wreszcie eksplodował.

— Nie podnoś na mnie głosu, ty zasmolony kundlu! — ryknął potężnie jak morski wiatr ku oszołomieniu żeglarzy. — Wyciągnij tę zabawkę, a nakarmię tobą ryby!

— Za kogo się masz? — wykrzyknął kapitan.

— Zaraz ci pokażę! — wrzasnął rozszalały Cymmeryjczyk ruszając do okrężnicy, gdzie wisiała w objęmach broń.

Kapitan rzucił się nań z dobytym nożem, zanim jednak zdążył zadać cios, Conan ułapił go za nadgarstek i szarpnięciem wyrwał ramię ze stawu. Kapitan ryknął jak zarzynany wół, a potem, wzgardliwie odrzucony przez Cymmeryjczyka, potoczył się po pokładzie. Conan porwał ciężki topór i z kocią zwinnością obrócił się na pięcie, by stawić czoła atakowi żeglarzy. Zbliżali się z wywieszonymi językami, niezgrabni i ospali w porównaniu z tygrysiem sprężystym Cymmeryjczykiem. Nim sięgnęli go swymi nożami, wpadł w gęstwę i szybciej niż myśl uderzył w lewo i w prawo, a dwa ciała tryskając krwią i mózgiem runęły na pokład.

Noże wściekle cięły powietrze, gdy przebiwszy się przez zbity sapiący tłum Conan wskoczył na wąski pomost spinający górą pokład rufowy z dziobowym tuż poza zasięgiem siedzących w dole wioślarzy. Kilku majtków, przerażonych śmiercią kompanów, zostało w tyle, ale reszta załogi — może trzydziestu ludzi — pognęła za Conanem z bronią w rękach.

Wskoczywszy na pomost z uniesionym toporem i rozwianą czarną grzywą, Conan zastygł nad wpatrzonymi w siebie czarnymi twarzami.

— Kim jestem? — ryknął. — Patrzajcie, psy! Aranga, Yasunga, Laranga, patrzajcie! Kim jestem?

A w dole rozbrzmiał szum, co wnet przerodził się w potężny ryk.

— Amra! To Amra! Lew powrócił!

Żeglarze, którzy usłyszeli i zrozumieli straszliwy sens tego wrzasku, cofnęli się pobladli, patrząc w nagłym lęku na dziką postać na pomoście. Czy mogło być prawdą, że jest nią ten krwiożerczy wilkołak mórz południowych, co tak tajemniczo zniknął przed laty, by jednak żyć nadal w krwawej legendzie? Piana szaleństwa pokryła usta czarnych, którzy szarpiąc łańcuchy wyrzaskiwali jak zakłęcie imię Amry. Nawet Kushyci, co nigdy dotąd nie widzieli Conana, podjęli ów krzyk. Niewolnicy w ładowni pod kabiną rufową poczęli walić w ściany, skowycząc jak dusze potępione.

Demetrio, sunąc po pokładzie na kolanach, wsparty o zdrową rękę, wrzasnął oszalały z bólu:

— Naprzód i zabić go, kundle, zanim czarni się uwolnią!

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

Doprowadzeni tymi słowami — najbardziej przerażającymi dla wszystkich załóg galer — do ostatecznej desperacji, żeglarze zaatakowali pomost z obydwu stron. Ale kocim susem Conan zeskoczył zeń na przejście między ławkami. — Śmierć im! — zagrzmiął, a jego topór uniósł się, by spaść z trzaskiem na żelazne okowy i przeciąć je jak szczapkę. W okamgnieniu ryczący niewolnik był wolny i kruszył wiosło na maczugę. Żeglarze gorączkowo biegali po pomoście, a na pokładzie „Śmiałka” rozpętało się piekło i chaos. Topór Conana bez chwili przerwy unosił się i spadał, a każdy cios uwalniał pokrytego pianą wrzeszczącego olbrzyma, upojonego nienawiścią, swobodą i pragnieniem zemsty.

Żeglarzy, co zeskakiwali na dół, by pochwycić albo skłuć nagiego białego giganta, który jak opętany rąbał łańcuchy, powalali nie uwolnieni jeszcze wiosłarze, gdy ich wyswobodzeni towarzysze jak ślepy czarny nurt wylewali się na pokład i z szatańskim zawrotem i brzękiem porwanych łańcuchów walili połamanymi wiosłami i kawałkami żelaza, rwali zębami i pazurami. W zamieszaniu potyczki niewolnicy z ładowni przebili się przez ścianę i wypadli na pokład. Uwolniwszy pięćdziesięciu wiosłarzy Conan poniechał rąbania kajdan, by wyskoczyć na pomost i dołączyć swój poszczerbiony topór do maczug sprzymierzeńców.

I była to już masakra. Krzepcy wprawdzie, twardzi nieustraszeni jak ich cały naród, zahartowani w brutalnej szkole morza, nie mogli jednak Argosseńczycy sprostać rozszalałym olbrzymom wiedzionym przez drapieżnego barbarzyńcę. Chłosty, zniewagi i piekielne cierpienia pomścił jeden potężny wybuch furii, co jak tajfun przewalił się od dziobu po rufę. A kiedy zaciął, tylko jeden biały ostał się wśród żywych na pokładzie „Śmiałka” — okryty posoką olbrzym, wokół którego skupili się zawodzący czarni, by rzucić się plackiem na zakrawawiony pokład i walić łbami w deski w ekstazie uwielbienia dla bohatera.

— Amra! Amra! — intonowali inni. — Powrócił Lew! Zawyją teraz Stygijczycy jak kundły o pomocy i zawyją czarne psy z Kush! Pójdą z dymem wioski i pójdą okręty na dno! Hej, zawodźć będą niewiasty i trzaskać będą włócznie!

— Stulić pyski, kundły! — ryknął Conan. — Dziesięciu na dół i uwolnić resztę skowanych. Reszta do steru, fałów i wiosła. Crom i szatani, nie widzicie, że nas zniosło pod brzeg w czasie walki? Chcecie wpaść na mieliznę i trafić znowu w argosseńskie łapy? Rzucić mi te ścierwa za burtę. Do roboty, bo wygarbuję wam skórę!

Z wrzaskiem, śmiechem, dzikim śpiewem ruszyli czarni wypełniać rozkazy. Ciała — po równi białe i czarne — wyrzucono za burtę, gdzie już cięły wodę trójkątnie płetwy.

Conan stał na mostku, spoglądając chmurnie na czarnych, ci zaś popatrywali nań wyczekująco. Splótł na piersi potężne ramiona, a jego długie czarne włosy powiewały na wietrze. Nigdy nie stała na kapitańskim mostku postać dziksza i bardziej barbarzyńska, i niewielu z Aquilońskich dworzan rozpoznałoby swojego króla w tym srogim korsarzu.

— W ładowniach jest żarcie! — zagrzmiął. — I broni pod dostatkiem, wiezionej dla nadmorskich Shemitów. Dość nas na załogę tego statku, a tak, i dość nas do walki! Wiosłowaliście w kajdanach dla argosseńskich psów — czy wolni będziecie wiosłować dla Amry?

— Ahoj! — ryknęli. — Dziećmi twymi jesteśmy! Wiedz nas, gdzie chcesz!

— To do roboty i oczyścić ławy — rozkazał. — Wolni ludzie nie pracują w takim gnoju. Trzech z was za mną, po strawę. Na Crom, podfutuję wam żebra, zanim rejs się skończy!

Odpowiedzią był następny pochwalny ryk i wygłodniali czarni pobiegli ochoczo wypełnić rozkaz. Żagiel wyrzucił się, gdy wiatr przebiegł nad morzem z nową siłą, zapraszając do tańca grzywiaste fale. Conan rozstawił stopy na rozkołysanym pokładzie i wyprężył potężne ramiona. Może i nie miał już aquilońskiej korony, ale wciąż był królem błękitnych oceanów.

## 16. KHEMI O CZARNYCH MURACH

„Śmiałek”, którego wiosła wprawiane były teraz w ruch przez ręce wolne i ochocze, sunął ku południowi jak żywe stworzenie. Przemieniono go z niewinnego kupieckiego statku w wojenną galerę w takim stopniu, w jakim przemiana owa była możliwa. Ludzie zasiadali teraz na ławkach z mieczami u boków i ze złożonymi hełmami na kędzierzawych głowach. Wzdłuż relingów wisały tarcze, a wiązki włóczni, łuków i strzał zdołały maszt. Nawet żywiły zdawały się teraz pracować dla Conana; dzień po dniu krzepka bryza wypełniała żagiel i prawie nie trzeba było korzystać z wiosła.

Choć jednak dzień i noc obserwator siedział w bocianim gnieździe, nie dostrzegł mknącej ku południowi długiej czarnej galerii. Dzień po dniu w polu widzenia przetaczały się tylko błękitne fale, rozcinane niekiedy przez łódź zmykającą jak spłoszony ptak na widok zawieszonych na okrężnicy tarcz. Tegoroczny sezon handlowy dobiegł właściwie końca i nikt poza rybakami nie wypływał w morze.

Oko wypatrzył wreszcie żagiel — nie na południu jednak, a na północy. Pod samą linią horyzontu pojawiła się sunąca na pełnych żaglach galera. Czarni namawiali Conana, by zawrócił i zdobył statek, on jednak pokręcił głowę. Gdzieś na południu smukły czarny korab mknął ku portom Stygii. Tego wieczoru, przed zapadnięciem zmroku, obserwator wciąż widział galerę i dostrzegł ją również rankiem, maleńką w oddaleniu, ale wciąż zdążającą śladem „Śmiałka”. Conan rozważał, czy ich przypadkiem nie ściga, ale jakże mogłaby mieć powód? Lecz nie przejmował się za bardzo. Każdy dzień przybliżający ich do Stygii potęgował jego

szaleńczą niecierpliwość. Nigdy nie opadały go wątpliwości. W to, iż Serce Arymana skradł kapłan Seta, wierzył równie mocno, jak we wschody i zachody słońca. A dokąd poza Stygią mógł kapłan Seta podążyć ze swym łupem? Czarni wyczuwali jego rozgorączkowanie i, jakkolwiek nieświadomi zamiarów dowódcy, starali się bardziej niż pod groźbą bicia. Oczekiwali krwawych uciech grabieży i niszczenia, i byli zadowoleni. Ludzie wysp południowych nie znali innej pracy; nawet kushyccy członkowie załogi, z właściwą swej nacji bezwzględnością, całym sercem radowali się perspektywą łupienia własnych rodaków. Więzy krwi znaczyły dla nich niewiele; zwycięski kacyk i osobista korzyść — wszystko.

Wkrótce charakter linii brzegowej uległ zmianie. Nie żeglowali już wzdłuż stromych klifów, za którymi rozciągały się pasma błękitnych wzgórz. Niskie wybrzeże stanowiło teraz granicę rozległych równinnych łąk ginących w mgiełce oddalenia. Było tu niewiele zatok i jeszcze mniej portów, ale widziało się połyskujące bielą w blasku słońca rozrzucone po całej równinie zikkuraty shemickich miast.

Na trawiastym stepie pasły się stada bydła, wędrowały oddziały krępych, pleczystych jeźdźców. Uzbrojeni w haki, mieli kręcone błękitnoczarne brody i cylindryczne hełmy. Takie było wybrzeże Shem, gdzie każde z miast — państw stanowiło swe własne prawo. Dalej ku wschodowi stepy, jak wiedział Conan, ustępowały miejsca pustyniom zamieszkałym tylko przez plemiona nomadów.

W miarę żeglugi na południe monotonna dotąd panorama upstrzonej miastami równiny poczęła się pod koniec zmieniać. Pojawiły się kępy tamarynd, a gaje palmowe były gęstsze. Za bardziej urozmaiconym teraz brzegiem piętrzył się zielony szaniec drzew i krzewów, dalej zaś pięły się ku górze nagie piaszczyste wydmy. Do morza wpadały strumienie, których wilgotne brzegi porastała bujna roślinność wielu gatunków.

Minęli w końcu ujście wielkiej rzeki i na południowym horyzoncie dostrzegli ogromne czarne mury i wieżycy miasta.

Rzeką był Styx, rzeczywista granica Stygii, miastem zaś Khemi, największy port Stygii i jej w owym czasie najważniejszy gród. Król zamieszkiwał w starszym Luxurze; Khemi było stolicą kapłanów, choć mówiono, iż prawdziwym centrum ich mrocznej religii jest położone w głębi kraju na brzegu Styxu tajemnicze opuszczone miasto. Rzeka Styx, mająca swe źródło gdzieś w nieznanym krainach na południe od Stygii, przez tysiąc mil biegła na pomoc, by dopiero wtedy zawrócić swój nurt ku zachodowi i po następnych kilku setkach mil wlać swe wody do oceanu.

Zaciemniony „Śmiałek” przemknął nocą mimo portu i nim świt go zdradził, stanął na kotwicy w niewielkiej zatoczce parę mil na południe od miasta. Zatoczkę otaczały bagna, zielona płatanina mangrowców, palm i lian rojąca się od krokodyli i węży. Odkrycie statku było prawie niemożliwe. Conan znał to miejsce z dawnych czasów, szukał tu bowiem ukrycia jeszcze za swych korsarskich dni.

Gdy w ciszy przemykali obok miasta, którego potężne czarne bastiony piętrzyły się na cyplach zamykających port, widzieli jaskrawe płomienie żagwi i słyszeli niskie dudnienie bębnow. Port nie był tak wypełniony statkami jak porty Argos. Siły swej i chwały Stygijczycy nie budowali na flocie. Mieli, rzecz jasna, statki kupieckie i wojenne galery, w ilości jednak nieproporcjonalnej do lądowej potęgi państwa. Wiele z ich okrętów żeglowało po rzece, nie zaś wzdłuż wybrzeży morskich.

Stygijczycy byli ludem prastarym, mrocznym, nieodgadnionym, potężnym i bezlitosnym. Dawno temu ich wadzą sięgała daleko na północ od linii Styxu — za stepy Shem, aż do żyznych wyżyn zamieszkałych teraz przez Kothyjczyków i Ophirczyków. Dzielił granicę ze starożytnym Acheronem. Ale Acheron upadł i barbarzyńscy przodkowie Hyboryjczyków odziani w wilcze skóry i rogate hełmy przewalili się ku południowi, wypierając dawnych władców tych ziem. Stygijczycy tego nie zapomnieli.

Cały dzień stał „Śmiałek” na kotwicy w małej zatoczce pod kopułą spletaną gałęzi i pnączy, wśród których skakały tęczo ubarwione ptaki o ostrych głosach i pełzały jaskrawołoskie milczące gady. Przed zachodem słońca ruszyła wzdłuż wybrzeża okrętowa szalupa, znajdując na koniec obiekt swych poszukiwań — stygijskiego rybaka w płaskodennej krypie.

Dostarczono go na pokład „Śmiałka”; był wysokim, śniadym, wysmukłym mężczyzną o twarzy spopielałej ze strachu, ci bowiem, co go porwali, cieszyli się na stygijskim wybrzeżu famą wilkołaków. Nic na sobie nie miał prócz jedwabnej przepaski biodrowej, gdyż w Stygii — podobnie jak w Hyrkanii — nawet niewolnicy i biedacy ubierają się w jedwab, ale w łodzi znaleziono obszerny płaszcz w rodzaju tych, jakie chronią rybaków przed chłodem nocy.

Padł przed Conanem na kolana, oczekując tortur i śmierci.

— Stań na nogi, człeczce, i przestań się trząść — rzekł niecierpliwie Cymmeryjczyk, któremu z największym trudem przychodziło zrozumienie ślepego strachu. — Nikt ci krzywdy nie zrobi. Powiedz mi rzecz taką: czy wracająca z Argos galera, czarna i szybka, przybiła do Khemi w ciągu ostatnich kilku dni?

— Tak jest, panie — odparł rybak. — Nie dalej niż wczoraj o świcie kapłan Thutothmes powrócił z dalekiej wyprawy na północ. Mówią, że był w Messantii.

— Co z Messantii przywiózł?

— Niestety, panie, tego nie wiem.

— A po co żeglował do Messantii? — nie ustępował Conan.

— I tego, panie, nie wiem. Kimże jestem, ja, prostak, by znać zamysły kapłanów Seta? Mówić mogę jedynie o tym, co widziałem albo usłyszałem z portowych pogłosek. Mówi się, że wieści olbrzymiej wagi dotarły w

nasze strony, choć czego dotyczyły, nie wiadomo. Ogólnie za to jest znany fakt, iż kapłan Thutothmes w wielkim pośpiechu wyruszył swą czarną galera. Teraz powrócił, ale co w Argos czynił i jaki ładunek przywiózł, nie wie nikt, nawet żeglarze z załogi jego statku. Ludzie prawią, że przeciwstawił się Thoth–Amonowi, który jest przełożonym wszystkich kapłanów Seta i mieszka w Luxurze, i że poszukuje ukrytej potęgi, by obalić Największego. Kimże jestem, by to wiedzieć? Gdy kapłani wiodą ze sobą wojny, zwykły człek może tylko leżeć plackiem i mieć nadzieję, że nikt go zdepcze.

Conan skrzywił się wzgardliwie, poirytowany tą serwilistyczną filozofią, i zwrócił się do swych ludzi:

— Ruszam samotnie do Khemi, żeby odnaleźć złodzieja Thutothmesa. Trzymajcie tego człeka jako jeńca, ale nie wyrządzcie mu krzywdy. Crom i szatani, przestań wyć! Czy myślicie, że możemy wpłynąć do portu i w miasto szturmem? Muszę ruszyć sam.

Uciszywszy zgiew protestów, zdjął swój rynsztunek by przywdziać skromną szatę rybaka, jego sandały i zdjętą mu z głowy opaskę. Wzgardził jednak krótkim nożem. Pospólstwo stygijskie nie miało prawa nosić broni, a płaszcz nie był dość obszerny, żeby ukryć ogromny miecz Cymmeryjczyka. Conan przeto przypasał do boku ghanatański nóż, oręż używany przez dzikie pustynne plemię zamieszkującej na południe od Stygii — szerokie, ciężkie, łagodnie zakrzywione ostrze z wybornej stali o krawędzi jak brzytwa, dostatecznie długie, by wypatroszyć człowieka.

Potem, pozostawiwszy rybaka pod strażą piratów, wskoczył do jego łódki.

— Czekajcie na mnie do świtu — powiedział. — Jeśli do tej pory nie wrócę — nie wrócę wcale. Wówczas spieszcie na południe w wasze rodzinne strony.

Gdy przeskakiwał przez burzę, podnieśli żalosny lament, aż musiał wystawić na powrót głowę zza okrężnicy i przekleństwem nakazać im ciszę. Potem opadł na dno łódki i jęwszy się wiosłami pognał ją po falach tak szybko, jak w żadnym razie nie byłby tego w stanie uczynić właściciel.

## 17. „ZABIŁ ŚWIĘTEGO SYNA SETA!”

Port Khemi leżał pomiędzy dwoma wchodzącymi w morze językami lądu. Conan okrążył cypel południowy, gdzie ogromne czarne zamczyska piętrzyły się jak usypane ludzkimi rękami góry, i o samym zmierzchu, gdy dość jeszcze było światła, żeby obserwatorzy rozpoznali rybacką łódkę i płaszcz, nie dość jednak, by mogli wypatrzyć zdradzieckie szczegóły, wpłynął do portu. Nie okrzyknięty przemknął wśród wielkich czarnych galer wojennych, co zaciemnione i ciche stały na redzie, by przybić u stóp wschodzących z wody szerokich kamiennych schodów. Na wzór wielu innych łodzi przycumował tam krypę do osadzonego w kamieniu stalowego pierścienia. I nie było w tym nic podejrzanego. Zresztą tylko rybakowi mogłoby się przydać takie ubogie czółno, a rybacy nie kradli sobie wzajem.

Gdy wspinał się długimi schodami, dyskretnie omijając pochodnie płonące co kilka kroków nad chlupoczącą czarną wodą, rzucono nań tylko kilka obojętnych spojrzeń. Wyglądał na zwykłego rybaka, który z pustymi rękoma wraca z bezowocnego połowu u wybrzeży. Gdyby ktoś popatrzył nań uważnie, byłby może doszedł do wniosku, iż kroczy zbyt sprężysto, zbyt prosto i pewnie się trzyma jak na nędzarza. Ale szedł szybko, a lud stygijski nie ma do subtelnych analiz większego zapału niż ludy krajów mniej egzotycznych.

Budową nie różnił się znacznie od przedstawicieli wojowniczej kasty stygijskiej — wysokich muskularnych mężów. Osmalony słońcem, był niemal równie smagły jak oni. Podobieństwo to zwiększała jego czarna, równo nad brwiami przycięta grzywa ujęta w miedzianą opaskę. Różnił go od Stygijczyków sposób chodzenia, cudzoziemskie rysy i błękitne oczy.

Ale długi płaszcz dawał dobrą osłonę, a nadto Conan, na ile było to możliwe, trzymał się cienia, a gdy jakiś tubylec mijał go blisko, odwracał głowę.

Ale wiódł ryzykowną grę i wiedział, że długo swej prawdziwej tożsamości nie ukryje. Khemi nie było podobni do portów hyboryjskich rojących się od przedstawicieli najrozmaitszych ras. Tu jedynymi cudzoziemcami byli czarni albo shemiccy niewolnicy, a Cymmeryjczyk przypominał ich nawet mniej niż rdzennych Stygijczyków. Cudzoziemcy nie byli w stygijskich miastach mile widzianymi gośćmi: tolerowano tylko ambasadorów i licencjonowanych kupców, tym ostatnim nie pozwalając wszakże przebywać na lądzie po zapadnięciu mroku. A w tej chwili nie stał w porcie ani jeden statek hyboryjski. Osobliwy niepokój ogarnął miasto; obudziły się zadawnione ambicje, brzmiały szeptem niezrozumiałe dla nikogo poza tymi, co szepczą. Comanowi, który czuł wokół siebie napięcie, mówiły o tym jego wyostrzone prymitywne instynkty.

Upiorny czekał go los, gdyby został zdemaskowany. Jako cudzoziemiec zostałby po prostu zabity, ale rozpoznany jako Amra, korsarz, co pustoszył wybrzeża ogniem i mieczem... mimowolny dreszcz przebiegł szerokie ramiona Cymmeryjczyka. Ludzkich wrogów się nie lękał. Ale przebywał w kraju magii i bezimiennej grozy. Stary Wąż — prawiono — przegnany z krajów hyboryjskich dawno temu, wciąż się czai w tajemnych świątyniach, a straszne i niepojęte są odprawiane w nich rytuały.

Oddalił się już od nadbrzeżnych ulic i schodzących do samej wody szerokich schodów, by wkroczyć w długie mroczne ulice centralnej części miasta. Nie widziało się tu obrazów typowych dla stolic hyboryjskich — blasku lamp i kaganków, w których światło kolorowo odziani ludzie spacerują ze śmiechem po chodnikach obok wystawiających swe towary sklepików i kramów.



Tu kramy zamykano o zmierzchu. Jedyne oświetleniem ulic były dymiące żagwie pozatykane w dużych od siebie odstępach. Niewielu widziało się przechodniów — w miarę upływu czasu coraz mniejsza ich liczba dążyła gdzieś pospiesznie i w milczeniu. Ponury i nierzeczywisty wydawał się Conanowi ten obraz — milczący ludzie, ich ukradkowy pośpiech, potężne kamienne mury wypiętrzone po obu stronach ulic. Był w architekturze stygijskiej jakiś posępny ogrom, przytłaczający i przemożny.

Światła migotały niemal wyłącznie w górnych częściach budynków. Conan wiedział, że większość mieszkańców spoczywa pod rozgwieżdżonym niebem na płaskich dachach domów, wśród palm sztucznych ogrodów. Dobiegał skądś szmer niesamowitej muzyki. Od czasu do czasu zadudnił po kamiennych płytach rydwan z brązu i mignęła postać wysokiego nobila o orlej twarzy, spowitego w jedwabny płaszcz, z czarną grzywą ujętą w złotą opaskę z emblematem prężącego się węża, a także nagiego woźnicy, który napinając węzłaste mięśnie nóg powodował rwącymi, dzikimi rumakami ze Stygii.

Pieszno wędrowali po ulicach tylko biedacy, handlarze, ladacznice i robotnicy, ale i tych było coraz mniej. Conan zmierzał ku świątyni Seta, gdzie miał nadzieję odnaleźć kapłana, którego ścigał. Sądził, że zdoła rozpoznać Thutothmesa, choć tylko raz i to przez moment widział go w półmroku messantyjskiej alei. Bo tego, że zabójcą Belosa jest ten właśnie kapłan, był zupełnie pewien. Tylko okultyści z najwyższych regionów labiryntu Czarnego Pierścienia posiadali moc czarnej ręki, co śmierć zadawała dotykiem, i tylko oni ośmieliliby się wystąpić przeciwko Thoth–Amonowi, który dla świata zachodniego był przerażającą postacią z mitu.

Ulica poszerzała się i Conan zrozumiał, że wkracza do świątynnej dzielnicy miasta. Ogromne budowle — posępne, niewypowiedzianie groźne w blasku rozszianych pochodni wznosiły ku bladym gwiazdom swe czarne masywy. I nagle gdzieś w przodzie, po drugiej stronie ulicy, rozległ się gardłowy kobiecy krzyk. Naga kurtyzana, w zdradzającym jej profesję wysokim stroiku z piór na głowie, przyciskała się do ściany wpatrzona w coś, czego na razie Conan nie widział. Na odgłos jej krzyku paru przechodniów zatrzymało się gwałtownie i skamieniało. I w tym samym momencie Conan uświadomił sobie, że coś przed nim pełźnie. Potem zza ciemnego rogu budynku, do którego się zbliżał, wychynął odrażający trójkątny łeb, a za nim, zwój za zwojem, falujące, połyskliwe, ciemne cielsko.

Conan wzdrygnął się, bo przyszła mu na pamięć usłyszana kiedyś opowieść — węże poświęcone były Setowi, bogu Stygii, o którym mówiono, że sam ma węzową postać. Potwory takie jak ten trzymano w świątyniach Seta; gdy były głodne, pozwalano im wypełznąć na ulicę i pożreć tego człowieka, którego sobie wybiorą. Ich upiorne biesiady traktowano jako ofiary składane łuskowatemu bogu. Stygijczycy w polu widzenia Conana, mężczyźni i kobiety, padali na kolana biernie oczekując swego losu. Ten, którego wybierze ogromny wąż, zmiażdżony w zimnym uścisku nil krwawą papkę zostanie połknięty takim sposobem, jakim grzechotnik połyka mysz. Inni przeżyją. Taka będzie wola bogów.

Ale nie była to wola Conana. Pyton pełził w jego stronę prawdopodobnie dlatego zwróciwszy nań uwagę, iż był Cymmeryjczyk jedynym na ulicy człowiekiem stojącym prosto. Ułapiwszy pod płaszczem rękojeść noża, Conan miał nadzieję, że oślizły potwór go ominie. Ale zatrzymał się i sprężył przerażająco w migocącym świetle, wysuwając i chowając rozwidlony język, a jego zimne oczy lśniły odwiecznym okrucieństwem gadziego rodu. Łukowato wygiął szyję, zanim jednak uderzył, Conan wyrwał spod płaszcza nóż i zadał błyskawiczny cios. Szerokie ostrze rozcięło trójkątną paszczę i utonęło w szyi.

Conan wyswobodził nóż i odskoczył na bok, ogromne zaś cielsko zawęzłało się i prężyło w potwornej agonii. Conan patrzył przez chwilę w chorobliwej niemal fascynacji; w tym czasie panującą ciszę zakłócał tylko świst i łomot uderzającego o kamienne płyty węzowego ogona.

A potem zaszokowani wyznawcy Seta wybuchli przeraźliwym wrzaskiem.

— Błuznierca! Zabij świętego syna Seta! Śmierć mu! Śmierć! Śmierć!

Zaświstały kamienie i z histerycznym zawrotem rozwścieczeni Stygijczycy rzucili się w stronę Conana. Z otwartych drzwi domów wybiegli następni podejmując okrzyk. Z przekleństwem na ustach Conan zawrócił na pięcie i wbiegł w czarny otwór alei. Biegając niemal po omacku, słyszał za plecami tupot bosych stóp na kamiennych płytach i powtarzany echem przez mury mściwy wrzask. Potem jego lewa dłoń odnalazła w ścianie otwór: skręcił gwałtownie i wpadł do następnej, węższej alejki. Po obu stronach pięły się surowe kamienne mury. Wysoko nad głową zobaczył wstążkę gwiazd. Te gigantyczne mury były, jak wiedział, ścianami świątyń. Usłyszał, że prześladowcy mijają w pędzie wlot alei, w której się ukrył, a ich wrzask cichnie w oddaleniu. Przegapili jego manewr i pognali w mrok. Musiał iść przed siebie, choć myśl o napotkaniu w ciemnościach kolejnych „synów” Seta przejmowała go dreszczem.

Potem gdzieś w przodzie dostrzegł posuwający się na kształt pełznącego robaczka świętojańskiego poblask. Stał rozplaszczony o ścianę i ścisnął w garści nóż. Wiedział, co to jest: człowiek kroczący z pochodnią. Był już tak blisko, że Conan dostrzegł zarys ciemnej dłoni trzymającej żagiew i niewyraźny owal twarzy. Jeszcze kilka kroków i tamten go zobaczy. Pochylił się jak gotowy do skoku tygrys... i nad chodzący stanął w miejscu. Poświata wyłowiła z mroku za rys drzwi, a człowiek z pochodnią zaczął przy nich manipulować. Otworzył je, wszedł do środka i ciemność na powrót pochłonęła alejkę. Miała w sobie ta bezgłośnie przemierzająca mrok sylwetka coś złowróżbnego — może był to kapłan — wracający z jakiejś występną misji?

Conan po omacku pobrnął ku drzwiom. Skoro jeden człowiek nadszedł alejką, w każdej chwili mogą zjawić się następni. Wracać tą samą drogą, którą przyszedł, znaczyło ryzykować zetknięcie się ze ścigającym go tłumem. Lada chwila tłuszcza może powrócić i wypatrzywszy boczną alejkę wpaść w nią z wyciem. Czuł się osaczony przez te nagie, niepokonane mury i pragnął stąd uciec, choćby ucieczka oznaczała wdarcie się do nieznanego budynku.

Ciężkie drzwi z brązu nie były zaryglowane. Rozwarły się pod naciskiem jego dłoni; zerknął przez szparę. Miał przed sobą wielką kwadratową salę z masywnych bloków czarnego kamienia. W niszy płonęła żagiew. Sala była pusta. Przemknął przez próg i zamknął za sobą drzwi.

Jego sandały nie czyniły żadnego hałasu, gdy przemierzał marmurową posadzkę zdążając ku uchylonym drzwiom z drewna tekowego po drugiej stronie sali. Prześlizgnął się przez nie ze sztyletem w dłoni i wkroczył do olbrzymiej mrocznej nawy, której sufitu, ginącego wysoko w ciemnościach, można się było tylko domyślać u kresu czarnych wyniosłych ścian poprzecinanych w dole łukowymi drzwiami. Brązowe lampy osobliwego kształtu rozjaśniały ogromną salę niesamowitym blaskiem. W jej przeciwległym końcu widać było szerokie, pozbawione balustrad schody z czarnego marmuru, gdzieś wysoko zagubione w ciemności, a dookoła pomieszczenia na kształt czarnych półek skalnych biegły górą rząd okrytych cieniem galerii.

Conan zdrzął: był w świątyni jakiegoś stygijskiego bóstwa — może samego Seta, może kogoś tylko niewiele mniej odeń posępnego. I nie brakło tu gospodarza. W głębi ogromnej nawy wznosił się czarny kamienny ołtarz, surowy i nieozdobny, na nim zaś, połyskując w świetle lamp, piętrzyły się zwoje świętego węża. Nie poruszał się i Conan przypomniał sobie pogłoskę, że kapłani usypiają często swych podopiecznych. Cymmeryjczyk uczynił kilka niepewnych kroków, a potem nagle się cofnął i skrył w zasłoniętej aksamitną kotarą niszy. Gdzieś w pobliżu usłyszał bowiem ciche stapanie.

Przez jedne z łukowych przejść wkroczyła wysoka, mocno zbudowana postać w sandałach, jedwabnej tunice i spływającym z ramion obszernym białym płaszczu. Głowę i twarz kryła okropna maska wyobrażająca oblicze na poły ludzkie, na poły bestialskie, przyozdobiona powiewającą kitą ze strusich piór. Podczas niektórych bowiem ceremonii kapłani stygijscy występowali w maskach.

Conan miał nadzieję, że nie zostanie odkryty, ale jakiś instynkt ostrzegł Stygijszczyka. Zawrócił z drogi, której celem były najwyraźniej schody, i podążył wprost w stronę niszy. Gdy odsunął na bok aksamitną kotarę, z głębi wystrzeliła dłoń i tłumiąc okrzyk wciągnęła go w mrok, gdzie w gotowości czekał już sztylet.

Następny krok był dla Conan oczywisty. Ściągnął zabitemu koszmarną maskę i nasunął ją na własną głowę. Skryte za kotarą ciało kapłana przykrył płaszczem rybaka, płaszcz kapłański zaś narzucił na swe potężne ramiona. Los zesłał mu przebranie. Może całe Khemi ruszyło już na poszukiwanie bluźniercy, co považyl się unieść miecz w obronie przed świętym wężem, ale komu przyszłoby do głowy szukać go pod maską kapłana?

Śmiało wystąpił z alkowy ruszając ku wybranym na chybił trafił łukowym drzwiom, nie uczynił jednak i pół tuzina kroków, gdy okręcił się w miejscu, całą swą istotą gotów stawić czoła zagrożeniu.

W dół schodów kroczył pochód postaci odzianych taki samo jak on. Zawahał się, zaskoczony na otwartej przestrzeni, lecz stał nieruchomo, pokładając wiarę w swój kamuflaż, choć zimny pot wypełził mu na czoło i grzbiety dłoni. Nikt nie wyrzekł jednego słowa. Na podobieństwo zjaw zamaskowani zestąpili do wielkiej nawy i obok Cymmeryjczyka podążyli ku czarnym drzwiom. Przywódca ich niósł hebanową laskę zwieńczoną szczerzącym zęby czerepem, a Conan pojął, że jest świadkiem jednej z owych rytualnych, niepojętych dla cudzoziemca procesji, które grają ważną, a czasem złowieszczą rolę w stygijskiej religii. Ostatnia j z postaci lekko zwróciła głowę ku nieruchomemu Conanowi, jakby oczekując, że przyłączy się do orszaku. Wzbudziłby natychmiastowe podejrzenia nie czyniąc tego, czego się po nim spodziewano. Dostosowując zatem swój krok do miarowego tempa pochodu, Cymmeryjczyk zamknął kapłański orszak.

Podążali długim, mrocznym, łukowo sklepionym korytarzem, w którym — jak spostrzegł z nieprzyjemnym dreszczem — czerep począł roztaczać fosforyczną poświatę. Doznał przypiływu zwierzęcej paniki, co go pchała, by dobyć noża i tnąc na lewo i prawo niesamowite postaci, umknąć na łeb na szyję z tej ponurej mrocznej świątyni. Ale trzymał nerwy na wodzy opierając się wyrosłym gdzieś z głębi duszy potwornym przecuciom, które widziały w mroku przerażające rzesze demonicznych zjaw, i z trudem powstrzymał westchnienie ulgi, gdy przebywszy dwuskrzydłowe drzwi wysokości trzech dorosłych mężczyzn znaleźli się na koniec pod rozgwieżdżonym niebem.

Conan zastanawiał się, czy nie spróbować ucieczki w jakąś ciemną aleję, ale nie zdobył się od razu na decyzję i wraz z całą procesją wędrował bezgłośnie długą mroczną ulicą. Napotkani przechodnie odwracali głowy i uciekali. Szli samym środkiem, daleko od murów — zwróciłby na siebie ogólną uwagę, gdyby oderwawszy się od pochodu pognał w którąś z mijanych przecznic. Gdy więc pieklił się i kłął w duchu, dotarli do nisko sklepionej bramy w południowym murze miasta i wyszli za Khemi. Mieli teraz wokół siebie skupiska niewysokich płaskodachych lepierek i nierzeczywiste w świetle gwiazd gaje palmowe. Najwyższy czas, pomyślał Conan, rozstać się z tą milczącą kompanią.

Ale gdy tylko przekroczyli bramę, kompania przerwała milczenie i podnieceni kapłani poczęli między sobą mamrotać. Porzucili miarowy rytualny krok, przywódca bezceremonialnie wsadził pod pachę kostur z czaszką i przemieszani ze sobą sunęli żwawo naprzód. A Conan pospieszał z nimi. Wyłowił bowiem z niskiego szeptu

słowo, które go zelektryzowało.

Brzmiało ono: Thutothmes!

## 18. KOBIETA, KTÓRA NIGDY NIE UMARŁA

Z rozpaloną ciekawością Conan spoglądał na swych zamaskowanych towarzyszy. Albo jeden z nich był Thutothmesem, albo też celem wyprawy było spotkanie z poszukiwanym przez Cymmeryjczyka kapłanem. I pojął wnet, dokąd zmierzają, za palmami bowiem dostrzegł czarny trójkątny masyw zarysowany na tle nocnego nieba.

Minęli obszar lepianek i gajów, a jeśli nawet ktoś ich spostrzegł, dobrze uważał, by nie zostać zauważonym przez nich; chaty były ciemne. Za ich plecami wieże Khemi wznosiły się posępnie ku gwiazdom przegładającym się w wodzie portu: przed nimi rozciągała się w mroku pustynia. Gdzieś w pobliżu szczeznął szakal i był to jedyny dźwięk w tej uśpionej okolicy, bo stąpające pospiesznie sandały kapłanów nie czyniły na piasku najmniejszego hałasu. Byli jak duchy sunące ku wyrosłej z pustyni olbrzymiej piramidzie.

Jej widok przyspieszył bicie Conanowego serca, a niecierpliwość, by dopaść Thutothmesa w obojętnie jakich okolicznościach, nie była zupełnie wolna od lęku przed nieznanym. Żaden człowiek nie zbliżyłby się do tych potężnych spiętrzeń czarnych głazów bez niepokoju. Sama ich nazwa była wśród ludów północy symbolem odpychającej potworności; w legendach pojawiały się wzmianki, że nie zbudowali ich Stygijczycy, że wznosiły się już wówczas, gdy w czasach tak starożytnych, że niepamiętnych, smagły ten lud przybył do krainy nad wielką rzeką.

Gdy przybliżyli się do piramidy, dostrzegł u jej podstawy wątlą poświatę, co wnet okazała się furtą strzeżoną z obydwu stron przez zadumane lwy z głowami niewiast, zastygłe w kamieniu tajemnicze nieodgadnione koszmary. Przywódca grupy ruszył wprost ku drzwiom, w których głębi Conan dostrzegł niewyraźną ciemną postać.

Kapłan zatrzymał się na moment obok tej postaci, a potem zniknął w środku, pozostali zaś jeden po drugim podążali za nim. Każda z zamaskowanych sylwetek przekraczających mroczny portal była zatrzymywana na chwilę przez tajemniczego strażnika i następowała wymiana słów czy może gestów, których Conan nie potrafił ułoić. Toteż celowo począł się ociągać i pochyliwszy się udawał, że manipuluje u rzemienia swego sandała. Dopiero gdy ostatni z kapłanów zniknął w środku, ruszył wprost do wejścia.

Przypominając sobie pewne usłyszane opowieści, z niepokojem zastanawiał się, czy strażnik świątyni jest człowiekiem. Ale odsunął wątpliwość na bok. Zmatowiały kaganek z brązu płonący w samym portalu oświetlał długi wąski korytarz ginący w mroku i stojącą w jego wlocie milczącą postać spowitą w czarny płaszcz. Nie było widać nikogo więcej — kapłani zniknęli w głębi budowli.

Znad płaszcza zakrywającego również dolną część twarzy przeszyło Conana ostre spojrzenie Stygijczyka, który lewą dłonią uczynił osobiwy gest. Conan zmałpował go na poczekaniu, ale najwidoczniej spodziewano się czegoś innego; prawica strażnika wystrzeliła spod płaszcza z błyskiem stali, a mordercze pchnięcie byłoby niechybnie przebiło serce zwykłego człowieka.

Ale zaatakowanym był ktoś, czyje ścięgna miały sprężystość godną drapieżnego zwierza. Połyskujący matowo sztylet nie dotarł jeszcze do celu, a już Conan chwycił smagłe ramię i zaciśniętą w pięść prawą dłonią rąbnął Stygijczyka w szczękę. Jego głowa zderzyła się z murem, a głuche chrupnięcie zaświadczyło o rozpękniętym czerepie.

Conan stał przez chwilę nad ofiarą i czujnie nasłuchiwał. Kaganek jarzył się niskim płomieniem, rzucając na drzwi niewyraźne cienie, ale nic się nie ruszyło w ciemnościach za kręgiem światła, choć gdzieś z daleka i z dołu dobiegł uszu Cymmeryjczyka słaby, zduszony dźwięk gongu. Pochylił się i wciągnął ciało za ciężkie brązowe drzwi otwarte do wewnątrz, a potem ostrożnie, lecz szybko podążył korytarzem ku przeznaczeniu, jakiego żadnym sposobem nie mógł znać. Nie uszedł daleko, gdy stanął w rozterce. Korytarz rozwidłał się na dwa odgałęzienia i nie miał pojęcia, które z nich wybraли kapłani. Na chybił — trafił wybrał lewe. Wyślizgana jakby przez wiele stóp posadzka nachylała się lekko ku dołowi. Tu i ówdzie zaśniedziały kaganek rzucał wątlę, nierzeczywisty blask. Conan zastanawiał się, w jakim celu i w jakiej zapomnianej epoce wzniesiono te kolosalne budowle. To była stara, bardzo stara kraina. Nikt nie wiedział, od ilu stuleci czarne świątynie Stygii spoglądają w gwiazdy.

Niskie łukowe przejścia otwierały się co jakiś czas z lewej i z prawej strony, ale trzymał się głównego korytarza, choć narastało w nim przekonanie, że wybrał zły kierunek. Nawet założywszy, że kapłani znacznie go wyprzedzili, powinien był już ich do tej pory dopaść. Zaczynał się denerwować. Cisza była niemal namacalna, a przecież miał uczucie, że nie jest sam. Nie raz mijając łukowe przejście odnosił wrażenie, iż spoglądają nań z mroku niewidzialne oczy. Zatrzymał się, na poły gotów wrócić do rozwidlenia, gdy nagle okręcił się na pięcie z uniesionym nożem i rozedrganymi nerwami.

We wlocie bocznego korytarza stała, uważnie się weń wpatrując, dziewczyna. Jej alabastrowa skóra wskazywała, iż pochodzi z jakiejś prastarej stygijskiej arystokratycznej rodziny: była wysoka, gibka, kusząco uformowana, a w burzy jej wspaniałych czarnych włosów połyskiwał rubin. Poza parą aksamitnych sandałów i szeroką wysadzaną klejnotami przepaską na smukłej kibici nie miała na sobie nic.

— Co tu robisz? — zapytała.

Odpowiedź zdradziłaby jego cudzoziemskie pochodzenie. Trwał nieruchomo — posępna surowa postać w odpychającej masce z kołyszącym się pióropuszem. Jego czujne oczy penetrowały mrok za jej plecami znajdując go pustym. Ale całe hordy wojowników mogły się kryć w zasięgu jej głosu.

Podeszła doń — bez lęku wprawdzie, lecz podejrzliwie.

— Nie jesteś kapłanem — powiedziała. — Jesteś wojownikiem i jasne to, choć nosisz maskę. Taka jest różnica między tobą a kapłanem, jak między mężem i niewiastą. Na Seta! — zakrzyknęła z rozszerzonymi oczyma zatrzymując się raptownie. — Sądzę, że nie jesteś nawet Stygijczykiem!

Ruchem tak szybkim, że nie ułowiłoby go oko, chwycił delikatnie i pieściwie jej krągłą szyję.

— Ani mru-mru! — szepnął.

Jej gładkie białe ciało było chłodne jak marmur, a we wpatrzonych weń wielkich ciemnych oczach nie taίło się żdźbło obawy.

— Nie lękaj się — odparła spokojnie. — Nie wydam cię. Ale czyś szalony, cudzoziemcze, że przybywasz do zakazanej obcym świątyni Seta?

— Szukam kapłana Thuthomesa — odrzekł. — Jest w świątyni?

— A dlaczego go szukasz? — odpowiedziała pytaniem.

— Ma skradzioną rzecz, która należy do mnie.

— Zaprowadzę cię do niego — zaproponowała tak ochoczo, że natychmiast ogarnęły go podejrzenia.

— Nie igraj ze mną, dziewczko — warknął.

— Wcale z tobą nie igram. Nie darzę Thuthomesa miłością.

Zawahał się, ale wnet podjął decyzję; w końcu był w jej mocy w takim samym stopniu, jak ona w jego.

— Idź obok mnie — poleciał, puszcżając jej gardło i ujmując ramię. — Ale uważaj! Jeśli uczynisz podejrżany ruch...

Powiodła go opadającym korytarzem, w dół i wciąż w dół, aż skończyły się płonące kaganki i musiał wędrować po omacku, bardziej wyczuwając niż widząc kobietę u swego boku. Raz, gdy do niej przemówił, zwróciła głowę w jego stronę i dostrzegł z oszołomieniem, że oczy jej płoną w mroku złocistym ogniem. Błądziły w jego duszy niejasne wątpliwości i okropne podejrzenia, ale podążał za nią przez istny labirynt czarnych korytarzy, który przemógł nawet jego barbarzyńskie poczucie kierunku. W myśli wyzywał się od głupców, że pozwala się tak wciągać w ten czarny macecznik tajemnicy, ale było już za późno, żeby zawrócić. Znow wyczuł przed sobą ruch żywej istoty, niecierpliwość i głód płonący w mroku, O ile nie oszukał go słuch, pochwyił wąty szurający odgłos, który na wypowiedziany szeptem rozkaz dziewczyny wnet ucichł w oddaleniu.

Wprowadziła go nareszcie do komnaty rozświetlonej przez czarne świece płonące widmowo w siedmioramiennym kandelabrze. Pojmował, że są głęboko pod ziemią. Komnata o ścianach i suficie z czarnego polerowanego marmuru była kwadratowa i umeblowana na tradycyjną modłę stygijską. Znajdowało się tu okryte czarną aksamitną narzutą hebanowe łóże i rzeźbiony sarkofag spoczywający na czarnym kamiennym postumencie.

Conan spoglądał wyczekująco na liczne łukowe drzwi w ścianach komnaty, ale dziewczyna nie zamierzała widać podjąć wędrowki. Rozciągnąwszy się na łóży z kocią sprężystością, splótła palce na karku i popatrzyła na Cymmeryjczyka spod długich, ciężkich rzęs.

— No i co? — zapytał niecierpliwie. — Co robisz? Gdzie jest Thuthomes?

— Nie ma pośpiechu — odparła leniwie. — Czymże jest godzina... Albo dzień, rok czy nawet stulecie? Zdejmij maskę. Niechaj ujrzę twe oblicze.

Z pomrukiem irytacji Conan ściągnął swe ciężkie przebranie, a dziewczyna skinęła z aprobatą, omiatając płonącym spojrzeniem jego smagłą, pokrytą bliznami twarz.

— Tkwi w tobie siła... wielka siła; mógłbyś zdławić byka.

Narastały w nim podejrzenia; z dłonią na rękojeści noża przemierzał niespokojnie komnatę zaglądając w mroczne łukowe wejścia.

— Jeśli zwabiłaś mnie w pułapkę — powiedział — nie nacieszysz się żywa tym, co zdziałałaś. Zleziesz z tego wyrka i zrobisz, coś obiecała, czy mam cię...

Zamilkł nagle, spojrzawszy na sarkofag, którego wieko zdobiła wyrzeźbiona z kości słoniowej ze zdumiewającym realizmem pradawnej sztuki podobizna. Miała w sobie ta maska coś niepokojąco znajomego i z rodzajem szoku uświadomił sobie, co to jest: bliźniacze podobieństwo do twarzy dziewczyny, która w niedbałej pozie spoczywała na łóży. Mógł to być jej portret, gdyby nie fakt, iż sarkofag liczył sobie przynajmniej parę setek lat. Na lakierowanym wieku widniały archaiczne hieroglify i przetrząsnąwszy pamięć w poszukiwaniu strzępów wiedzy nagromadzonych w pełnym przygód życiu, Conan przeliterował:

— Akivasha!

— Słyszałaś o księżniczce Akivashy? — zapytała dziewczyna.

— A kto nie słyszał? — burknął.

Imię tej diabolicznej, pięknej księżniczki wciąż żyło na świecie w pieśni i w legendzie, choć dziesięć tysięcy lat przetoczyło się od czasów, gdy córka Tuthamona upajała się krwawymi biesiadami w czarnych komnatach

starożytnego Luxuru.

— Jedyne jej występek polegał na tym, że kochała życie i wszystko, co życie ze sobą niesie — rzekła Stygijka. — By zdobyć życie, uwodziła śmierć. Nie mogła znieść myśli, że będzie się starzeć, marszczyć, marnieć, by umrzeć w końcu jako stara wiedźma. Więc kokietowała Mrok jak kochanka, on zaś dał jej w darze życie — inne od tego, jakie znają śmiertelnicy; nigdy nie miała zestarzeć się ani umrzeć. Pogrążyła się w ciemności, by oszukać starość i śmierć...

Conan wbił w nią płonące szczeliny swych żreń, a potem obrócił się i zerwał wieko z sarkofagu. Był pusty. Za jego plecami dziewczyna wybuchła śmiechem, co zmroził mu krew w żyłach i zjeżył włos na karku. Zwrócił się w jej stronę.

— Ty jesteś Akivasha! — zgrzytnął zębami.

Roześmiała się potrząsając błyszczącymi włosami i zmysłowo prężąc ramiona.

— Ja jestem Akivasha! Ja jestem tą, co nigdy umarła, co nie zaznała starości! Która, jak prawią głupcy, uniesiona przez bogów z ziemi w pełnym rozkwicie młodości i urody, włada jako królowa niebieskich stref! O nie to w mroku śmiertelnik znajduje nieśmiertelność. Umarłam dziesięć tysięcy lat temu, aby żyć na wieki! Daj mi swe usta, moczaru!

Powstała zwinnie i podbiegła do Conana, by wspiąć się na palce otoczyć ramionami jego masywny kark. Spojrzał z grymasem na zwrócone ku sobie przepiękne oblicze, doznając przyływu jakiejś okropnej fascynacji przemieszanej z lodowatym lękiem.

— Kochaj mnie! — wyszeptła odrzucając do tyłu głowę i rozchylając usta. — Daj mi odrobinę swej krwi, by ukrzepić mą młodość i dodać sił wiecznemu życiu. I ciebie też uczynię nieśmiertelnym! Nauczę cię mądrości wszystkich epok, wszelkich sekretów, co w otchłaniach pod tymi mrocznymi świątyniami przetrwały wieki. Uczynię cię królem nierzeczywistej hordy, co ucztuje wśród prastarych grobów, gdy noc spowija pustynię, a nietoperze prześlizgują się przez tarczę księżyca. Dość już mam kapłanów, magów i niewolnic przeciąganych z wrzaskiem przez portale śmierci. Pożądaj mężczyzny. Kochaj mnie, barbarzyńco.

Przycisnęła ciemną głowę do jego potężnej piersi i u podstawy szyi Conan poczuł ostre ukłucie. Oderwał dziewczynę z przekleństwem i cisnął na łożo.

— Piekielna wampirzyca!

Z ranki na szyi wyciekała strużka krwi.

Usiadła na łożu jak wąż szykujący się do uderzenia, a żółte ognie piekieł płonęły w jej wielkich oczach. Ściągnięte wargi ukazały białe ostre zęby.

— Głupcze! — skrzeknęła. — Czy myślisz, że przede mną umkniesz? Żyć będziesz i zdechniesz w ciemnościach! Głęboko pod świątynię cię zawiodłam. Sam nigdy nie odnajdziesz drogi powrotnej. Nie przebijesz się przez tych, co strzegą tuneli. Gdyby nie moja opieka, synowie Seta dawno by cię mieli w swych brzuchach. Głupcze, jeszcze napiję się twej krwi!

— Trzymaj się z daleka, albo cię rozwalę na ćwierci — mruknął czując na ciele dreszcz obrzydzenia. — Może i jesteś nieśmiertelna, ale stał cię pokona.

Cofał się ku drzwiom, przez które tu wkroczył, gdy niespodziewanie zapadły ciemności. Pogasty jednocześnie wszystkie świece, ale jakim to się stało sposobem, nie wiedział, Akivasha bowiem ich nie tknęła. Zza pleców usłyszał kpiący śmiech wampirzycy, który był jak słodka trucizna piekielnych skrzypiec, i oblał się potem szukając po omacku otworu w ścianie. Zmacał go na koniec i runął weń, ani mając pojęcie, czy to właściwe drzwi, ani się tym troszcząc. Miał tylko jedną myśl — by umknąć z tej nawiedzanej komnaty, co od tyłu już stuleci była domem pięknej, odrażającej, żywej i martwej zarazem szatańskiej istoty.

Jego wędrówka przez czarne kręte tunele była dręczącym koszmarem. Przed sobą i wokół siebie słyszał wąte odgłosy pełzania, a raz dobiegło go echo tego samego piekielnego śmiechu, który znał z komnaty Akivashy. Ciął wściekle, słysząc coś lub wyobrażając sobie, że słyszy, i w którymś momencie poczuł pod ostrzem podatną wiotką materię, którą mogły być zbite pajęczyny. Miał doprowadzające do rozpaczycy uczucie, że jest ofiarą igraszek, że jest wabiony coraz głębiej w mrok ostatecznej nocy, gdzie rozprawi się z nim na koniec demoniczny kiel i szpon.

Oprócz lęku prześladowała go przyprawiająca o mdłości odraza, wynikała z prawdy, którą odkrył. Legenda o Akivashy była ogromnie stara, a w złowieszczych opowieściach o niej przewijał się wątek piękny i idealistyczny — mit wiecznotrwałej młodości. Dla bardzo wielu marzycieli, kochanków i poetów nie była tylko występna księżniczka ze stygijskiej legendy, ale symbolem nieśmiertelnej urody i piękna, skrzącym się po wieki w jakimś dalekim dominium bogów. On poznał odrażającą rzeczywistość. Plugawy występek był sednem wiecznego żywota. I doznawanej przez Conana fizycznej odrazie wtórował ból z unicestwienia snu o ludzkiej doskonałości, której połyskliwe złoto okazało się być błotem i ohydą. Narastało w nim poczucie daremności wszelkich poczynań, niejasny lęk przed fałszywością wszystkich ludzkich marzeń i wzorców.

I wiedział już teraz z pewnością, że słuch nie płata mu figłów. Był ścigany, a prześladowcy przybliżali się coraz bardziej. Rozbrzmieły wały w mrokach przedziwne szurania, których nie powodowały ani stopy ludzi, ani łapy zwykłych zwierząt. Odwrócił się, bo choć niczego nie mógł zobaczyć, pragnął być z nieprzyjacielem twarzą w twarz — i cofał się z wolna. Potem odgłosy zamilkły, on zaś, odwróciwszy się ponownie, dostrzegł gdzieś w głębi długiego korytarza słabą poświatę.

## 19. W SALI UMARŁYCH

Conan posuwał się ostrożnie w kierunku światła, nasłuchując, czy nie dobiegają z za jego pleców odgłosy pościgu; nie dobiegały, choć czuł, że mrok jest brzemienno rozumnym życiem.

Poświata nie trwała w miejscu — poruszała się podskakując groteskowo. Potem zobaczył jej źródło. Tunel, którym dotąd wędrował, przecinał w pewnej odległości przed nim inny, szerszy korytarz. I nim właśnie posuwała się niesamowita procesja — czterech wysokich chudych mężów w czarnych sukniach z kapturami, którzy krocząc wspierali się na kosturach. Przywódca dzierżył nad głową pochodnię siejącą osobiście równy blask. Jak zjawy przecięli jego ograniczone pole widzenia zostawiając za sobą tylko słabnącą w miarę oddalania się poświatę. Wygląd ich był nieopisanie dziwny. Nie sprawiali wrażenia Stygijczyków ani też kogokolwiek Conanowi znanego. Powątpiewał, czy są w ogóle ludźmi. Sprawiali wrażenie strzyg, skradających się upiornie po tych nawiedzonych korytarzach.

Położenia Cymmeryjczyka nic już jednak nie było w stanie pogorszyć, nim więc nieludzkie stopy za jego plecami zdołały z ponownym zapadnięciem zupełnych ciemności podjąć swój pościg, Conan pognął korytarzem. Skręcił w większy tunel i dostrzegł malejącą w oddali niesamowitą procesję ujętą w świetlny krąg. Podążył za nią bezgłośnie, ale nagle rozpląszczył się na ścianie ujrawszy, że osobiwi wędrowcy zatrzymują się i zbici w gromadkę nad czymś się naradzają. Zawrócili, jakby zamierzając wracać tą samą drogą, a Conan wsunął się w najbliższe łukowe przejście. Macając w ciemnościach, w których dobrze już sobie radził i tylko nie potrafił ich przebić wzrokiem, przekonał się, że ten tunel nie biegnie prosto, lecz szlakiem krętym. Ukrył się więc za pierwszym zakrętem, skąd nie mogło go wyłowić światło przechodzących obok wlotu niesamowitych wędrowców.

I stojąc tam usłyszał za swymi plecami niski szmer przypominający odległy zgiełk ludzkich głosów. Przesunawszy się dalej w głąb korytarza upewnił się co do tego całkowicie. Porzucił w tej sytuacji pierwotny zamiar podążania za osobiwą procesją i ruszył w kierunku głosów.

Na koniec dostrzegł przed sobą smugę światła i skręciwszy w korytarz, z którego wybiegała, zobaczył na jego przeciwległym końcu słabo rozświetlone obszerne drzwi. Po lewej stronie biegnęły w górę wąskie kamienne schody, na które wspiął się ulegając podszeptowi instynktownej ostrożności. Głosy dobiegały — z za rozświetlonych wrót, ale słaby w miarę wspinaczki, u której kresu znalazł niskie drzwi otwierające się na ogromną salę wypełnioną osobiwą fosforescencją.

Stał na mrocznej galerii zawieszanej nad pomieszczeniem o tytanicznych rozmiarach. Była to Sala Umarłych, którą prócz milczących stygijskich kapłanów widziało niewiele ludzi. Wykute w czarnym kamieniu nisze mieściły malowane i rzeźbione sarkofagi. Biegnęły te nisze wzdłuż ścian na wielu poziomach, a najwyższe z nich ginęły w mrokach zgęstniałych pod sklepieniem. Tysiące rzeźbionych masek spoglądały beznamiętnie w dół, gdzie bezradna i nieznająca wobec tej armii zmarłych stała na środku sali grupka ludzi.

Dziesięciu z nich było kapłanami, w których — choć zdjęli maski — Conan rozpoznał towarzyszy swej wędrowki do piramidy. Stali przed wysokim człowiekiem o orlich rysach, skupieni obok czarnego ołtarza, na którym spoczywała mumia w gnijących bandażach. A sam ołtarz zdawał się wznosić w sercu żywego ognia, co pulsując i migocząc siał na czarny kamień rozedrgane ogniste płatki. Ów oślepiający poblask emanował z ułożonego na ołtarzu wielkiego czerwonego klejnotu i nadawał twarzom kapłanów trupią, spopielałą bladeść. Patrząc w dół Conan poczuł nagle brzemień wszystkich długich mil, wszystkich ciężkich dni i nocy swej wyprawy, i musiał tłumić obłędne pragnienie zaatakowania milczących kapłanów, wyrąbania sobie drogi mocarnymi ciosami oręża i pochwylenia klejnotu w zakrzywione pożądaniami palce. Ale trzymał się w żelaznych korbach, przycupnąwszy w cieniu kamiennej balustrady. Rzut oka powiedział mu, że z galerii wiodą na dół przytulone do ściany i skryte w cieniu schody. Omiótł wzrokiem półmrok wielkiej nawy szukając innych kapłanów albo wiernych, lecz widział tylko grupę otaczającą ołtarz.

W ogromnej pustej przestrzeni głos wysokiego przywódcy rozbrzmiewał głośno i upiornie.

— ...I tak wieść dotarła na południe. Szeptał ją nocny wiatr, kruki wyskrzekiwały w locie, a ponure nietoperze przekazały sowom i węzom przyczajonym w prastarych ruinach. Poznały ją wilkołaki i wampiry, i polujące w mroku demony o hebanowych ciałach. Uśpiona Noc Świata poruszyła się i wstrząsnęła swą ciężką grzywą, w najgłębszych ciemnościach zadudniły bębny, a echa dalekich niesamowitych wrzasków przeraziły ludzi, co wędrowali o zmierzchu. Albowiem Serce Arymana powróciło na świat, by wypełnić swe tajemne przeznaczenie.

Nie pytajcie, jakim sposobem ja, Thutothmes z Khemi i Nocy, usłyszałem tę wieść przed Thoth–Amonem, który mieni sam siebie księciem wszystkich czarnoksiężników. Są sekrety nie przeznaczone nawet dla takich uszu jak wasze, a Thoth–Amon nie jest jedynym Mistrzem Czarnego Kręgu.

Usłyszałem ją więc ruszyłem na spotkanie Serca, które zdążyło na południe. Było jak magnes, co wiódł mnie nieomylnie. Od śmierci do śmierci wędrowało, płynąc rzeką ludzkiej krwi. Krew je krzepi, krew je przyciąga. Największą ma moc, gdy wydarte zabójstwem poprzedniemu właścicielowi spoczywa w krwawych dłoniach mordercy. Gdziekolwiek łśni — płynie krew, chwieją się królestwa, a siły natury ogarnia chaos.

I oto stoję, pan Serca, a przyzwałem potajemnie was, którzy jesteście mi wierni, aby dzielić z wami czarne

królestwo jutra. Dzisiejszej nocy będziecie przytomni rwaniu kajdanów Thoth–Amona, co nas niewolą, i narodzinom nowego imperium.

Lecz kimże jestem ja, Thutothmes, by wiedzieć, jakie kryją się moce w tych szkarłatnych głębinach? Są tam sekrety zapomniane od trzech tysięcy lat. Ale będę wiedział. Ci mi powiedzą!

I ukazał rzędy milczących sarkofagów.

— Patrzcie, jak śpią, spozierając oczyma swych marmurowych masek. Królowie i królowe, wodzowie i kapłani, czarnoksiężnicy i arystokraci Stygii — z otchłani dziesięcin tysięcy lat! Dotyk Serca zbudzi ich z odwiecznego snu. Długo, bardzo długo pulsowało Serce i biło w starożytnej Stygii. Tu był jego dom przez wiele stuleci, zanim przeniosło się do Acheronu. Starożytni znali jego pełną moc i opowiedzą mi o niej, gdy przywrócę im życie, by się dla mnie trudzili.

Poruszę ich, rozbudzę, by posiąść zapomnianą mądrość, wiedzę zamkniętą w tych murszejących czaszkach. I tajemnicą martwych zniewolimy żywych! Takim sposobem królowie, wodzowie i czarnoksiężnicy przeszłości będą pomocnikami naszymi i rabami. Któż nam się oprze!

Patrzcie! Ten wyschły, skurczony zewłok na ołtarza był niegdyś Thothmekrim, arcykapłanem Seta, i zmarł trzy tysiące lat temu. Był wtajemniczonym Czarnego Kręgu i znał Serce. Powie nam o jego mocach!

Uniółszy wielki klejnot położył go na pomarszczonej piersi mumii i uniół dłoń rozpoczynając inkantacje. Ale nigdy ich nie dokończył. Zastygł z uniesioną ręką i rozchyłonymi ustami patrząc gdzieś za plecy akolitów, a ci odwrócili się w miejscach, by podążyć za jego spojrzeniem.

Przez czarny łuk drzwi do wielkiej sali wkroczyły cztery wychudłe postaci w czerni. W cieniu kapturów ich twarze były niewyraźnymi żółtymi owalami.

— Kim jesteście? — wyrzucił z siebie Thutothmes głosem równie przerażającym jak syk kobry. — Czyście szaleni, że się wdzieracie do uświęconego przybytku Seta?

Głosem równie bezbarwnym jak khitajski dzwon świątynny odpowiedział najwyższy z przybyszów:

— Ścigamy Conana z Aquilonii.

— Tu go nie ma — odparł Thutothmes i jak pantera obnażająca pazury osobiwym groźnym gestem strząsnął płaszcz z prawego ramienia.

— Kłamiesz. Jest w tej świątyni. Tropiliśmy go od trupa w wejściowym portalu piramidy przez cały labirynt korytarzy. Szliśmy jego pokrętnym szlakiem, gdy odkryliśmy to zgromadzenie. Wnet podejmiemy pościg. Ale pierwej daj nam Serce Arymana.

— Śmierć jest udziałem szaleńców — mruknął Thutothmes przysuwając się do mówiącego. Jego kapłani czynili bezgłośnie to samo, ale przybysze zdawali się tym nie przejmować.

— Któż mógłby patrzeć na nie bez pożądliwości? — rzekł Khitajczyk. — Słyszeliśmy o Sercu w naszym kraju. Da nam przewagę nad ludźmi, co nas wygnali. Cuda i wspaniałości drzemią w jego szkarłatnych głębinach. Oddaj je, nim cię zabijemy.

Rozległ się dziki wrzask, gdy jeden z kapłanów skoczył z błyskiem stali. Nim jednak zdołał zadać cios, wystrzeliła okryta łuskami laska, dotknęła jego piersi, on zaś z miejsca padł trupem. I w tej samej chwili stały się mumie świadkami sceny krwawej i okropnej. Błyskały, kryjąc się szkarłatem, zakrzywione sztylety, cętkowane laski uderzały jak węże, a ilekroć trafiły człowieka, ów walił się z krzykiem i ginął.

Gdy został zadany pierwszy cios, Conan poderwał się i popędził schodami na dół. Tylko kątem oka widział tę krótką, szatańską walkę — ludzi chwiejących się, zwartych w boju, ociekających krwią; widział jednego z Khitajczyków dosłownie porzniętego w kawałki i takiego, co wciąż stojąc na nogach rozdawał śmierć, gdy Thutothmes uderzył go w pierś rozwartą nagą dłonią i w okamgnieniu zabił, choć nagiej stali nie było przedtem dość, żeby zniszczyć jego nadludzką żywotność.

W momencie, gdy rozpędzone stopy Conana zeskakiwały z ostatnich schodów, walka była niemal skończona. Trzech pociętych na dzwona i spatroszonych Khitajczyków legło, ale ze Stygijczyków tylko Thutothmes stał na własnych nogach.

Rzucił się na ostatniego z przybyszów unosząc jak oręż, czarną, pustą dłoń, ale zanim zdołał uderzyć, wystrzeliła laska wysokiego Khitajczyka i jakby wydłużając się dotknęła brzucha kapłana. Ten zachwiał się; laska uderzyła jeszcze, raz i jeszcze raz, aż Thutothmes potknął się i upadł martwy. Plamy czerni pojawiły się nagle na jego obliczu i rozlawszy się jak powódź nadały całemu ciału hebanowy kolor zaczarowanej dłoni.

Khitajczyk ruszył ku płonącemu na piersi mumii klejnotowi, ale Conan go uprzedził.

Wśród jatek, pod kamiennym spojrzeniem wykutych na sarkofagach oczu, patrzyli na siebie w pełnym napięcia milczeniu.

— Ach, król Aquilonii, długo za tobą podążałem — spokojnie ozwał się Khitajczyk. — Wielką rzeką, przez góry, w poprzek Poitain i Zingary, przez wzgórze Argos, a potem wzdłuż wybrzeża. Niełatwo było podjąć w Tarantii twój trop, albowiem kapłani Asury są sprytni. Straciliśmy go w Zingarze, ale znaleźliśmy twój hełm w lasach u granicznych wzgórz, gdzieś walczył z gulami. I niemal zgubiliśmy ślad dzisiejszej nocy, w tych labiryntach.

Conan pomyślał, że miał szczęście opuszczając komna tę wampirzycy innym korytarzem niż go tam wprowadzono. W przeciwnym bowiem razie byłby wpadł na te żółte demony miast ujrzeć je z daleka, podążające jego tropem jak ludzkie ogary wiedzione Crom wie jakim niesamowitym węchem.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

Khitajczyk nieznacznie pokręcił głową, jakby odczytawszy jego myśli.

— Wszystko nie ma znaczenia; tu pościg się kończy.

— Czemuście mnie tropili? — zapytał Conan, gotów do błyskawicznego manewru w którąkolwiek stronę.

— Był to dług do spłacenia — odparł Khitajczyk. — Przed tobą, który masz umrzeć, rzeczy tej nie ukryję. Jesteśmy wasalami Valeriusa, króla Aquilonii. Długo mu służyliśmy, lecz od powinności naszych jesteście już wolni — bracia moi przez śmierć, ja przez spełnienie misji. Wróć do Aquilonii z dwoma sercami; Sercem Arymana dla siebie i sercem Conana dla Valeriusa. Pocałunek łaski wyciętej z żywego Drzewa Śmierci...

Kostur strzelił jak atakująca żmija, ale cięcie Conanowego noża było szybsze. Łaska upadła w dwóch wijących się częściach, potem raz jeszcze załśniła błyskawicowo stal i głowa Khitajczyka potoczyła się na posadzkę.

Conan obrócił się na pięcie i wyciągnął dłoń po klejnot... a potem ze zjeżonym włosom i lodowaciejącą w żyłach krwią szarpnął się do tyłu.

Bo na ołtarzu nie spoczywało już zbrązowiałe wyschnięte truchło. Klejnot migotał na pełnej sklepionej piersi nagiego żywego człowieka otoczonego strzępami gnijących bandaży. Żywego? Conan nie był do końca pewien. W głębi ciemnych szklistych oczu migotały nieludzkie ponure światła.

Ujmując klejnot w dłoń wskrzeszony powoli wstał: smagły, nagi, o twarzy jak oblicze rzeźby. W milczeniu wyciągnął ku Conanowi dłoń, w której jak żywe serce pulsował Kamień. Conan go przyjął mając niesamowite uczucie, że otrzymuje dar z dłoni trupa. Pojął jakoś, że nie rzucono właściwych zaklęć, nie doprowadzono rytuału do końca... i życie nie w pełni wróciło do ciała.

— Kim jesteś? — zapytał.

Odpowiedź została wyrzeczona bezbarwnym głosem przypominającym kapanie kropli wody ze stalaktytów w podziemnej pieczarze.

— Byłem Thothmekrim: jestem martwy.

— No to wyprowadź mnie z tej przeklętej świątyni — zażądał Conan, a jego skórę przebiegł dreszcz.

Równym mechanicznym krokiem zmarły ruszył ku bukowemu wyjściu. Conan podążał za nim obejrzawszy się jeszcze raz na mroczny ogrom sali z jej szeregami sarkofagów, zwłokami rozciągniętymi wokół ołtarza i głową Khitajczyka spoglądającą niewidzącymi oczyma na wędrujące cienie.

Blask klejnotu rozświetlał czarne tunele jak roniąca złote krople lampa magiczna. Raz dostrzegł Conan w mrokach błysk alabastrowego ciała mając przekonanie, że to wampirzyca, co była Akivashą, cofa się przed lśnieniem Serca; razem z nią rozplynęły się w ciemności inne, mniej ludzkie postaci.

Zmarły podążał wprost przed siebie, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo. Zimny pot perlił się obficie na ciele Conana, którego jąły opadać niepokojące wątpliwości. Jaką może mieć pewność, że ta okropna zjawa z przeszłości prowadzi go ku swobodzie? Ale wiedział również, iż zdany na własne siły nie rozwikła nigdy oszłamiającej plątaniny korytarzy i tuneli. Więc podążał ze swym straszonym przewodnikiem przez ciemności, co pełne zmykających przed blaskiem Serca okropieństw były przed nim i za nim.

A potem znalazł się przed wrotami z brązu, poczuł nocny pustynny wiatr, zobaczył gwiazdy i zalaną ich blaskiem pustynię, na której kładł się olbrzymi czarny cień piramidy. Thothmekri w milczeniu ukazał przed siebie, a potem zawrócił i znów pograżył się w mroku. Conan patrzył w ślad za oddalającą się bezgłośnie postacią, kroczącą tak; pewnie jak ktoś, kto wie, że zmierza ku nieodwracalnej zagładzie lub wraca do wiecznego snu.

Z przekleństwem na ustach Cymmeryjczyk wypadł z portalu i pognał przez pustynię, jakby ścigały go demony. Nawet się nie obejrzał na piramidę czy wypiętrzone w dali niewyraźne czarne wieżycy Khemi. Skierował się ku wybrzeżu i biegł jak człowiek gnany niepohamowaną paniką. Wysięk oczyścił jego umysł z czarnych pajęczyn, czysty pustynny wiatr wywiał z duszy koszmara, a odraza przemieniła się w szaleńcze uczucie triumfu, jeszcze zanim pustynia ustąpiła miejsca plątaninie bagiennej roślinności, przez którą dostrzegł czarną wodę zatoczki i stojącego na kotwicy „Śmiałka”.

Brodząc po pas w grzęzawisku dotarł do głębszej wody, gdzie niebaczny na rekiny czy krokodyle dał nura i popłynął do galery. Ociekający wodą i rozradowany piął się po łańcuchu kotwicznym na pokład, gdy spostrzegła go wachta.

— Budzić się, psy! — ryknął odpychając włócznię, którą oszołomiony wartownik skierował w jego pierś. — Podnieść kotwicę! Koniec postoju! Dać rybakowi hełm pełen złota i na brzeg z nim! Wkrótce świt, a jeszcze przed wschodem musimy gnać do najbliższego portu Zingary!

Toczył nad głową olbrzymim klejnotem, który rzucał na pokład plamy złocistego blasku.

## 20. I POWSTANIE Z PROCHU ACHERON

Z Aquilonii odeszła zima. Z gałęzi drzew wystrzeliły liście, a młoda trawa uśmiechnęła się pod dotknięciem ciepłych wiatrów z południa. Wiele jednak pól leżało ugorem, niejeden stos poczerniałego popiołu znaczył miejsce, gdzie niegdyś wznosiła się dumna rezydencja albo kwitnące miasto. Wilki otwarcie polowały wzdłuż zarosłych trawą dróg, a przez lasy przemykały bandy wychudzonych, bezdomnych ludzi. Tylko w Tarantii widziało się uczyty, bogactwo i Przepych.



Valerius władał jak człowiek ogarnięty szaleństwem. Na koniec podniosło przeciw niemu wrzask wielu nawet tych baronów, którzy zrazu radzi byli z jego powrotu. Jego poborcy podatkowi niszczyli na równi bogatych i biednych, a dostatki z łupionego królestwa spływały do Tarantii, która przestała przypominać stolicę, czyniąc raczej pozór garnizonu zdobywców w sercu pobitej krainy. Kupcom wiodło się dobrze, ale powodzenie to było niepewne, nikt bowiem nie znał dnia, w którym oskarżony o zdradę na podstawie sfalszowanych dowodów skończy w lochu albo na katowskim pniaku, pozbawiony uprzednio majątku mocą konfiskaty.

Valerius nie czynił żadnej próby zjednania sobie poddanych. Utrzymywał się u władzy siłą nemedyjskiego żołdactwa i gotowych na wszystko najemników. Wiedział, że jest marionetką Amalrica, i rządzi tylko dlatego, że go Nemedyczyk toleruje. Pojmował, że nawet śnić nie może o zjednoczeniu Aquilonii pod własnym berłem i rzuceniu jarzma obcych panów, bo po pierwsze — prowincje przygraniczne będą się przed nim bronić do ostatniej kropli krwi, a po wtóre — sami Nemedyczyk zrzucą go bezzwłocznie z tronu, gdy pojmą, że podejmuje próby scalenia królestwa. Wpadł w sidła własnych występków i z duszą zżeraną przez gorzyc urażonej dumy rzucił się w otchłań hulanki jak człowiek żyjący z dnia na dzień bez szczypty troski o jutro.

A przecież była metoda w jego szaleństwie i to tak głęboko ukryta, że nie podejrzewał jej nawet Amalric. Może obłądne chaotyczne lata wygnańczych wędrówek przesycały go większą od zwykłej gorzycą i może wzdarga wobec teraz zajmowanej przez się pozycji gorzyc tę przekształciła w rodzaj szaleństwa. W każdym bądź razie żył z jednym tylko pragnieniem: przywieść do upadku wszystkich, którzy są z nim sprzymierzyli,

Wiedział, iż jego rządy dobiegną kresu w tym samym momencie, gdy Amalric uzna, że spełnił swe zadanie; wiedział również, iż dopóki będzie uciskał swą ojczyznę, Nemedyczyk go ścierpi. Amalric bowiem pragnął doszczętnie unicestwić niezależność Aquilonii, pogrążyć ją w zupełnej zawistości, by na koniec zagarnąć dla siebie, z pomocą olbrzymiej swej fortuny odbudować wedle własnego widzimisię, a wreszcie użyć jej ludu i zasobów do wydarcia z rąk Tarascusa nemedyjskiej korony. Albowiem tron cesarski był ostatecznym celem Amalricowych ambicji i Valerius zdawał sobie z tego sprawę. Nie był pewien, czy i Tarascus żywi jakieś podejrzenia, orientował się jednak, iż król Nemedii akceptuje bezlitosną politykę wobec Aquilonii, odczuwa bowiem wobec niej taką nienawiść, jaką rodzą zastarzałe wojny. Pragnął jedynie zniszczenia zachodniego sąsiada.

A Valerius chciał kraj zniszczyć tak całkowicie, by nie zdołała go odbudować nawet fortuna Amalrica. Nienawidził barona równie mocno jak Aquilonczyków i żywił tylko nadzieję, że doczeka dnia, w którym Aquilonia legnie w zupełnych ruinach, a Tarascus i Amalric zewrą się w beznadziejnej wojnie domowej, co równie kompletnie zniszczy Nemedię.

Był przekonany, że podbój wciąż opornych prowincji — a więc Poitain, Gunderlandii i pogranicza bossońskiego — oznaczy kres jego władzy królewskiej. Spełni bowiem wówczas ostatecznie zamierzenia Amalrica i stanie się niepotrzebny. Zwlekał więc z podbojem owych dzielnic ograniczając swe działania do chaotycznych wypadów i najazdów, a przynaglenia, których Amalric mu nie skąpił, zbywał wszechmożliwymi zastrzeżeniami i wątpliwościami.

Jego życie było jednym ciągiem uczt i dzikich orgii. Zapelniał pałac najpiękniejszymi dziewczętami królestwa, za ich zgodą lub bez niej. Błuznił bogom i padał zapity na posadzkę sali biesiadnej w koronie i splamionych winem purpurowych szatach królewskich. W napadach krwiożerczego szału ozdabiał szubienice na rynku festonami ciał, zapędzał do nieustannej roboty topory katowskie i stał ze stolicy swych nemedyjskich jeźdźców z niszczycielską misją. Doprowadzony do rozpaczony kraj był w stanie ciągłych, bezwzględnie tłumionych zamieszek. Valerius łupił, gwałcił i obracał w perzynę, aż zaprotestował nawet Amalric, który nie znając prawdziwych zamysłów sprzymierzeńca ostrzegwał, że Aquilonia może popaść w nieodwracalną nędzę.

Gdy tak w Aquilonii, jak w Nemedii rozprawiano o szaleństwie króla, lud nemedyjski miał jeszcze jeden stały temat rozmów — Xaltotuna, męża w masce. Nieczęsto widywano go na ulicach Belverusu; opowiadano, że wiele czasu spędza w górach na osobliwych naradach z niedobitkami prastarego ludu, ciemnymi, milkliwymi mężami, którzy chętnie się pochodzeniem od mieszkańców pewnego starożytnego królestwa. Szeptano o bębnach dudniących wśród uspiomych wzgórz, o rozjaśniających mroki ogniach, o niesionych wiatrem osobliwych śpiewach, o zaklęciach i rytuałach, które zapomniane wiele stuleci temu przetrwały tylko jako pozbawione sensu formuły mamrotane przy ogniskach górskich wiosek zamieszkałych przez ludzi odmiennych niż ludzie z dolin.

Nikt nie znał powodu owych spotkań, z wyjątkiem może Orastesy, który z coraz mniej przytomnym wyrazem oblicza towarzyszył często Pythonijczykowi.

Ale w pełni wiosny przebiegł przez ginące królestwo szept, co obudził kraj do aktywniejszego życia. Jak lekki wiatr nadbiegł z południa i rozbudził ludzi pogrążonych w bezdennej rozpaczony. Nikt nie umiał z pewnością powiedzieć, skąd się naprawdę wziął. Jedni prawili o dziwnej posępnej staruszce, co z rozwianym włosami i stąpającym u swego boku jak pies wielkim szarym wilkiem przyszła z gór. Inni szeptali o kapłanach Asury, którzy jak nieuchwytnie zjawy przemykali z Gunderlandii do Poitain i leśnych wiosek Bossonii.

Jakkolwiek przenosiły się wieści, powstanie na pograniczach rozpało się jak pożar. Oblężono i wybito do nogi dalsze garnizony nemedyjskie, rozbijano oddziały zaopatrzenia; zachód podniósł bunt, który miał odmienny charakter niż dawniejsze rewolty — ich gorączkowa rozpacz ustąpiła miejsca wścieklej

determinacji i ukierunkowanemu gniewowi. Wystąpił nie tylko prosty lud; baronowie umacniali zamki i ślali wyzwania gubernatorom prowincji. Widziano przemieszczenia oddziałów bossońskich wzdłuż pogranicza — maszerowali krępi, odważni mężczyźni w stalowych czepcach i łuskowych półpancerzach, dzierżąc w garściach olbrzymie łuki. Z bełzadu, upadku i ruiny wyłaniał się raptownie kraj pełen życia, rozgorączkowany i groźny. Amalric posłał więc pospiesznie po Tarascusa, który wkrótce przybył na czele armii.

W królewskim pałacu w Tarantii dwaj władcy i Amalric omawiali powstanie. Nie przyzwali Xaltotuna oddającego się w górach nemedyskich swym tajemniczym studiom. Od owego krwawego dnia w dolinie Valkii nie żądali odeń pomocy magicznej, on zaś usunął się na bok i z pozoru obojętny wobec ich intryg, rzadko się z nimi spotykał.

Nie posłali również po Orastesę, który jednak przybył — błąd jak niesiona sztormem piana. Stał w złociście sklepionej komnacie, oni zaś w zdumieniu spostrzegli jego wynędzniałe oblicze zdradzające lęk, o który nigdy by kapłana nie podejrzewali.

— Strudzony jesteś, Orastesie — rzekł Amalric. — Spocznij na sofie, a ja każę niewolnikowi przynieść ci wina. Ciężką miałeś podróż...

Orastes machnięciem dłoni zbył zaproszenie.

— Trzy konie padły pode mną w drodze z Belverusu. Nie będę pić ani odpoczywać, nim nie rzeknę, co mam do powiedzenia.

Jakby dręczony wewnętrznym ogniem, co nie pozwala mu trwać w bezruchu, chodził w kółko, by wreszcie zatrzymać się przed współnikami.

— Gdyśmy użyli Serca Arymana, aby umarłemu przywrócić życie — powiedział nagle — nie zważyliśmy konsekwencji poruszenia czarnych pyłów przeszłości. Wina moja i grzech mój. Myśleliśmy tylko o naszych ambicjach nie zwracając uwagi na ambicje, które może mieć wskrzeszony. I wypuściliśmy na świat demona, szatana nad ludzkie pojęcie. Głęboko pograżyłem się w zło, ale tu także jest granica, której ani ja, ani też nikt inny mojej rasy i z moich czasów przekroczyć nie może. Przodkowie moi byli zwykłymi ludźmi, bez szatańskich przymieszek, i tylko ja zestąpiłem w otchłanie, grzesząc wszelako do granic, jakie zostały dane mojej osobie. A za Xaltotunem leży tysiąc stuleci czarnej magii i diabolizmu, cała starożytna występna tradycja. Nie jesteśmy go w stanie pojąć nie tylko dlatego, że jest czarnoksiężnikiem, ale dlatego, że jest dziedzicem ludu czarnoksiężników.

Widziałem rzeczy, co poraziły mą duszę. W sercu uspiionych gór widziałem Xaltotuna obcującego z duszami potępionych, przywołującego prastare demony zapomnianego Acheronu. Widziałem, jak mu oddają cześć przekłete niedobitki przekłętego imperium, jak okrzykują go swym arcykapłanem. I widziałem, co knuje — powiadam wam: ni mniej, ni więcej, a wskrzeszenie starożytnego potwornego królestwa Acheron!

— Co masz na myśli? — zapytał Amalric. — Acheron legł w prochu. Nie dość przetrwało Acherofczyków, by stworzyć imperium. Nawet Xaltotun nie zdoła oblec w żywy kształt prochów, co mają trzy tysiące lat!

— Mało wicie o czarnych mocach — odparł posępnie Orastes. — Widziałem, jak pod jego zaklęciem nawet góry przybierają kształt osobliwie nieziemski i pradawny. Dostrzegłem, niczym cienie rzeczy namacalnych, mgliste kontury dolin, lasów i rzek i to nie w dzisiejszej postaci, a takiej, jaką miały u przedświtów czasów teraźniejszych... wyczułem też raczej, niż zobaczyłem migocące jak skupiska mgieł w przedwiecznym powietrzu purpurowe wieżycy zapomnianego Pythonu.

I podczas ostatniego sabatu, na którym mu towarzyszyłem, spłynęło na mnie, gdy biły bębny, a jego potworni wyznawcy skowycieli osypując głowy prochem, ostateczne zrozumienie całej tej magii. Powiadam wam, że swymi czarami, potężnym zaklęciem ukrzepionym taką ofiarą krwi, jakiej nie było, wskrzesi Acheron. Zniewoli świat i powodzią krwi zmyje teraźniejszość, by przywrócić przeszłość!

— Jesteś szalony! — zakrzyknął Tarascus.

— Szalony? — Orastes zwrócił nań zmęczone spojrzenie. — Czy ktokolwiek, zobaczywszy to, co ja widziałem, może zachować zdrowe zmysły? A przecież mówię prawdę. Planuje przywrócić Acheron — z jego wieżycami, czarnoksiężnikami, królami i potwornościami, taki sam jak przed laty. Niedobitki Acheronu posłużą mu za szkielet, ale to krew i ciała ludzi świata dzisiejszego staną się wapnem i kamieniem na wzniesienie budowli. Nie powiem wam, jak to uczyni. W głowie mi się kręci, gdy to próbuję pojąć. Ale widziałem! Acheron znów będzie Acheronem i nawet góry, lasy, rzeki przybiorą swą dawniejszą postać. Czemu nie? Jeśli ja, z moim skromnym zasobem wiedzy, zdołałem wskrzesić człeka martwego od trzech tysięcy lat, czemużby największy czarnoksiężnik świata nie zdołał uczynić tego samego z królestwem martwym od trzech tysięcy lat? Powstanie z prochu Acheron na jego rozkaz.

— Jak możemy pokrzyżować mu plany? — zapytał przejęty Tarascus.

— Jest tylko jeden sposób — odparł Orastes. — Musimy mu skraść Serce Arymana!

— Ale ja... zaczął Tarascus odruchowo, lecz zaraz zamknął usta.

Nikt na to nie zwrócił uwagi, Orastes zaś ciągnął:

— To siła, której można użyć przeciwko niemu. Mając ją w ręku zdołam stawić mu czoła. Ale jak skradniemy Serce? Ukrył je w sekretnej jakimś miejscu, skąd nie zdoła go wydobyć nawet zamoryjski złodziej. Nie wiem, jakie to miejsce. Ach, gdyby tylko zasnął znowu snem czarnego lotosu... ale ostatnim razem zażył go jeszcze po bitwie valkijskiej, strudzony potężnymi czarami, jakie tam rzucił, i...

Drzwi — zamknięte i zaryglowane — otworzyły się bezgłośnie i stanął przed nimi Xaltotun: milczący, spokojny, gładził swą patriarszą brodę, ale w jego oczach migotały ognie piekieł.

— Zbyt wiele przekazałem ci wiedzy — powiedział beznamiętnie, kierując ku Orastesowi palec jak zapowiedź zagłady. I nim ktokolwiek zdołał się poruszyć, rzucił do nogi skamieniałego kapłana garstkę pyłu. Zetknąwszy się z posadzką pył zajął się płomieniem, a smużka dymu uniosła się ku górze spowijając Orastes a smukłą spiralą. Gdy sięgnęła jego ramion, owinęła się wokół szyi nieszczęśnika z gwałtownością atakującego węża, a wrzask Orastes a przemienił się w charkot. Jego ręce poderwały się do szyi, oczy wyszły z orbit, a język wypelżył z ust. Dym dławił go jak błękitny, stryczek — potem zbladł i zginął, a martwy Orastes osunął się na posadzkę.

Xaltotun klasnął w dłonie i do komnaty weszło dwóch ludzi, których widywano często w towarzystwie czarnoksiężnika — byli niscy, odrażająco ciemnoskórzy, o czerwonych skośnych oczach i ostrych szczurzych zębach. Bez słowa chwycili ciało, żeby je wynieść.

Kwitując całe wydarzenie machnięciem dłoni, Xaltotun zasiadł obok pobladył królów przy stole z kości słoniowej.

— Jaki jest powód waszego zgromadzenia? — zapytał.

— Aquilończycy wszczęli na zachodzie powstanie — odparł Amalric odzyskując równowagę po szoku, jaki stanowiła dlań śmierć Orastes a. — Głupcy wierzą, iż Conan żyje i powraca na czele armii poitańskiej, żeby odzyskać królestwo. Gdyby pojawił się bezzwłocznie po potrzebie valkijskiej albo gdyby rozpowszechniano wówczas pogłoski, że żyje, centralne prowincje nie byłyby powstały, lękając się twojej potęgi. Ale do takiej ostateczności doprowadziły ich okrutne rządy Valerius a, że gotowi są pójść za każdym, kto ich powiezie przeciwko nam, przekładając szybką śmierć nad tortury i nędzę.

Oczywiście opowieść, że Conan nie został naprawdę nabity nad Valkią, powracała w kraju z uporem, ale dopiero ostatnio lud w nią uwierzył. Pallantides wrócił z wygnania w Ophirze i klnie się, że król leżał owego dnia chory w namiocie, a zbroję jego miał na sobie jeden z rycerzy, giermek zaś, co niedawno dopiero doszedł do siebie po otrzymanym wówczas ciosie maczugą, historię tę potwierdza — w zgodzie z prawdą albo w niezgodzie.

Wędruje też po kraju starucha z oswojonym wilkiem i gada, że król Conan wciąż jest wśród żywych i powróci pewnego dnia, żeby upomnieć się o koronę. A ostatnimi czasy również przekłeci kapłani Asury wyśpiewują tę samą piosenkę. Utrzymują, iż sekretnymi kanałami dotarła do nich wieść o nadejściu Conana. Ani wiemy, ani kapłanów schwycić nie zdołaliśmy. Cała rzecz, oczywiście, to sztuczka Trocera. Mówią mi szpiedzy, iż są niepodważalne dowody, że Poitańczycy gromadzą się, by dokonać inwazji Aquilonii. Moim zdaniem Trocero przywieździe jakiegoś samozwańca, którego okrzyknie Conanem.

Tarascus roześmiał się bez przekonania. Ukradkiem pomacał szramę pod kaftanem i przypomniał sobie kruki skrzeczące na tropie uciekiniera, a także przywiezione z pogranicznych gór ciało swego giermka Arideusa, okrutnie zmasakrowane przez, jak mówili przerażeni żołnierze, ogromnego wilka. Przypomniał sobie także skradziony ze złotej skrzyni podczas snu czarnoksiężnika klejnot. Ale nic nie powiedział.

Valerius pomyślał natomiast o napawającej lękiem relacji wykrztuszonej przez umierającego dworzanina i o czterech Khitajczykach, co zniknęli w labiryntach południa, by nigdy nie wrócić. Lecz trzymał język za zębami, bo nienawiść i podejrzliwość wobec sprzymierzeńców gryzły go niby czerw i niczego nie pożądał bardziej niż dnia, w którym, zobaczy Nemedyczyków i rebeliantów zdychających pospół w śmiertelnym zwarciu. Ale Amalric zakrzyknął: — Sądzić, że Conan żyje, to bzdura!

Zamiast odpowiedzi Xaltotun cisnął na swój stół zwój pergaminu. Amalric chwycił go, obejrzał i z jego ust wyrwał się wściekły nieopanowany okrzyk. Przeczytał bowiem:

„Do Xaltotuna, arcyfakira Nemedii: acheronki kundlu, wracam do swego królestwa, a z twej skóry zamierzam uczynić bęben. Conan.”

— Fałszerstwo! — krzyknął Amalric.

Xaltotun pokręcił głową.

— Pismo jest prawdziwe. Porównałem je z podpisami na dokumentach królewskich, które odnalazłem w kancelarii. Tej zamasztyści nikt nie podrobi.

— Jeśli więc żyje — wymamrotał Amalric — powstanie to będzie odmienne od dawniejszych, ze wszystkich bowiem żyjących mężów tylko Conan zdoła zjednoczyć Aquilończyków. Ale — wystąpił z zastrzeżeniem — niepodobna to rzecz do Conana, żeby z chępliwości miał nas ostrzec. Człek by raczej myślał, że sposobem barbarzyńców zaatakuję znienacka.

— I tak byliśmy ostrzeżeni — zauważył Xaltotun. — Nasi szpiedzy mówili o przygotowaniach wojennych w Poitain. Nie zdołałby przeprowadzić się przez góry potajemnie, więc w sposób charakterystyczny posłał mi wyzwanie.

— Dlaczego tobie? — zapytał Valerius. — Dlaczego nie mnie albo Tarascusowi?

Xaltotun omiół króla swym nieodgadnionym spojrzeniem.

— Bo jest od was mądrzejszy — powiedział w końcu.

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Bo wie już to, czego wy, królowie, musicie się dopiero nauczyć — że mianowicie nie Tarascus, nie Valerius i nie Amalric jest prawdziwym władcą narodów zachodu, a Xaltotun.

Nic nie odrzekli; patrzyli nań w osłupieniu, odrętwiali od wynikającej z jego słów prawdy.

— Nie ma przede mną innej drogi prócz imperialnej — rzekł Xaltotun. — Ale najpierw musimy zmiażdżyć Conana. Nie wiem, jak umknął z Belverusu, albowiem wiedza o wydarzeniach zaistniałych podczas mego lotosowego snu nie jest mi dana. Ale przebywa na południu gromadząc armię. To jego ostatni rozpaczliwy atak, możliwy tylko dzięki desperacji ludzi doprowadzonych do ostateczności Valeriusowymi rządami. Niechaj się buntują; trzymam ich wszystkich w garści. Zaczekamy, aż wystąpi przeciwko nam, a potem unicestwimy go na wieki.

Później zgnieciemy Poitain, Gunderlandię i tych durnych Bossończyków. Potem Ophir, Zingarę, Argos, Koth — wszystkie narody scalimy w jedno olbrzymie imperium. Władac będziecie jako moi satrapowie, potężniejsi w tej roli od dzisiejszych królów. Niepokonany jestem, albowiem Serce Arymana zostało ukryte i żaden człowiek nie zdoła go obrócić przeciwko mnie.

Tarascus unikał wzroku czarnoksiężnika, by ten nie zdołał odczytać jego myśli, zrozumiał bowiem, że ukrywając klejnot w złotym puzdrze rzeźbionym w śpiące węże, czarnoksiężnik więcej tam nie zaglądał. Jakkolwiek wydawałoby się to dziwne, Xaltotun nie miał pojęcia, że Serce zostało skradzione; osobliwy klejnot trwał poza kręgiem jego mrocznej wiedzy lub może ponad nim i nawet niesamowite zdolności Acheronczyka nie ostrzegły go, że skrytka jest pusta. Tarascus nie sądził, by Xaltotun mógł wiedzieć o wszystkich Orastesowych rewelacjach, gdyż nawet nie wspominał o wskrzeszeniu ojczystego królestwa, a tylko o zbudowaniu nowego, ziemskiego. I uważał też, iż Xaltotun nie jest zupełnie pewien swej potęgi — tak, jak oni potrzebowali jego pomocy w realizacji swoich planów, tak on potrzebował ich. Magia, przynajmniej w pewnym zakresie, musiała się wspierać na ciosach mieczów i pchnięciach włóczni. Król zrozumiał rzucone sobie ukradkowe spojrzenie Amalrica: niechaj czarnoksiężnik użyje swych sztuczek, by pomóc im pokonać najgroźniejszego wroga — dość będzie czasu, by zwrócić się i przeciwko niemu. Może znajdzie się jeszcze sposób, by okpić te czarne siły, które przyzwali...

## 21. ZŁOWIESZCZE WERBLE

Wojna stała się faktem, gdy dziesięcioletnia, migocąca stałą armia poitaińska przebyła z powiewającymi sztandarami południowe przełęcz. A na jej czele, przysięgali szpiedzy, jechał olbrzym w czarnej zbroi z lwem Aquilonii wyhaftowanym złotem na jedwabiu bogatej juki. Conan żył! Król żył! Nie pozostała już żadna wątpliwość w ludzkich sercach — zarówno wrogich, jak i przyjaznych.

W tym samym czasie co wieść o inwazji z Poitain, przyszła dostarczona przez jadących dniem i nocą kurierów nowina, że ruszyła ku południowi wzmocniona przez baronów z północnego zachodu i Bossończyków z północy armia gunderaska. Tarascus na czele trzydziestu jeden tysięcy żołnierzy pomaszerał do Galparan nad rzeką Shirki, którą Gunderowie musieli sforsować, aby uderzyć na zamki wciąż znajdujące się w rękach nemedijskich. Shirki była rwącą burzliwą rzeką gnającą ku południowemu zachodowi przez skaliste przełomy i kaniony, i tylko w kilku miejscach mogła się przez nią w porze wiosennego przyboru wód przepawić armia. Cały kraj na wschód od Shirki pozostawał w rękach Nemedyczyków i logiczny był wniosek, iż Gunderowie spróbują przeprawy albo w Galparan, albo leżącym dalej na południe Tanasul. Z dnia na dzień Tarascus oczekiwał posiłków z Nemedii, aż na koniec przyszła wieść, iż król Ophiru czyni wrogie demonstracje na południowej granicy Nemedii, tak więc wysłanie choćby jednego więcej oddziału może narazić kraj na inwazję z tego kierunku.

Amalric i Valerius opuścili Tarantię z dwudziestopięcioletnim wojskiem, obsadzając stolicę takim garnizonem, jaki uznali za dostateczny dla zdławienia możliwej rewolty. Pragnęli zetrzeć się z Conanem i zniszczyć go, zanim dołączą doń buntownicze siły królestwa.

Król wraz z Poitaińczykami przekroczył wprawdzie góry, ale nie doszło do żadnych starć, ataków na miasta czy też oblężenia twierdz. Conan pojawił się i zniknął. Z pozorów skręcił na zachód, by po przebyciu dzikich, rzadko zaludnionych obszarów górskich wkroczyć na pogranicze bossońskie zbierając po drodze ochotników. Amalric i Valerius na czele swej armii złożonej z Nemedyczyków, renegatów Aquilońskich i dzikich najemników miotali się po kraju w pełnym oszołomieniu gniewie, szukając nieprzyjaciela, który się nie zjawiał.

Amalric przekonał się, że nie ma sposobu zdobycia innych niż mętne i ogólnikowe informacje o przemieszczeniach Conana. Zwykłą było rzeczą, iż podjazdy wyruszały, żeby już nie wrócić, zwykły był widok szpiega ukrzyżowanego na dębie. Powstała wieść i uderzała tak, jak bije prosty lud — brutalnie, zabójczo i potajemnie. Amalric wiedział z pewnością tylko to, że znaczna siła Gunderów i północnych Bossończyków znajduje się gdzieś na południe od niego na drugim brzegu Shirki, i że Conan z mniejszą armią Poitaińczyków i południowych Bossończyków jest gdzieś na południowy zachód od jego wojska.

Zaczął się obawiać, iż jeśli posuną się z Valerusem dalej w głąb dzikiej krainy, Conan wymanewruje ich całkowicie i ominąwszy uderzy wprost na prowincje centralne. Dlatego Amalric wycofał się z doliny Shirki i stanął obozem na równinie o dzień jazdy od Tanasul. Tam czekał. Tarascus utrzymywał swą pozycję w Galparan, żywił bowiem lęk, iż manewry Conana zmierzają do wyciągnięcia go na południe i otwarcia

Gunderom północnej drogi do serca królestwa.

Do obozowiska Amalrica przybył swym rydwanem ciągnionym przez niesamowite, nie znające zmęczenia konie Xaltotun i wkroczył do namiotu, w którym baron naradzał się z Valenusem nad mapą rozłożoną na podróżnym stoliku z kości słoniowej.

Ową mapę Xaltotun zgniótł i odrzucił.

— Czego nie mogą odkryć wasi zwiadowcy — oznajmił — dowiedzieli się moi szpiedzy, choć wieści ich są osobliwie mgliste i niedoskonałe, jakby pracowały przeciwko mnie niewidzialne moce.

Conan posuwa się wzdłuż Shirki na czele dziesięciu tysięcy Poitainczyków, trzech tysięcy Bossończyków z południa, a także baronów z zachodu i południa z ich lennikami w łącznej sile pięciu tysięcy, Trzydziestotysięczna armia Gunderów i północnych Bossończyków przesuwają się ku południowi, żeby się z nim połączyć. Nawiązali łączność tajemnymi środkami używanymi przez przeklętych kapłanów Asury, którzy, jak się zdaje, są mi nieprzyjaźni i których po bitwie rzucę na pożarcie wężom... klnę się na Seta!

Obie armie zmierzają ku przeprawie w Tanasul, ale wątpię, czy to Gunderowie będą forsować rzekę. Mniemam, że przeprawi się raczej Conan, by do nich dołączyć.

— Czemuż miałby Conan forsować rzekę?

— Bo odwleknięcie bitwy jest dlań korzystne. Im dłużej czeka, tym bardziej krzepnie i tym groźniejsze staje się nasze położenie. Góry po drugiej stronie rzeki roją się od ludzi straconych — uciekinierów, wygnańców, rozbitków przywiezionych przez Valeriusa do nędzy. Pojedynczo i grupami ciągną doń ludzie z całego królestwa. I codziennie nasze podjazdy wpadają w pułapki i są przez wieśniaków wycinane w pień. W centralnych prowincjach narasta niepokój i tylko patrzeć, jak się przerodzi w otwarty bunt. Garnizony, które tam zostawiliśmy, nie są dość silne, a na razie nie możemy liczyć na posiłki z Nemedii. W owym zamieszaniu na ophirskiej granicy widzę rękę Pallantidesa, który ma w Ophirze krewnych.

Jeśli szybko me dopadniemy Conana, nie zmiądzimy go, za naszymi plecami rozgorzeje powstanie. Musielibyśmy wówczas cofnąć się do Tarantii, by ocalić to, co zdobyliśmy — więc przebijając się przez ogarnięty bunt kraj, z całą armią Conana depczą nam po piętach, a potem przetrwać oblężenie miasta z nieprzyjacielem nie tylko za murami, ale także w murach. Nie, czekać nie możemy. Trzeba nam zniszczyć Conana, nim jego wojsko zbyt spotężnieje i nim powstaną prowincje centralne. Zobaczycie, jak szybko uwiednie rebelia, gdy jego łeb zawiśnie na bramie Tarantii.

— Czemu nie rzucisz na jego armię zaklęcia, co ją całą zniweczy? — na pół kpiąco zapytał Valerius.

Xaltotun wbił wzrok w Aquilończyka, jakby pragnąc zgłębić całe złośliwe szaleństwo ukryte w jego przewrotnych oczach.

— Bądź spokojny — odrzekł wreszcie. — Koniec końców me kunszta zmiądzą Conana, jak obcas miażdży gadzinę. Ale nawet czarom pomagają miecze i kopie.

— Trudno go będzie wyprzeć, kiedy przeprawi się przez rzekę i zajmie pozycje w górach — rzekł Amalric. — Ale jeśli zdołamy go dopaść w dolinie po tej stronie rzeki, może potrafimy dać mu radę. Jak daleko jest Conan od Tanasul?

— Maszerując w takim jak dotąd tempie, dotrze tam jutrzejszej nocy. Wytrwałych ma ludzi i gna ich ostro. Powinien tam przybyć przynajmniej na dzień przed Gunderami.

— Wybornie! — Amalric rąbnął w stół zaciśniętą pięścią. — Zdołam dotrzeć do Tanasul wcześniej niż on. Pchnę do Tarascusa gońca z rozkazem, by do mnie dołączył. Nim przybędzie, odetnę Conana od przeprawy i rozbiję go, a potem we dwóch z Tarascusem sforsujemy rzekę i rozprawimy się z Gunderami.

Xaltotun ze zniecierpliwieniem pokręcił głową.

— Dość dobry plan, gdybyś miał do czynienia z kimkolwiek prócz Conana. Ale dwadzieścia cztery tysiące twoich to za mało, żeby zniszczyć jego osiemnaście tysięcy przed nadciągnięciem Gunderów. Bić się będą z desperacją ranionych lampartów. A co się stanie, gdy Gunderowie nadejdą podczas bitwy? Pojmany w dwa ognie przepadniesz, nim nadejdzie Tarascus. Dotrze do Tanasul zbyt późno, by ci dać pomoc.

— Cóż wobec tego? — zapytał Amalric.

— Wyrusz przeciwko Conanowi z całą swą siłą — odrzekł mąż z Acheronu. — Wyślij do Tarascusa gońca z rozkazem, żeby przybył tutaj. Zaczekamy nań. Potem pomaszerujemy razem do Tanasul.

— A póki będziemy czekać — zaprotestował Amalric

— Conan przeprawi się przez rzekę i połączy z Gunderami.

— Conan nie przeprawi się przez rzekę — odparł Xaltotun.

Amalric poderwał głowę i spojrzął w nieodgadnione ciemne oczy.

— Co masz na myśli?

— Założmy, że daleko na północ, u źródeł Shirki, spadną ulewne deszcze. Założmy, że przybór wód uniemożliwi przeprawę w Tanasul. Czy nie będziemy mogli poprowadzić armii z taką szybkością, z jaką się nam spodoba, dopaść Conana po tej stronie rzeki i zniszczyć go, a potem, kiedy wody opadną — co, jak mniemam, nastąpi nazajutrz — przeprawić się na drugą stronę i rozbić Gunderów? Tym sposobem będziemy mogli całej naszej potęgi użyć przeciwko każdej z tych dwóch mniejszych armii z osobna.

Valerius roześmiał się, jak zwykł zawsze kwitować perspektywę upadku przyjaciela czy wroga, a później nerwowo przeciągnął dłonią po swych zmierzwiionych żółtych kędziorach. Amalric patrzył na Acheronczyka z

mieszaniną leku i podziwu.

— Jeśli dopadniemy Conana w dolinie Shirki z górami po jego prawej, wezbraną zaś rzeką po lewej stronie — przyznał — zdołamy rozbić go doszczętnie. Czy myślisz... czy jesteś pewien... czy sądzisz, że takie deszcze naprawdę spadną?

— Udaję się do siebie — odrzekł Xaltoun powstając. — Nie czyni się magii wymachując różdżką. Ślij gońca po Tarascusa. I niechaj nikt nie zbliża się do mego namiotu.

Ostatni rozkaz nie był konieczny. Za żadne pieniądze nie znalazłoby się w całej armii człowieka, co podszedłby do tajemniczego jedwabnego pawilonu o zawsze zasuniętych połach. Nie wchodził doń nikt prócz Xaltotuna, a przecież dobiegały ze środka głosy. Ściany falowały w bezwietrzną pogodę i rozbrzmiewała niesamowita muzyka. Czasem wśród najgłębszej nocy czerwone płomienie podświetlały jedwabne płachty i widać było poruszające się w środku nieforemne cienie.

Położywszy się tej nocy na spoczynek, Amalric słyszał z namiotu Xaltotuna rytmiczne dudnienie bębna. Nemedyczyk mógłby przysiąc, że chwilami wtórował mu głęboki chrapliwy głos — drżał wówczas, bo wiedział, że nie jest to głos Xaltotuna. Bęben warczał i mruczał jak daleki grzmot; wyrzawszy przed świtem z namiotu, Amalric dostrzegł na odległym północnym horyzoncie czerwone migotanie błyskawic. Cała reszta nieba była jasna i rozgwieżdżona, ale te błyskawice migotały nieustannie jak purpurowy odbłask płomieni na obracającym się maleńkim ostrzu.

Nazajutrz o zachodzie słońca przybył ze swą armią Tarascus, Żołnierze byli zakurzeni i strudzeni długim marszem, a piersi przybyli wiele godzin po jeździe. Rozłożyli się w pobliżu obozowiska Amalrica, o świcie zaś połączone siły podjęły marsz ku zachodowi.

Poprzedziła je fala zwiadowców i Amalric czekał niecierpliwie na ich powrót z wiadomościami o Poitańczykach schwytanych przez powódź w pułapkę. Ale kiedy zwiadowcy dołączyli do siły głównej, donieśli, iż Conan przeprawił się przez rzekę!

— Co!?! — wrzasnął Amalric. — Czy przeprawił się przed powodzią?

— Nie było żadnej powodzi — odparli stropieni zwiadowcy. — Późną nocą dotarł wczoraj do Tanasul i przerzucił armię przez rzekę.

— Nie było powodzi? — zakrzyknął Xaltotun, po raz pierwszy w przytomności Amalrica zbity z pantałyku. — Niemożliwe! Potężne deszcze padały w górnym biegu Shirki przez dwie ostatnie noce!

— To być może, wasza dostojność — odparł jeden ze zwiadowców. — Woda była mętna i mieszkańcy Tanasul twierdzili, że od wczoraj poziom rzeki podniósł się może o stopę, ale nie dość tego było, żeby postrzymać Conanową przeprawę.

Magia Xaltotuna zawiodła! Ta myśl dudniła w mózgu Amalrica. Jego lęk przed dziwnym przybyszem z przeszłości narastał nieustannie od owej nocy w Belverusie, gdy ujrzał, jak brązowa zmarszczona mumia nabrzmiewa, by się przemienić w żywego człowieka. A śmierć Orastesa przerodziła przyczajony lęk w najprawdziwsze przerażenie. Miał w sercu paskudne przeczucie, że ten człowiek — czy może szatan — jest niepokonany. A przecież teraz zyskał niepodważalny dowód jego porażki.

Nawet najwięksi nekromanci ponoszą niekiedy klęski, myślał baron. W każdym bądź razie nie ośmieli się sprzeciwić mężowi z Acheronu — na razie. Orastes nie żył, wijąc się w Mitra jeden wie jakim bezimiennym piekle, Amalric zaś wiedział, że jego miecz nie ma wielkich szans tam, gdzie przegrała czarna wiedza kapłana-renegata. Nieodgadniona przyszłość kryła na razie knute przez Xaltotuna złowieszcze okropieństwa, realnym natomiast zagrożeniem był Conan i jego armia — i tu czarnoksiężski kunszt Acheronczyka mógł się jeszcze okazać konieczny.

Przybyli do Tanasul, małej umocnionej wioski położonej w miejscu, gdzie naturalny grzbiet skalny umożliwiał poza okresem największych powodzi przeprawę przez rzekę. Zwiadowcy przynieśli wieść, że Conan zajął stanowisko w piętrzących się kilka mil za rzeką Górach Rokimantańskich i że przed samym zachodem słońca dołączyli doń Gunderowie.

Zapadła noc. Amalric patrzył na Xaltotuna, nieprzeniknionego i nieludzkiego w świetle płonących żagwi.

— Co teraz? Twoja magia zawiodła. Conan, zajmując lepszą pozycję, armię ma niemal równie silną jak nasza. Możemy wybierać z dwójga złego: albo obozować oczekując na atak, albo cofnąć się ku Tarantii czekając na posiłki.

— Czekanie oznacza naszą klęskę — odparł Xaltotun. — Przeprawmy się i rozbijmy obóz na równinie. Zaatakujemy o świcie.

— Ale jego pozycja jest zbyt mocna! — zakrzyknął Amalric.

— Dureń! — Wybuch gniewu zburzył powłokę spokoju czarnoksiężnika. — Czyż zapomniał o Valkii? Masz mnie za bezradnego, bo jakiś niejasny czynnik naturalny zapobiegł powodzi? Miałem myśl, by wasz oręż zniszczył nieprzyjaciela. Ale nie obawiaj się: to moje kunszta zniosą wraź armię. Conan jest w pułapce. Nie doczeka zachodu słońca. Przepraw się przez rzekę!

Przeprawili się przy świetle pochodni. Końskie kopyta stukwały po skalnym moście, bryzgały wodą na mieliznach. Czarna powierzchnia rzeki odbijała czerwone odbłyski ognia na polerowanych tarczach i napierśnikach. Kamienny grzbiet był szeroki, ale i tak dopiero o pomocy armia stanęła obozem na równinie. Daleko i wysoko widać było migotliwe światelka ognisk. Conan oparł się w Górach Rokimantańskich, które

już nieraz stanowiły ostatnią placówkę królów Aquilonii.

Amalric wyszedł ze swego namiotu i niespokojnie ruszył przez obozowisko. W pawilonie Xaltotuna połykiwała osobliwa poświata, od czasu do czasu demoniczny wrzask przecinał ciszę, a złowieszczy bęben mrucał raczej niż dudnił.

Amalric, którego instynkty wyostrzyła noc i okoliczności, czuł, że na drodze Xaltotuna stoi coś więcej niż siła fizyczna. Opadły go wątpliwości co do potęgi czarnoksiężnika. Zerknął na dalekie ognie i jego twarz ściągnęła się w posępny grymas. Był ze swą armią w sercu nieprzyjawnego kraju. Tam, wśród gór, czaiły się tysiące wilczych postaci o sercach i duszach, z których nienawiść wobec najeźdźców i obłąkańcza żądza zemsty wygnała wszelkie inne uczucia, myśli i nadzieje. Klęska i odwrót przez rojący się od opętanych żądzą krwi wrogów kraj znaczyły całkowite unicestwienie. A jutro musi rzucić swą armię przeciwko najstraszliwшему wojownikowi ludów zachodu i jego zdesperowanej hordzie. Jeśli i teraz Xaltotun zawiedzie...

Z mroku wychynęło pół tuzina zbrojnych. Światło pochodni migotało na ich hennach i pancerzach. Na pół wiedli, na pół ciągnęli wychudłą postać w łachmanach.

Oddawszy honory wojskowe przemówili:

— Wasza dostojność, ten człek oddał się w ręce warty i powiada, że pragnie rozmowy z królem Valerusem. Jest Aquilończykiem.

Wyglądał raczej na wilka — wilka odartego do kości przez zęby potrzasku. Na jego nadgarstkach i kostkach widać było stare blizny, jakie mogły pozostawić tylko obręcze kajdan. Twarz zniekształcało mu wielkie wypalone rozżarzoną żelazem klejmo. Gdy przygięty do ziemi stał baronem, przez sfilcowane kudły jego oczy jarzyły się jak węgle.

— Kim jesteś, parszywy psie? — zapytał Am

— Zwij mnie Tiberiasem — odparł tamten, a jego by zaszczekały w mimowolnym skurczu. — Przybyłem, wam rzec, jak zaskoczyć Conana.

— Zdrajca, co? — zagrział baron.

— Mówią, że macie złoto — ledwie słyszalnie odparł Tiberias trzęsąc się pod swymi łachmanami. — Daj mi trochę! Daj mi złoto, a powiem ci, jak pobić króla!

Szklity się jego szeroko rozwarte oczy, a wyciągnięte błagalnie dłonie o szeroko rozwartych palcach wyglądały jak drżące szpony.

Amalric z niesmakiem wzruszył ramionami. Ale nie mierzyły go nawet najbardziej plugawe metody.

— Jeśli gadasz prawdę, dostaniesz więcej złota, niż zdołasz unieść — powiedział. — Ale jeśli jesteś oszustem i szpiegiem, ukrzyżować cię każę łbem do dołu. Prowadź go za mną.

W namiocie Valeriusa baron ukazał człowieka, co otulając się swymi szmatami dygotał przycupnięty na ziemi.

— Powiada, że ma sposób, jak nam pomóc w jutrzejszej potrzebie. A pomoc się przyda, jeśli plan Xaltotuna nie okaże się lepszy niż dotąd. Gadaj, psie.

Ciało sprzedawczyka wiło się w osobliwych konwulsjach, słowa zaś zlewały się w bełkotliwy potok:

— Conan obozuje w głębi Doliny Lwów, co kształt ma wachlarza i strome zbocza z obu stron. Nie zdołacie wspiąć na flankujące ją góry i musicie atakować samym środkiem. Ale gdyby król Valerius raczył skorzystać z mych usług, pokażę mu, jak spaść na Conana od tyłu. Lecz jeśli rzecz ma być przeprowadzona, trzeba ruszyć zaraz. To kilka godzin jazdy — wiele mil na zachód, potem na północ, później trzeba skręcić na wschód, by wkroczyć do Doliny Lwów od tyłu, tak, jak dotarli tam Gunderowie.

Amalric wahał się szarpiąc podbródek. W tych czasach chaosu nietrudno było znaleźć ludzi gotowych zaprzedać duszę za kilka sztuk złota.

— Jeśli wywiedziesz mnie na manowce, umrzesz — ostrzegł Valerius. — Świadom tego jesteś, nieprawdaż?

Obdartus zdrzął, ale nie spuścił oczu.

— Zabij mnie, jeśli zdradzę!

— Conan nie poważy się rozdzielić swych sił — zastanawiał się Amalric. — Będzie potrzebował całej armii, żeby odeprzeć nasz atak, i nie odeśle ani jednego oddziału na stawianie pułapek w górach. A poza tym ten kmotr wie, że całość jego skóry zależy od tego, czy zaprowadzi nas tam, gdzie obiecał. Czy taki pies poświęci własne życie? Bzdura! Nie, Valeriusie, sądzę, że jest rzetelny.

— Albo złodziej największy ze wszystkich, bo gotów zaprzedać wyzwoliciele — roześmiał się Valerius. — Wybornie. Pójdę za tym kundlem. Ilu możesz mi dać ludzi?

— Pięć tysięcy powinno starczyć — odrzekł Amalric. — Niespodziewany atak od tyłu wprawi ich w zamieszanie, a tego będzie dość. Oczekuję, że uderzysz koło południa.

— Sam zobaczysz, kiedy uderzę — odparł Valerius. Wróciwszy do siebie Amalric spostrzegł z ulgą, że Xaltotun wciąż przebywa w swoim namiocie, co można było wywnioskować z mrozących krew w żyłach wrzasków wstrząsających od czasu do czasu ciszą nocy. A gdy na koniec usłyszał w mroku stuk stali i pobrząkiwanie uździenic, uśmiechnął się posępnie. Valerius niemal zrobił swoje. Baron dobrze wiedział, że Conan jest jak raniony lew, co kąsa i rozszarpuje nawet w agonii, i że nim zginie, może rozpaczliwymi ciosami powalić atakującego od tyłu Valeriusa. Tym lepiej. O jednego rywala mniej. Amalric miał

przekonanie, że można będzie spisać Valeriusa na straty, skoro ten utoruje już drogę nemedyjskiemu zwycięstwu.

Pięć tysięcy towarzyszących Valeriusowi konnych składało się w przeważającej części z zatwardziałych renegatów Aquilońskich. W ciszy rozgwieżdżonej nocy opuścili obóz podążając w kierunku zachodnim, jaki narzucały wypiętrzone przed nimi na tle nieba wielkie czarne masywy. Valerius jechał w czole, a obok niego Tiberias wiedziony przez jednego ze zbrojnych na uwiązany do ramienia postronku. Pozostali trzymali się w pobliżu, jadąc z dobytymi mieczami.

— Spróbuj sztuczek, a umrzesz w okamgnieniu — powiedział Valerius z naciskiem. — Po prawdzie nie znam każdej ścieżyny w tych górach, ale dość mam orientacji w ogólnym układzie terenu, żeby wiedzieć, w jakim powinniśmy zdążyć kierunku, żeby wyjść na tyłach Doliny Lwów. Uważaj, byś nas nie wywiódł na manowce.

Tiberias przechylił głowę i szczękając zębami, z zapalem upewniał Valeriusa o swym oddaniu, a potem z głupim wyrazem twarzy podniósł wzrok na powiewający nad sobą sztandar dawnej dynastii ze złotym wężem.

Obchodząc języki skalne wypełzające z gór otaczających Dolinę Lwów, szerokim łukiem skręcili na zachód, a po dalszej godzinnej jeździe ku północy; ledwie wydeptanymi szlakami, krętymi ścieżkami przebijali się przez dzikie, poszarpane góry. Wschód słońca zastał ich o kilka mil na północny zachód od obozowiska Conana; tu przewodnik zawrócił ku południowi, kierując się przez labirynt urwisk i przesmyków. Valerius skinął głową, oceniając pozycję, w jakiej się znaleźli, wedle kilku szczególnie wyniosłych szczytów. W najogólniejszych zarysach wciąż miał orientację i wiedział, że zdążają we właściwym kierunku.

Ale zmienacka szara, wełnista, skłębiona masa napłynęła z południa, okrywając zbocza i wypełniając doliny. Przycmiła też słońce przemieniając świat w szarą otchłań, gdzie wzrok sięgał ledwie na parę kroków w każdym kierunku. Marsz stał się męczącą wędrówką na oślep. Valerius kłął. Nie widział już szczytów służących mu za punkty orientacyjne. Musiał całkowicie polegać na zdradzieckim przewodniku. Złoty wąż zwiślał w bezwietrznym powietrzu. W końcu i sam Tiberias począł się plątać; przystawał, niepewnie rozglądał się dokoła.

— Pogubiłeś się, psie? — zapytał Valerius ostro.

— Słuchaj!

Gdzieś z przodu doniósł się słaby wirujący dźwięk — rytmiczne bębnienie.

— Werble Conana! — zakrzyknął przewodnik.

— Jeśli dość jestem blisko, by słyszeć werble — rzekł Valerius — to czemu nie słyszemy wrzasków i szcęką oręża? Bój musiał się już zacząć.

— Wiatry i przepaście wyprawiają najdziwniejsze figle — odparł Tiberias szczękając febrycznie zębami, co często zdarza się ludziom, którzy wiele czasu spędzili w wilgotnym lochu. — Słuchajcie!

Do ich uszu dobiegł daleki zduszony ryk.

— Walczą już w dolinie! — zakrzyknął Tiberias. — A w bębny biją na górze. Pospieszajmy!

I ruszył wprost na dźwięk dalekich werbli, jak ktoś, kto na koniec wie, gdzie się znajduje. Przeklinając mgłę Valerius podążał za nim. Ale potem przyszło mu na myśl, że opary maskują jego marsz. Conan go nie dostrzeże. Spadnie Cymmeryjczykowi na kark, nim wspiąwszy się wyżej słońce rozpędzi mgłę.

Nie potrafiłby już powiedzieć, co ma z obu swych stron — turnie, lasy czy przepaście. Werble dudniły nieustannie, coraz głośniej w miarę przybliżania się korpusu Valeriusa, ale poza tym nie było słyhać zgiełku bitwy. Valerius wzdrzgnął się, gdy spostrzegł wylaniające się po obu stronach z tumanów mgły szare niebosiężne zbocza i pojął, że pokonują wąską przełęcz. Ale przewodnik nie okazywał śladu zdenerwowania, Valerius zaś westchnął z ulgą, gdy urwiska rozbiegły się na boki i zniknęły w oparach. Przebyli przesmyk i gdyby planowano pochwytać ich w pułapkę, za stosowano by ją właśnie tam.

Lecz nagle Tiberias zatrzymał się ponownie. Werble dudniły głośniej, choć Valerius nie miał pojęcia, skąd dobiega ich dźwięk. To mu się zdawało, że z przodu, to że gdzieś zza pleców, to wreszcie że z lewej lub z prawej strony. Niecierpliwie rozejrzał się dokoła, a wstęgi mgły kłębiły się wokół jego wierzchowca i osiadały wilgocią na żelazie zbroi. Za jego plecami długa kolumna okutych w stal rycerzy rozwiewała się w oparach jak procesja widm.

— Czemu zwlekasz, kundlu? — zapytał surowo.

Tiberias zdawał się wsłuchiwać w upiorny werbel. Potem z wolna wyprostował się w kulbace i odwróciwszy głowę popatrzył na Valeriusa z przerażającym uśmiechem na ustach.

— Mgła rzednie, Valeriusie — powiedział odmienionym głosem, wyciągając kościsty palec. — Patrz!

Bęben zamilkł. Mgła opadła. Zrazu wyniosłe i nierzeczywiste, ukazały się nad szarymi chmurami wierzchołki gór. Tuman zsuwał się niżej i niżej, rzedniał, bladł. Valerius podniósł się nad strzemionach i wydał okrzyk, który powtórzyli wszyscy jego żołnierze. Wszędzie wokół piętrzyły się skały. Nie byli, jak im się zdawało, w szerokiej otwartej dolinie, a w ślepych kotle otoczonym nagą skałą wielusetłokciowej wysokości, o jednym tylko wlocie, przez który się tu; dostali.

— Psie! — Valerius rąbnął Tiberiasa wprost w usta swą opancerzoną pięścią. — Cóż to za szatańska sztuczka?'

Tiberias splunął krwią i zatrząsł się od strasznego śmiechu.



— Sztuczka, co świat uwolni od bestii! Patrzaj, kundlu!

I znów Valerius wrzasnął, w gniewie jednak raczej niż przerażeniu.

Wlot kotliny blokowała okropna gromada ludzka, milcząca i nieruchoma jak obraz — setki kudłatych obdartusów z włóczniami w dłoniach. A wysoko na skałach jęły się wyłaniać następne twarze — tysiące! — dzikie, wychudłe, groźne, napiętnowane ogniem, stałą i głodem.

— Podstęp Conana! — ryknął wściekle Valerius.

— Conan nic o tym nie wie — roześmiał się Tiberias. — To spisek przywiezionych do nędzy, ludzi, których zrujnowałeś i przemieniłeś w zwierzęta. Amalric miał rację. Conan nie podzielił swej armii. Byliśmy zaledwie hałastą podążającą za nim, wilkami, co przekradały się przez te góry, ludźmi bez domu i bez nadziei. To był nasz plan, a kapłani Asury zesłali nam w pomoc mgłę. Patrz na tamtych, Valeriusie! Każdy z nich nosi znak twojej ręki — na ciele albo na sercu!

Popatrz na mnie! Nie znasz mnie, prawda? — ale co powiesz o tym klejmie, co je wypalił twój oprawca? Kiedyś mnie znałeś. Kiedyś byłem panem Amiliusa, człekiem, którego synów kazałeś zamordować, którego córkę najemnicy twoi zgwałcili i usiekli. Rzekłeś, że nie poświęcę żywota, by cię wciągnąć w pułapkę?

Bogowie wszechmocni, mając nawet tysiąc żywotów, wszystkie bym oddał, żeby tylko kupić twą zagładę!

I kupiłem ją! Patrz na ludzi przywiezionych przez ciebie do nędzy, cienie ludzi, co żyli niegdyś pełnią życia! Nadeszła ich godzina! Ten skalny kocioł stanie się twym grobem. Spróbuj się pięć na skaty: wysokie są, urwiste... Próbuj się stąd wyrwać: włócznie zagrodzą ci drogę, głązy cię zmiażdżą! Psie! zaczekam na ciebie w piekle!

I odrzuciwszy głowę do tyłu śmiał się, aż echo poszły wśród skał. Valerius wychylił się z siodła i ciął go swym wielkim mieczem rozwalając obojczyk i pierś. Tiberias osunął się na ziemię, ale do końca nie przestawał się śmiać, choć tryskająca krew śmiech zamieniła w charkot.

Znów zadudniły bębny ujmując kotlinę w pierścień głębokich gromów, a z góry runęły kamienie i świszcząca nawała strzał, co zagłuszyła nawet skowyt konających.

## 22. DROGA DO ACHERONU

Przedświt już bielił niebo na wschodzie, gdy Amalric podciągnął swą armię ku ujściu Doliny Lwów. Dolinę tę flankowały góry o stromych zboczach, lecz obłych szczytach, a jej dno pięło się ciągiem naturalnych tarasów rozmaitej wielkości i kształtu. Na najwyższym z owych tarasów oczekując ataku zajęła pozycję armia Conana. Korpus z Gunderlandii, który ostatnio do niej dołączył, nie składał się wyłącznie z pikowników. Tworzyło go również siedem tysięcy bossońskich łuczników i cztery tysiące konnych — baronów z północy i zachodu wespół z orszakami.

Włócznicy, w łącznej sile dziewiętnastu tysięcy — to głównie Gunderowie, a poza tym jakieś cztery tysiące Aquilończyków z innych prowincji — zostali w dalszym, wąskim końcu doliny ustawieni w zwartą formację o kształcie klina, mając na skrzydłach po pięć tysięcy łuczników bossońskich. Za szczykami pikowników trwali z wzniesionymi kopiami konni rycerze — dziesięć tysięcy Poitainczyków, dziewięć Aquilończyków i baronowie ze swymi pocztami.

Była to mocna pozycja. Nie dawało się jej obejść z boków, oznaczało to bowiem wspinaczkę na strome zbocze bronione strzałami i mieczami Bossończyków. Obóz Conana leżał bezpośrednio za uformowanym wojskiem w wąskiej, podobnej do studni dolinie, będącej w istocie przedłużeniem Doliny Lwów, ale położonej trochę wyżej. Cymmeryjczyk nie obawiał się ataku z tyłu, góry bowiem roły się od bezgranicznie mu oddawianych uciekinierów i przywiezionej do ubóstwa szlachty.

Trudno było tę pozycję zdobyć, ale trudno było również z niej się wydostać. Po równi forteca jak i pułapka, stanowiła ostatni szaniec ludzi, co nie liczyli, że przetrwają inaczej niż jako zwycięzcy. Jedyna droga odwrotu wiodła przez wąską dolinę na tyłach.

Xaltotun wspiął się na szczyt wypiętrzony po lewej stronie doliny, w pobliżu jej szerokiego wlotu. Szczyt ów, przewyższający wszystkie inne, zwany był z powodów dawno zapomnianych Królewskim Ołtarzem. Powody te znał tylko Xaltotun, którego pamięć sięgała trzy tysiące lat wstecz.

Nie był sam. Towarzyszyli mu dwaj milczący i kudłaci słudzy, którzy dźwigali skrępowaną młodą Aquilonkę. Złożyli ją na wieńczącym szczyt głązie, co osobiwie przypominał ołtarz. Od wielu stał tu stuleci, poddany działaniu żywiołów, aż poczęto sądzić, iż jest tylko dziwacznym, lecz naturalnie ukształtowaną skałą. Ale czym był w istocie i dlaczego tu go postawiono, Xaltotun pamiętał z dawniejszych czasów. Słudzy, zgarbieni jak milkliwe gnomy, oddalili się i Xaltotun, z rozwianą na wietrze brodą, pozostał przy kamiennym ołtarzu sam, spoglądając w dolinę.

Jego wzrok sięgał aż ku krętej wstędze Shirki, a w przeciwnej stronie ku wzgórzom zamykającym dolinę. Dostrzegł połyskliwy stalowy klin pikowników sformowany na najwyższym tarasie, żelazne czepce łuczników lśniące wśród skał i zarośli, milczących rycerzy na ich rumakach bojowych z powiewającymi w górze proporcami i wzniesionym jak kolczasty las morzem kopij.

Bliżej widział zwarte stalowe szyki nemedyjskie wlewające się w ujście doliny, a za ich plecami barwne

pawilony panów i rycerzy, a także szare namioty pospolitego żołnierstwa rozciągnięte prawie do rzeki.

Z furkoczącym w górze szkarłatnym smokiem wpływała w dolinę stalowa nemedyjska rzeka. Przodem, w równych szeregach, kroczyli strzelcy z na poły uniesionymi kuszami i palcami na spustach. Dalej pikownicy, a za nimi prawdziwa siła armii — konni rycerze. Proporce unosiły się na wietrze, kopie raziły w niebo i jechali na swych ogromnych rumakach jak na biesiadę.

Nemedyjskich rycerzy było trzydzieści jeden tysięcy i, jak w każdej nacji hyboryjskiej, to oni stanowili ostrze armii. Piesi w sile dwudziestu jeden tysięcy pikowników i kuszników mieli tylko wyrąbać drogę dla szarży konnej. Na swym wyniosłym stanowisku armia Aquilońska czekała w groźnym milczeniu.

Nie łamiąc szyków kusznicy zaczęli strzelać z marszu, ale ich słane ze świstem bełty albo nie dolatywały, albo nie czyniąc szwanku odpadały ze stukiem od uniesionych wysoko pawęży Gunderów. I zanim zdążyli kusznicy wkroczyć w obszar skutecznego rażenia, słane wysoko strzały Bossończyków wprowadziły w ich formacji zamęt.

Po krótkiej chwili i daremnej próbie odpowiedzenia równie zabójczą salwą, Nemedycyzy poczeli cofać się niesfornie. Panczerze mieli lekkie, nie dające żadnej obrony przed łokciowymi strzałami Bossończyków, którzy szyi z łuków wśród zarośli i skał. Piechocie nemedyjskiej, pełniącej służebną funkcję wobec jazdy, nie dopisywało również morale.

Kusznicy cofali się więc, a ich miejsce w szyku zajęli pikownicy. Były to głównie oddziały najemne, które wodzowie bez skrupułów wysłali na śmierć. Zamierzano użyć ich do osłony podejścia rycerzy, aż ci znajdą się w takiej odległości od nieprzyjaciela, by przeprowadzić skuteczną szarżę. Gdy więc kusznicy prowadzili ze skrzydeł daleki ostrzał, pikownicy ruszyli wprost w zabójczą nawałę z góry, a za ich plecami postępowali rycerze. Wnet piesi poczeli się cofać — rozległ się wówczas głos trąbek i kompanie rozbiegły się na lewo i prawo, czyniąc miejsce ciężkozbrojnej jeździe.

Runęła wprost w chmurę świszczącej śmierci. Strzały długie jak włócznie znajdowały każdą szczelinę w pancierzach ludzi i kropierzach rumaków. Konie wspinające się na trawiaste tarasy padały na grzbiet, pociągając za sobą jeźdźców. Stalowe postaci zasłały ziemię. Szarża załamała się i odpłynęła do tyłu.

Amalric przeformował swe szyki. Tarascus walczył z mieczem w dłoni pod szkarłatnym smokiem, ale w owym dniu dowodził armią baron Tor. Amalric kłął, widząc las kopij sterczący zza gunderskich hełmów. Miał nadzieję, że jego odwrót wywabi Aquilońskie rycerstwo, które szarżując w dół zostanie zdziesiątkowane przez kuszników z obu skrzydeł, a potem pochłonięte przez liczniejszą jazdę nemedyjską. Ale tamci nawet nie drgnęli. Słudzy obozowi bukłakami nosili wodę z rzeki, a rycerze zdjąwszy hełmy oblewali swe spocone głowy. Ranni na zboczach daremnie prosili o picie. Obrońcy jednak, zaopatrzeni w wodę przez bijące w górnej części doliny źródło, nie cierpieli pragnienia w owym długim, gorącym wiosennym dniu.

Z Królewskiego Ołtarza stojący przy pradawnym rzeźbionym kamiennym złomie Xaltotun obserwował przypyły i odpływy stalowej fali. Oto z nastawionymi kopiami i powiewającymi pióropuszcami ruszyli rycerze. Przeorali świszcząca chmurę, by rozbić się na kształt grzmiącej fali o ścianę włóczni i pawęży. Nad zdobnymi hełmami uniosły się i opadły topory, a włócznie uderzyły w górę powalając jeźdźców i konie. Duma Gunderów nie ustępowała dumie rycerzy. Nie byli mięsem dla mieczów, poświęcanym w imię chwały lepszych od siebie. Byli najznakomitszą piechotą na świecie, o tradycji, co ich morale czyniła niewzruszonym. Królowie Aquilonii już dawno docenili wartość hartownej piechoty. Jej szyki trwały jak skała, nad lśniącymi szeregami powiewał sztandar z lwem, a na samym ostrzu klina ryczący olbrzym w czarnej zbroi uderzał jak huragan rozwalając swym okrwawionym toporem po równi kość i żelazo.

Nemedycyzy walczyli tak mężnie, jak nakazywało im tradycyjne uwielbienie odwagi. Ale nie potrafili przełamać żelaznego klina, słane zaś z porośniętych krzakami stoków doliny strzały bezlitośnie dziesiątkowały ich zbite szeregi. Z ich własnych kuszników nie było żadnego pożytku, a pikownicy nie mogli wspiąć się na zbocza, by związać Bossończyków walką wręcz. Powoli, opornie, posępnie, wycofywali się rycerze i coraz więcej biegało wśród nich koni bez jeźdźców. Gunderowie nie wznosili triumfalnych wrzasków. Zacieśniali szyki wypełniając luki po zabitych kompanach. Spod ich stalowych czepców spływał na oczy pot. Krzepko dźwigając włócznie w garściach czekali i tylko w sercach wzbierała im duma, że sam król walczy pieszko w ich szeregach. Za ich plecami Aquilońscy rycerze wciąż trwali w posępnym bezruchu.

Kłując ostrogami spienionego konia na szczyt zwany Królewskim Ołtarzem wspiął się rycerz i spojrzawszy na Xaltotuna oczyma przyćmionymi goryczą, powiedział:

— Amalric rozkazał mi rzec, iż czas, byś użył swej magii, czarnoksiężniku. Giniemy tam w dolinie jak muchy. Nie możemy złamać szyków nieprzyjaciela.

Xaltotun zdawał się rosnąć, potężnieć, coraz potworniejszy i niesamowitszy.

— Wracaj do Amalrica — odparł. — Powiedz, by uszykował wojska do ataku, ale czekał na mój sygnał. Zanim ów sygnał dam, zobaczysz coś, co zapamięta do końca swojego życia!

Jakby wbrew własnej woli rycerz oddał mu honory i na złamanie karku pognął w dół zbocza.

Stojąc obok mrocznego kamienia ofiarnego Xaltotun omiół wzrokiem dolinę, widząc na jej tarasach poległych i ranionych, w głębi oblepiony krwią Aquiloński korpus, w dole zaś przemierzające się stalowe szeregi. Podniósł oczy w niebo, a potem opuścił ku spoczywającej na ciemnym kamieniu białej postaci. I unosząc sztylet zdobiony archaicznymi hieroglifami zaintonował pradawne zaklęcie:

Howard Robert E - Conan. Godzina smoka

— Secie, boże ciemności, okryty łuską panie mroków, przez krew dziewicy i siedmioraki symbol wzywam twych synów z głębi czarnej ziemi! Dzieci otchłani spod ziemi czerwonej i spod ziemi czarnej, przebudźcie się i wstrząśnijcie waszymi straszliwymi grzywami! Niech się góry zakolebia, a gałzy runą na mych nieprzyjaciół! Niech nad ich głowami pociemnieją niebiosa, niechaj pod ich stopami rozkołysze się ziemia. Niech powiew z serca czarnej ziemi spowije ich nogi, szcerni i zmarszczy ciała...

Przerwał nagle, wciąż unosząc sztylet. Gnany wiatrem ryk obu armii zburzył zgęstniałą w napięciu ciszę.

Po przeciwnej stronie ołtarza stał mąż w czarnej szacie, której kaptur ocieniał bladą delikatną twarz i ciemne, zadumane, przesycone spokojem oczy.

— Psie Asury! — wyszeptał Xaltotun głosem, co był jak syk rozwścieczonego węża. — Czyś oszalał, że zguby szukasz? Do mnie, Baalu, Chironie!

— Krzyknij raz jeszcze, psie z Acheronu — odparł tamten wybuchając śmiechem. — I wołaj głośnie, bo nie usłyszą, chyba że twój wrzask sięgnie piekieł!

Z kępy drzew porastających skraj górskiego grzbietu wyszła surowa, odziana na wieśniaczą modłę stara kobieta o spadających na ramiona włosach. Wielki szary wilk stapał za nią krok w krok.

— Kapłan, wiedźma i wilk — mruknął ponuro Xaltotun, a potem się roześmiał. — Głupcy jesteście, że mierzycie swój znachorski bełkot z mymi kunsztami! Zmiotę was z mej drogi jednym machnięciem ręki!

— Twe kunszta to zdźbła trawy na wietrze, pythonijski kundlu — odparł kapłan Asury. — Zastanawiałeś się może, dlaczego Shirki nie wylała, żeby uwięzić armię Conana na tamtym brzegu? Pojąłem twój plan ujrawszy w nocy błyskawice i rozegnałem chmury, nim zdołały rzucić swe ulewne brzemie. Nawet nie wiedziałeś, że zawiodło twoje zamawianie deszczu.

— Łżesz! — wrzasnął Xaltotun, ale z jego głosu zniknęła pewność. — Czułem, że obrócono przeciwko mnie potężną magię... ale nie ma na ziemi człeka, co zdoła odczynić rzucone już deszczowe zaklęcie nie mając w swej mocy samego źródła magii.

— A jednak planowana przez ciebie powódź nie przyszła — odparł kapłan. — Spójrz na swych sprzymierzeńców w dolinie, Pythonijczyku! Powiodłeś ich na rzeź! Wpadli w szczęki potrzasku i pomoc im nie możesz. Patrz!

Wyciągnął dłoń. Za poitairńskimi szykami wypadł z wąskiego wylotu górnej doliny jeździec wymachując nad głową czymś, co błyskało w słońcu. Straceńczo pognął w dół pomiędzy szeregami Gunderów, którzy wydali głęboki ryk, gromowo waląc włóczniami w pawężę. Na tarasie pomiędzy obiema armiami osadził spienionego rumaka i wrzeszczał jak opętany, wywijając trzymanym w dłoni przedmiotem. Był to strzęp szkarłatnego sztandaru; słońce krzeszło oślepiające lśnienie z łusek wijącego się na nim złotego węża.

— Valerius poległ! — zakrzyknął Hadrathus dzwicznie. — Mgła i bęben przywiodły go ku zgubie! Ja przywołałem tę mgłę, psie z Pythonu, i ja ją rozegnałem! Ja za pomocą mej magii, co potężniejsza jest od twojej!

— A co to ma za znaczenie! — ryknął Xaltotun, który z gorejącymi oczyma i skrzywioną konwulsyjnym grymasem twarzą przedstawiał okropny widok. — Valerius był głupcem. Nie potrzebuję go. Sam skruszę Conana bez ludzkiej pomocy!

— Czemuś tak długo zwlekał? — zakpił Hadrathus. — Czemu aż tylu swym sprzymierzeńcom pozwoliłeś lec z dziurą od strzały albo włóczni?

— Bo rozlew krwi sprzyja wielkiej magii! — zagrział Xaltotun głosem, od którego zadrżały kamienie. Jego straszliwą twarz otoczył jaskrawy nimb. — Bo żaden czarnoksiężnik nie marnuje bezmyślnie swoich sił. Bo pragnąłem zachować swą moc na wielkie dni, co dopiero nadejdą, zamiast ją trwonić w górskiej bijatyce. Ale teraz, na Seta, wszystkie je spuszcze ze smyczy! Patrzaj, psie Asury, fałszywy kapłanie zmarniałego bożka, i zobacz rzecz, co twą duszę roznieś w strzępy!

Odrzuciwszy głowę do tyłu Hadrathus wybuchnął śmiechem i był to śmiech piekielny.

— Teraz ty popatrz, czarny szatanie z Pythonu! Jego dłoń wyłoniła się spomiędzy fałd sukni dzierząc coś, co jarzyło się i płonęło w słońcu pulsującą złotą poświatą, która nadała ciału Xaltotuna pozór trupiej badości. Acherończyk wrzasnął jak dźgnięty nożem.

— Serce! Serce Arymana!

— Tak! Jedyna moc potężniejsza od twojej!

Xaltotun zdawał się kurczyć, starzec. Nagle biel błysnęła w jego brodzie, szron okrył czuprynę.

— Serce! — wymamrotał. — Skradłeś je! Psie! Złodzieju!

— Nie ja to uczyniłem! Było w długiej podróży, daleko na południe. Ale teraz spoczywa w moich rękach i nie sprostają mu twe czarne kunszta. Jak przywróciło ci życie, tak ciśnie cię na powrót w Noc, skąd zostałeś przyzwany. Podążysz do Acheronu drogą milczenia i nocy. Mroczne imperium, nie wskrzeszone, pozostanie legendą i czarnym wspomnieniem. Conan znów zasiądzie na tronie. A Serce Arymana wróci w podziemia świątyni Mity, by płonąć przez tysiąc lat jako symbol aquilońskiej potęgi!

Xaltotun zawył nieludzko i z uniesionym sztyletem począł obiegać ołtarz, ale skądś — może z nieba, a może z płonącego w dłoni Hadrathusa ogromnego klejnotu — strzelił snop roziskrzonego oślepiającego światła. Uderzył Xaltotuna wprost w pierś, a góry powtórzyły echem odgłos wybuchu. Czarnoksiężnik z Acheronu padł jak porażony piorunem, a zanim dotknął ziemi, zaszła w nim przerażająca zmiana. Obok

ołtarza legł nie świeżo zabity człowiek, a skurczona mumia, brązowy, wyschnięty, nierozpoznawalny zewłok rozciągnięty wśród gnijących bandaży. Stara Zelata spojrzała nań posępnie. — Nie był człowiekiem żywym — rzekła. — Serce dało mu pozór życia, który oszukał nawet jego. Ja widziałam w nim zawsze tylko mumię.

Hadrathus pochylił się, by wyswobodzić pojękującą na ołtarzu dziewczynę, gdy spośród drzew wyłonił się rydwan Xaltotuna ciągniony przez niezwykle konie. Bezgłośnie zbliżył się zaprzęg do ołtarza, a koło niemal dotknęło leżących w trawie skurczonych zwłok. Hadrathus uniósł truchło Xaltotuna i umieścił je w rydwanie. Wówczas bez wahania niesamowite rumaki zawróciły i pognały zбочem góry na południe. A Hadrathus, Zelata i wilk patrzyli za nimi, jak gnają długą drogą do Acheronu, co leży poza granicą ludzkiego widzenia.

Amalric zeszywniał w siodle dostrzegłszy dzikiego jeźdźca, co zakosami gnał w dół doliny wywijając okrwawionym smoczym sztandarem. Potem jakiś instynkt kazał mu zwrócić głowę ku szczytowi znanemu jako Królewski Ołtarz. I rozwarł w zdumieniu usta. Widzieli to wszyscy w dolinie — wznoszącą się łukiem z wierzchołka góry strzałę oślepiającego blasku, co roniła złoty ogień, by gdzieś wysoko nad głowami obu armii eksplodować rozjarzoną powodzią, która na moment zaćmiła słońce.

— To nie jest znak od Xaltotuna! — ryknął baron.

— Nie! — wrzasnął Tarascus. — To sygnał dla Aquilończyków! Patrz!

Nieruchome dotąd szeregi Aquilońskie ruszyły na koniec, a głęboki ryk zadudnił w dolinie.

— Xaltotun nas zawiódł! — pieklił się Amalric. — Valerius nas zawiódł! Wpadliśmy w pułapkę!

Przekleństwo Mitry na Xaltotuna, co nas tu sprowadził! Trąbić na odwrot!

— Za późno! — zawył Tarascus — Patrz!

Las kopij w górnej części doliny drgnął, pochylił się. Szeregi Gunderów rozstały się na lewo i prawo na kształt odsuwanej kurtyny. I grzmiał jak huragan rycerze Aquilonii runęli w dół.

Impetowi tej szarzy nic się oprzeć nie mogło. Bełty siane przez zmieszanych kuszników ześlizgiwały się z tarcz, odskakiwały od pogiętych hełmów. Z furkotem pióropuszy i proporczyków, z nastawionymi kopiami jazda Aquilońska przewaliła się przez skonfundowane szeregi pikowników i jak fala spłynęła w dolinę.

Amalric wydał piorunowy rozkaz ataku i Nemedycyzy z rozpaczliwą odwagą poczęli bóść konie ostrogami. Wciąż mieli przewagę liczebną. Ale byli strudzonymi ludźmi na wycieńczonych koniach i atakowali pod górę. Ich przeciwnicy natomiast nie zadali dotąd ani jednego ciosu. Pędzili w dół jak błyskawica i jak błyskawica porazili szeregi nemedyjskie — porazili, rozerwali na strzępy i pognali łeb na szyję.

Za nimi pędzili pieszo ogarnięci żądzą krwi Gunderowie, a ze stoków doliny zsuwali się Bossończycy, śląc w biegu niechybne groty we wszystko, co się jeszcze po nieprzyjacielskiej stronie ruszało. Coraz dalej w dół spływała fala bitwy, niosąc na swym grzbiecie oszołomionych Nemedyczyków. Ich strzelcy rzucali kusze i umykali na oślep, ty zaś z pikowników, którzy przeżyli niszczącą szarżę rycerzy, docinali bezlitośni Gunderowie.

W chaosie i zamieszaniu bój przeniósł się z doliny rozciągające się przed jej wlotem równinne pole. Rozsypali się po nim wojownicy, ścigający i ścigani, a rycerze na rozszalałych koniach potykali się pojedynczo i grupami. Ale rozbici Nemedycyzy nie byli w stanie uformować się nowo, by stawić skuteczny opór. Umykali setkami gnając ku rzece. Wielu do niej dotarło i przepawiwszy się popędziło na wschód. Ale kraj ogarnięty był powstaniem — ścigano ich jak wilki i kilku ledwie dotarło do Tarantii.

Ostateczne rozstrzygnięcie bitwy przyszło jednak dopiero ze śmiercią Amalrica. Baron, próbując daremnie zgromadzić wokół siebie ludzi, wpadł wprost na oddział rycerzy zdążający za gigantem w czarnym pancerzu z wyszytym na jace królewskim lwem. Nad jego głową powiewały obok siebie sztandary z Aquilońskim lwem i poitańskimi lampartem. Wysoki rycerz w połyskliwej zbroi osadził kopię w łęku i uderzył w barona Tor. Zwarli się z piorunowym trzaskiem. Kopia Nemedyczyka, trafiwszy w głowę nieprzyjaciela, rozerwała rzemienie i zapinki hełmu, odłaniając twarz Pallantidesa. Lecz oręż Aquilończyka skruszył tarczę i pancerz, a potem przebił serce barona.

Podniósł się ryk, gdy Amalric wyleciał z siodła, łamiąc kopię tkwiącą w swym ciele, a Nemedycyzy ulegli nagle, jak pod naciskiem fali powodziowej ulega tama. W ślepych popłochu pędzili ku rzece, jak szalejący po równinie huragan. Godzina Smoka dobiegła kresu.

Tarascus nie umykał. Amalric nie żył, chorąży zginął, a królewski sztandar Nemedii leżał zdeptyany w krwi i kurzawie. Aquilończycy dojeżdżali uciekających rycerzy nemedyjskich. Tarascus wiedział, że bitwa przegrana, ale z grupą najwierniejszych wojowników wciąż szalał po polu świadom tylko jednego pragnienia — spotkać się z Conanem Cymmeryjczykiem. I na koniec go spotkał.

Oddziały rozsypane były doszczętnie, jedno w ucieczce, drugie w pogoni. Pióropusz Trocera powiewał na jednym krańcu równiny, pióropusze Pallantidesa i Prospera na drugim. Omanowi nikt nie towarzyszył. Gwardziści Tarascusa legli jeden po drugim. Królowie spotkali się sam na sam.

Gdy podjeżdżali do siebie, wierzchowiec Tarascusa stęknął i upadł. Conan zeskoczył z siodła i popędził ku Tarascusowi, wygrzebującemu się ze strzemion. Oślepiąco błysnęła w słońcu stal, zadźwięczała, posypały się iskry i zaraz potem Tarascus rozciągnął się jak długi na ziemi po piorunowym ciosie Conanowego miecza.

Cymmeryjczyk wsparł pancerną stopę na piersi nieprzyjaciela i uniósł oręż. Nie miał na głowie hełmu: wstrząsnął grzywą, a w błękitnych oczach płonął dawny ogień.

— Poddajesz się?

— A darujesz mi życie? — zapytał Nemedyczyk.

— Owszem. I lepsze dam warunki, niżej ty mi dał. Życie dla ciebie i wszystkich twoich ludzi, co złożą broń. Choć za łotrostwa szatańskie łeb powinienem ci rozwalić — dodał po chwili.

Tarascus wykręcił szyję i rozejrzał się po równinie. Rozbitki nemedyjskiej armii umykały przez kamienny most mając na karkach rój zwycięskich Aquilończyków rąbiących z mściwą, zapiekłą furią. Bossończycy i Gunderowie rozsypali się po nieprzyjacielskim obozie rozrywając namiot; w poszukiwaniu łupów, biorąc jeńców, tnąc łuby i przewracając wozy.

Tarascus zaklął kwieciście i na ile pozwoliło mu położenie, wzruszył ramionami.

— Znakomicie. Nie mam wyboru. Jakie stawiasz żądania?

— Przekażesz w moje ręce wszystko, co zdobyłeś w Aquilonii. Wydasz rozkaz, aby garnizony pozostawiając broń opuściły wszystkie zajmowane zamki i miasta. A potem wyprowadzisz swe przeklęte wojska z Aquilonii tak szybko, jak to będzie możliwe. Oddasz wszystkich Aquilończyków sprzedanych w niewolę, a oprócz tego wypłacisz basarunki, które naznaczy się później, gdy szkody wyrządzone krajowi przez twą okupację zostaną należycie oszacowani. Pozostaniesz w niewoli, póki nie zostaną spełnione wszystkie te warunki.

— Dobrze — zgodził się Tarascus. — Poddam bez oporu wszystkie zamki i miasta zajmowane przez moje garnizony, a te inne rzeczy też zostaną zrobione. Jaki okup za mą osobę?

Conan roześmiał się, zdjął stopę z opancerzonej piersi nieprzyjaciela, a potem chwycił za ramię i pogroził go na nogi. Zaczął coś mówić, lecz spostrzegł, że zbliża się Hadrathus. Kapłan był równie spokojny i pograżony we własnych myślach jak zawsze, uważnie omijając martwe ciała ludzi i koni.

Okrawioną ręką Conan otarł z twarzy polepiony potem kurz. Bił się cały dzień, najpierw pieszo z włócznikami, potem konno, wiodąc szarżę. Powgniataną uderzeniami miecza, topora i maczugi zbroję plamiły w wielu miejscach bryzgi krwi. Na krwawym tle poboju piętrzył się niczym posępny jakiś bohater pogańskiego mitu.

— Dobra robota, Hadrathusie! — zagrział. — Na Croma, rad byłem ujrzawszy twój sygnał. Rycerze moi byliby o mały włos poszaleli z niecierpliwości i wychodzili ze skóry, żeby wziąć się do mieczów. Dużo dłużej bym ich nie powstrzymał. Co z czarnoksiężnikiem?

— Podążył mglistą drogą do Acheronu — odparł Hadrathus. — A ja... ja ruszam do Tarantii. Tu moje dzieło skończone, rzecz jeszcze jedną muszę natomiast spełnić w świątyni Mitry. Ale wszystko, co zrobić było trzeba, zrobiliśmy tutaj. Na tym polu ocaliliśmy Aquilonię... i nie tylko Aquilonię. Twój marsz do stolicy będzie jak triumfalny pochód przez kraj oszalały z uciechy. Cała Aquilonia wiwatować będzie z powodu powrotu króla. I tak, do spotkania w twojej komnacie tronowej — bywaj!

Conan w milczeniu popatrzył na oddalającego się kapłana. Ze wszystkich stron pola zdążali ku niemu rycerze. Dojrzał Pallantidesa, Trocera, Prospera i Serviusa — zbroje wszystkich splamione były krwią. Zgiełk bitwy ustępował rykowi triumfu i radości. Wszystkie oczy rozpalone walką, promieniejące triumfem zwróciły się ku czarnej ogromnej postaci króla; pancerne dłonie wymachiwały poczerwieniałymi mieczami. I wzniósł się wrzask, głęboki i gromowy jak uderzenie przyboju:

— Cześć Conanowi, królowi Aquilonii!

Tarascus zaś przemówił:

— Nie określiłeś jeszcze mojego okupu.

Conan roześmiał się wsuwając miecz do pochwy. Rozprężył swe mocarne ramiona i przesunął krwawymi palcami po gęstej czarnej grzywie, jak gdyby szukając tam odzyskanej korony.

— Jest w twoim seraju dziewczyna o imieniu Zenobia.

— No tak, jest. I co z tego?

— Wybornie. — Król uśmiechnął się jakby na szczególnie przyjemne wspomnienie. — Ona będzie okupem za ciebie, i nic innego. Przyjadę po nią do Belverusu, jak obiecałem. W Nemedii była niewolnicą, ale w Aquilonii uczynię z mej królową!